ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ROK XVI. — OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXIV.

TOM IV. – ZESZYT II.

Listopad.

WARSZAWA.

1891.

DRUK JANA COTTY, W WARSZAWIE.
29 Senatorska, 29

SPIS RZECZY.

str.

I. **Pesymizm literacki.** Przez *Bolesława Lutomskiego* . 179

II. **Eksploatacya złota w Syberyi wschodniéj.** Przez *Adama Rzyszczewskiego* 187

III. **Świetny los.** Obrazek. Przez *Ostoję* 204

IV. **O rodzinie pierwotnéj.** Przez d-ra *Lotara Darguna* . . 240

V. **Prądy w najnowszéj literaturze niemieckiéj.** 2. Epos i liryka. I. (Epos). Przez *Maxa Kocha* 267

VI. **„Nie ma wojny".** Przez *J. Keniga* 289

VII. **Herman Helmholtz.** Przez *Maksymiliana Flauma* . . 307

VIII. **Z beletrystyki Zachodu.** V. Przez *T. N.* 319

IX. **Powieści A. Konara** 336

X. **Rozbiory i sprawozdania:**
D-r Aleksander Semkowicz: „Walka o monarchię 1288 do 1294 r." ustęp z dziejów piastowskich. Ocenił *Kazimierz J. Gorzycki* 345

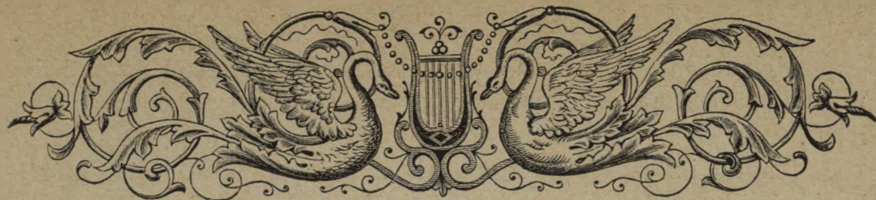
XI. **Nowości naukowe i literackie** 347

XII. **Kronika miesięczna** 358

XIII. **Nekrologia** 368

XIV. **Ogłoszenia** 370

Druk ukończono dnia 6 listopada 1891 r.



PESYMIZM LITERACKI.

Za przykładem innych, i my narzekamy na nadprodukcyą w naszéj bieżącéj literaturze pięknéj pesymizmu i smutku. Do wszelkiego gatunku beletrystów, poetów i powieściopisarzy— zwracamy się ze słowami: „Nie nękajcie nas, przestańcie płakać i wzdychać. Dość już tego. Nam potrzeba słońca, śmiechu i humoru. Przenosimy sielankę nad elegią, humor nad płacz, szczerą wesołość nad tragiczne pozy!...“

Zdawałoby się, że takie żądanie jest słuszne i naturalne, że w epoce katarów żołądka, biédy ekonomicznéj, chorych nerwów i emigracyi do Brazylii, literatura powinna być sklepem, w którym według żądania i gustu nabywać można wesołość i równowagę.

Zbyteczna byłoby dowodzić, że twórczość piśmiennicza pozostaje w ścisłym związku z życiem społecznèm, że dobra i dokładna obserwacya, będąca jedną z podstaw twórczości, odbija i odbijać powinna rzeczywistość ze wszystkiemi jéj faktami, prądami, uczuciami i marzeniami.

Lecz trudno, jeśli taki popyt objawia opinia publiczna i regulująca ją opinia dziennikarska, to liczyć się z nim trzeba i żądanego gatunku towaru wedle zapotrzebowania dostarczać.

Pozostaje tylko pytanie, nad którém chwilkę zastanowić się warto, czy literatura nasza była lub jest tak nawskroś pesymistyczną, jak ją o to obecnie oskarżają, czy chorowała kiedy na mizantropią i hypokondryą aż do napajania żółcią i odbiérania snu swoim czytelnikom, czyśmy mieli lub mamy jakąkolwiek szkołę literacką, uprawiającą świadomie i systematycznie kult niewiary i rozpaczy, choroby woli i newrozy?

Melancholia, pesymizm i dzisiejsza nareszcie dekadencya, były przeważającemi prądami w nastroju twórczości literackiéj tego stulecia.

Smutna i zrozpaczona literatura w początkach stulecia, któréj kapłanami byli Chateaubriand, Byron, Heine, Leopardi, a około połowy wieku Baudelaire i Flaubert, wyraźnych i zdecydowanych wyznawców u nas nie znalazła.

Nasz elegijny romantyzm nie był wynikiem negatywnych kierunków filozoficznych. W literaturze naszéj pesymizm społeczny i filozoficzny, rozwinięty do ostatnich konsekwencyi, nie miał wybitnych przedstawicieli. Poezya rozpaczy, na ogólno-ludzkich osnuta motywach, w systematycznéj walce z życiem i bytem nie znalazła u nas apostoła; nie jesteśmy narodem pesymistów.

Elegia i łagodna melancholia naszych poetów nie była nigdy buntem skrajnéj negacyi, przekleństwem beznadziejnéj rozpaczy, urąganiem naturze ludzkiéj, ani walką na śmierć z zasadami społecznemi.

Sądzę nawet, że ta nieobecność zrozpaczonego pesymizmu w literaturze, jest cennym przyczynkiem do studyów nad psychologią narodową.

Jeżeli teraz od poezyi przejdziemy do innych form literackich, a zwłaszcza do najpopularniejszéj z nich powieści, to tutaj znajdziemy jeszcze większe potwierdzenie założenia, że literatura nasza wogóle, a w ostatnim okresie w szczególności, z filozofią pesymizmu, panującą w literaturze europejskiéj nie pozostawała i nie pozostaje w ścisłym związku organicznym, że jest więcéj tendencyjną, niż obiektywną, że kieruje się raczéj względami pedagogii społecznéj, niż niezależnéj psychologii.

Wielcy powieściopisarze, jak Flaubert i Goncourtowie, jak Dostojewski i Tołstoj, przez wprowadzenie do swych utworów szerokiego, potężnego i nerwowego stylu, opanowali mechanizm duszy ludzkiéj ze wszystkiemi jéj przepaściami i sprzecznościami, bólami i zawrotami. Ten czarujący ich styl, tajemniczy jak otchłań, drżący dziwnemi wzruszeniami, jak mistycyzm, kusił się o przedstawienie wszystkich stanów, wszystkich cierpień i namiętności ludzkich.

Powiedzieć nawet można, że powieść, w jéj szerszém, estetyczném i filozoficzném znaczeniu, została stworzoną dopiéro około połowy tego stulecia. Rozwinęła się na podstawie obiektywizmu naukowo-społecznego i stała się najwybitniejszą formą literacką. Wydoskonaliła technikę artystyczną i głównego zadania, to jest oświetlenia rysów duchowych współczesnego człowieka i związku, zachodzącego

między nim a otoczeniem, dokonała znakomicie. Sztuka rozszerza bezustannie swoje widnokręgi, przybywają jéj wiecznie nowe temata, nowe typy i nowe wyobrażenia, choćby dlatego, że zostaje w żywym związku z rozwojem umiejętności i rozwojem społecznym; nie można więc powiedzieć o powieści, że stanęła już na szczycie swego rozwoju. Dokonała ona jednak radykalnego swego przeobrażenia, a krytyka i publiczność są z niéj zadowolone.

Ta nowa powieść nosi wybitne znamię pesymizmu. Nie możemy się szeroko rozwodzić tutaj nad tém, dlaczego stała się pesymistyczną, ale łatwo zauważyć, że nie mogła być inną.

Zostawała w ścisłym związku z życiem i filozofią. Z nich czerpała elementa dla kierunków i kreacyi artystycznych. Geneza jéj sięga Werther'a i Oberman'a, przejętych „czarnym wstrętem do życia“, nienawidzących i pogardzających ludzkością. Z drugiéj strony pesymizm Schopenhauer'a i Hartmann'a, filozoficzne doktryny Mill'a, Darwina, Spencer'a i Taine'a i cały kierunek wiedzy zabarwiły twórczość i inteligencyę czarnym kolorytem.

Praktyczna obserwacya stwierdzała tylko wyniki syntezy filozoficznéj. Rosnące milionowe masy protelataryatu, nad którego głową wznosi się prześwietna cywilizacya ze swemi pałacami, bankami, fabrykami, uniwersytetami i teatrami, nie wskazywały twórczości widnokręgów z majową sielanką.

W naszéj powieści, zarówno jak w poezyi, ten prąd pesymistyczny nie wyżłobił szerokiego koryta. Pesymizm w powieści jest ubogim. Ani Kraszewski, ani Orzeszkowa, ani Prus, ani żaden, śmiało powiedzieć można, z głośniejszych powieściopisarzy naszych, nie byli zdecydowanymi wyznawcami filozofii pesymistycznéj, téj siły i tego kierunku, co Zola, Tołstoj albo Bourget.

Pierwszą wielką powieścią, osnutą na studyach psychologicznych, i pesymistycznéj i estetycznéj filozofii, była „Bez dogmatu“ Sienkiewicza. Chociaż regularne rysy organizacyi duchowéj jéj bohatéra, przejrzystość jego myśli, wykwint jego upodobań, konsekwencya jego pojęć i jakaś antyczna dystynkcya jego arystokratycznéj natury, nasuwały chwilami wątpliwość, czy nie zachodzi tu nieporozumienie, czy ten nasz bohatér nie jest przypadkiem zabłąkanym w wiek XIX-ty Grekiem z IV-go lub florentczykiem z XVI-go wieku, czy to dziecię końca wieku, jest rzeczywiście wyobrazicielem jego rozpaczy? Ta natura zupełna, konsekwentna i jasna, nie zapełniona temi zawrotami, zawiłościami, przepaściami duchowemi, na jakie się składa istota wyższéj współczesnéj jednostki psychi-

cznéj, nastręczała, powtarzam, od czasu do czasu pytanie: z kim mamy do czynienia? czy z wykwintnym artystą i sybarytą duchowym, czy ze zrozpaczonym, który żył i cierpiał wielkiemi bólami ostatniéj doby cywilizacyjnéj, myślał jéj pojęciami i umarł z nadmiaru cierpień i życia duchowego, z nadmiaru świadomości? Lecz szczegółowe roztrząsanie tych wątpliwości nie należy do zakresu tego artykułu.

Jeżeli teraz zwrócimy się do literatury dramatycznéj, to zobaczymy, że jedynym świadomym przedstawicielem w teatrze polskim filozoficznego pesymizmu jest Wł. Okoński.

Naturalnie, że i w powieści, i w poezyi, i w dramacie, i we wszystkich rodzajach naszéj literatury cierpiących, zrozpaczonych i zbłąkanych jest może nie mniéj, niż w innych, że wielka poezya nasza apoteozowała cierpienie i podniosła je do wysokości kultu. Lecz prądu zasadniczego i świadomego pesymizmu, niezależnego od chwilowych okoliczności i przejściowych, warunków społecznych, lecz literacko-filozoficznéj szkoły pesymistów z naczelném hasłem negacyi, uprawianéj systematycznie, nie mieliśmy i nie mamy.

Zachodzi pytanie, czy dla interesów umysłowych i artystycznych, dla kultury naszéj myśli i dla przyszłéj historyi obecnego okresu literatury ten brak pesymistów w wielkim stylu poczytywanym będzie za *plus*, czy za *minus?*

Zdaje mi się, że przyszły historyk obecnego okresu napisze mniéj więcéj: W literaturze polskiéj w ostatnich dziesiątkach XIX-go stulecia nie czujemy silnego toku tych prądów, jakie wstrząsały literaturę i umysłowość najbardziéj w cywilizacyi posuniętych narodów owego czasn na Zachodzie. Była to epoka przełomu, niejako linia demarkacyjna między dwoma okresami społecznemi. Na ruinach mieszczańskiego liberalizmu w polityce, pozytywizmu w filozofii, wśród zaciętéj dyskusyi klas społecznych, z których jedne broniły swoich przywilejów i monopolów, przywiązanych do kapitalistycznego ustroju, a drugie, systematycznie i bezlitośnie siłą mechanicznego prawa wydziedziczane i spychane w otchłanie proletaryatu, organizowały się przeciwko pierwszym, literatura europejska przedstawiała żywy interes, tak pod względem społecznym, filozoficznym, jak i artystycznym.

Nauki społeczne stały się przedmiotem badań najpierwszych myślicieli, psychologia zajęła pierwszorzędne miejsce w utworach literatury, a dzielni krytycy i estetycy dokonali wielkiéj wagi odkryć dla literatury i sztuki.

Wyniki badań społecznych i analiza psychologiczna, doprowadzone do artystycznéj umiejętności, wzmocniły fundamenty, przekształciły i podniosły twórczość literacką do krytycznych wymagań czasu. Te czynniki, o których mówimy, ograniczyły wprawdzie sferę fantazyi na rzecz rozumującéj analizy i wcisnęły w ciaśniejsze ramy dowolność poetyckiéj wyrbraźni, ale jeśli zważymy otoczenie umysłowe i estetyczne, to przyznamy, że zmiana ta w dziedzinie twórczości była nieuniknioną i zostawała w zależności od ducha czasu, od wielkiego krytycznego postępu i od całéj sumy czynników i objawów cywilizacyjnych.

Epoka ta, któréj przed innemi nazwami należy się nazwa krytycznéj, zwróciła swój skalpel analityczny do wszystkich dziedzin społecznego i moralnego, umysłowego i estetycznego życia. Była epoką analizy, komentarzy i pesymizmu. Jéj synteza była nierównie mniejszą od jéj analizy, a namiętności twórcze — od namiętności krytycznych. Nawet twórczość stała się analityczną. Zamiast tworzyć potężne kreacye, zajęła się człowiekiem fizyologicznym na niższych i człowiekiem psychologicznym na wyższych szczeblach kultury, obnażyła jego komórki sercowe i jego siatkę mózgową, oświeciła wszechstronnie istotę i tajniki jego duszy. Wydoskonaliła analityczną powieść, filozoficzną krytykę, pesymistyczną poezyą, monografią zrozpaczonéj i choréj duszy i religią raczéj filozoficznego, niż artystycznego piękna.

Studyami nad życiem na łonie cywilizacyi zajmowali się najznakomitsi pisarze europejscy. Jedni z nich, jak Zola, zapatrywali się na zjawiska psychiczno-społeczne z przyrodniczo-historycznego punktu widzenia, dowodząc, że w człowieku ucywilizowanym pokutują niezłamane jeszcze instynkta zwierzęce; drudzy moraliści, jak Tołstoj, widzieli zbawienie w powrocie do ascetyzmu pierwszych chrześcian i w potępieniu owoców fałszywéj kultury; inni nareszcie, jak Bourget i Rood interesowali się człowiekiem tylko w jego wyższych objawach pod wpływem warunków wyrafinowanéj cywilizacyi. Mniéj lub więcéj wyraźnie wszyscy oni byli zwiastunami nowéj epoki z różnicą, że jedni ją głosili z gorliwością apostołów, a drudzy, wierząc w jéj przyjście, nie wierzyli w jéj zbawienność.

Nie dziw, że literatura ta była pesymistyczną. Jeden z najwytworniejszych jéj znawców pisał wówczas: „Ideały pierzchły z życia, więc ich świetlane widma nie przesuwały się między bohatérami sztuki, któréj zrabowaną świątynię napełnił zwycięski motłoch. Gwałtowny nurt reformacyjnych dążeń społecznych nie mógł również

unosić z sobą umysłów w krainę ideału, gdyż jego głównym celem było podmycie, obalenie dotychczasowéj budowy życia zbiorowego. Rzucał on z wściekłością o jéj mury swe spienione fale, był burzą, wulkanem, siłą niszczącą, ale nie twórczą. Walcząc przeczeniem i krytyką, musiał przedewszystkiém odsłaniać zgniłe podwaliny, kruche wiązania, okrywające zgniliznę, nędzę, zepsucie i bezprawia. Był on piorunującą filipiką, aktem oskarżenia, pozwem lub klątwą, więc wydobywał na wierzch głęboko ukryte błoto występku i niecnoty. Ludzkość stanęła w sądzie dla wysłuchania i przeprowadzenia sprawy łupiestwa, chciwości, oszustwa i krzywd wszelkich, poważnione strony zaczęły wzajem znieważać się i odsłaniać do naga swoje samolubstwo. I znowu powieściopisarzom ukazał się tłum wrzaskliwy, o kawał mięsa lub nieogryzioną kość walczący, zniżony do poziomu najgrubszych namiętności, ożywiany jedynie żądzą płciową i głodem lub nienawiścią. Ponad tém sfalowaném i spienioném morzem przeleciał niekiedy wśród ciemności, jak meteor, charakter wielki, promienisty, ale gasł szybko, nie zdoławszy jéj rozświecić.“

Otóż, w tym okresie, literatura, a zwłaszcza powieść polska, lękała się być posądzoną o pesymizm, a w dziennikarstwie warszawskiém palcami wytykano „pesymistów.“ Autorowie polscy, jakby obciążali jeszcze bardziéj warunki swéj pracy, sami narzucali sobie parafiańszczyznę wyobrażeń. Nawet w zakresie estetycznym większość ich obawiała się szerokich słów i idei, nagiéj prawdy i wyraźnych przyczyn, śmiałéj wyobraźni i gorącego stylu. Składali stowarzyszenie jakiéjś konwencyonalnéj hierarchii z nieskończonym szeregiem względów, stosunków i zastrzeżeń.

Tak, w przybliżeniu, napisze może kiedyś historyk, a oto, co dziś już pisze w tym względzie Orzeszkowa w „Kuryerze Codz.“ w artykule „Płacz i śmiech w literaturze“: „Żądania takie (śmiechu i kankana literackiego) bałamucą publiczność i pisarzy, nie mówiąc już o krzywdzie, którą tym ostatnim wyrządzają.“ A następnie, skreśliwszy charakterystykę literatury obecnéj, mówi: „Gdy wszyscy są zamyśleni, wzruszeni, niepewni, myż to, my właśnie, wyjątkowo, mamy być przyjemnymi roztrzepańcami i przy zgrabnych piruetach zanosić się od śmiechu? To bardzo dziwne.“

Więcéj, niż dziwne. To takie jasne, że Zola nie może pisać pamiętników *à la* Kostrzewski, Świętochowski „Klubu kawalerów“ Bałuckiego, a na „Kuryerze Świątecznym“ i „Musze“ nie może się wzorować publicystyka, obarczona nawałem spraw pierwszorzędnéj doniosłości.

Nie przesądzając zagadnienia, o ile dzisiejsze pokolenie uniknie pesymizmu obecnego, o ile ludzie początku XX-go wieku będą mieli więcéj zapału i wiary w moralne i społeczne doskonalenie się ludzkości, na teraz jest jasném, że odbiorą w spuściźnie wielkie rachunki do uregulowania. Jaka taka likwidacya pochłania całą ich energię i żywotność. Do śmiechu nie starczy czasu i usposobienia.

Może to nie będzie uważaném za paradoks, jeśli powiemy, że nie umiemy sobie nawet wyobrazić w teraźniejszości i mniéj więcéj bliskiéj przyszłości żadnego wielkiego talentu w służbie swawolnéj muzy.

Toby przeczyło motywom wyższego intelektualnego typu, wytworzonego przez prądy nowoczesnéj cywilizacyi. Duch ludzki nie darmo przeżył kilka wieków bolesnéj świadomości, nie darmo stracił wiarę w idealne światy. Im zaś więcéj rosła jego świadomość, im bogatszą była jego wiedza, tém mniéj czuł się zadowolonym z mikroskopijnego postępu wobec oceanu cierpień i potrzeb.

Czyż zaczynając od Szekspira aż do Renan'a, Ibsena i Dostojewskiego, cały ten proces wyzwolonéj, nowożytnéj myśli nie jest szamotaniem się jednostki z mechanicznie druzgocącym ją porządkiem świata, nie jest epopeją tragicznych wysiłków i zapasów? Zapewne, że jednocześnie z Wiktorem Hugo żył Offenbach, że obok Krasińskiego był i Fredro, a po Napoleonie I-ym wstąpił na tron Ludwik XVIII-ty, — ale nie Ludwik XVIII-ty, nie Offenbach i nie Fredro są przedstawicielami dziejów politycznych i literackich tego wieku. Ludzkość, jéj rasy, narody i temperamenty, znajdujące swój wyraz w genialnych lub utalentowanych jednostkach, nie śmiechem wypowiadają w tych czasach swoje potrzeby, swoją duszę i swoje dążenia?

Pesymizm jest wyobrażeniem bardzo rozległém. Pesymizm społeczny jest krytyką społecznego ustroju, i jako taki, ma w literaturze największe prawa do bytu i rozwoju, bo nie pozwala drzémać w ciasnocie drobiazgowych stosunków, skrzepnąć w stęchłéj atmosferze parafiańskich interesów i klasowego samolubstwa. Pesymizm najcelniejszych pisarzów nie jest ani czémś przypadkowém, ani wyłączną właściwością ich temperamentów i ponurych wyobraźni. Rozwijał się równolegle z nauką i filozofią, i pozostanie to właśnie zasługą literatury pięknéj, że była w styczności z umiejętnością.

Pesymizm, zależnie, naturalnie, od tego, jakiego jest myślowego i artystycznego wymiaru, łączy literaturę piękną z myślą cywilizacyjną, i stawia ją na poziomie wymagań krytycznie rozwiniętéj je-

dnostki. Odebrać literaturze ten wymiar krytyczny, jak chcą właśnie przeciwnicy pesymizmu literackiego, znaczy to zepchnąć ją ze stanowiska czynnika cywilizacyjnego do magazynu bawidełek i rupieci dla gawiedzi.

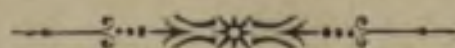
Nie piszę obrony pesymizmu literackiego, choć byłaby ona bardzo łatwą. Chciałem tylko zaznaczyć, że był i jest on znakiem czasu i wieku w życiu i w myśli, że górował nad innemi prądami i dlatego w literaturze szerokie wyżłobić sobie musiał koryto.

Bolesław Lutomski.





EKSPLOATACYA ZŁOTA
W SYBERYI WSCHODNIÉJ.



I.

Ogniskiem eksplotacyi złota w gubernii Jenisejskiéj jest miasto Jenisejsk, leżące na lewym brzegu Jeniseja i posiadające około 15,000 mieszkańców, z półsetki domów murowanych, 8 cerkwi i 2 klasztory (męski i żeński). Zaraz za miastem, po prawym brzegu rzeki, zaczyna się „tajga“, czyli nieskończony dziewiczy las, dziś wprawdzie, w pobliżu wsi i miast, znacznie przetrzebiony. Długość miasta wynosi 2 wiorsty. Jak i inne syberyjskie miasta, Jenisejsk robi na podróżniku przybyłym z Europy, a znającym większe już miasta, wrażenie olbrzymiéj wsi o niebrukowanych ulicach, latem w pył, wiosną w błoto obfitujących, a nocą pogrążonych w wiekuistéj ciemności. Minusińsk (największe po Krasnojarsku i Jenisejsku w gubernii miasto) żadnego zgoła nie posiada oświetlenia, zaś gubernialny Krasnojarsk i Jenisejsk—tylko nader skąpe.

Najdłuższą porą roku jest tu oczywiście zima, całych siedm miesięcy trwająca (od października do końcu kwietnia). Jenisej puszcza w Jenisejsku w końcu kwietnia, lub na początku maja, a w 12 dni późniéj Angara; dlatego cały maj chłodny od bez przerwy płynącéj kry. Las wokoło Jenisejska rośnie na gruncie błotnistym, wskutek czego wzrost drzew (brzozy, osiki i sosny) skarłowaciały. Minusińsk leży natomiast w okolicy stepowéj.

Śmiało rzec można, że Jenisejsk żyje z naturalnych bogactw przyrody, dostarczanych szczodrze przez tajgę. Na pierwszém miej-

scu stoi tu oczywiście złoto; rybołóstwo zaś, myślistwo i handel futrami i skórami zeszły obecnie, szczególnie z chwilą bezprzykładnego upadku cen na sobole i popielice—na drugi plan.

Wszystkie pieniądze kapitalistów jenisejskich płyną do tajgi na roboty w kopalniach.

Drugim głównym przedmiotem handlu téj gubernii jest zboże, dostawiane z żyznych ziem okręgu minusińskiego wodą do Jenisejska. Są to spekulacye milionowe, albowiem do jednego Jenisejska spławia się rokrocznie półtora miliona pudów ziarna i mąki. Drobni spekulanci wyprawiają mniejsze partye mąki (przeważnie pszennéj) na tratwach i zbywają je w Krasnojarsku, zawsze z wybornym zarobkiem; więksi kupcy budują ogromne barki i dążą wprost do Jenisejska, nie zatrzymując się w Krasnojarsku. Ceny mąki w Minusińsku są następujące: pud pszennéj wyborowéj 60 kop., zwykłéj 55 k., średniéj 45 i 40 k., żytniéj od 25—35 k., owsa od 18—25 kop. W Jenisejsku płaci się mąka pszenna od 1 rs. do 1 rs. 30 kop. i drożéj, żytnia od 50—80 kop.; podobnież i owies w dwójnasób drożéj. Wiosną, przy wielkiéj wodzie, tratwy stają 4-go dnia, po odbiciu z Minusińska, w Krasnojarsku, a w ciągu dalszych 3-ch dni w Jenisejsku; jestto więc stosunkowo dość szybka, a w każdym razie najtańsza komunikacya. Tą drogą spławiają z Minusińska jesienią arbuzy i orzechy cedrowe, jedyne w Syberyi specyały.

Towarzystwo w miastach jest mieszane. Każdego tu nowoprzybyłego uderza demokratyzm towarzystwa; tu nie masz ani obywateli ziemskich, ani t. zw. ludzi wyższego świata... nie ma więc żadnych przesądów kastowych.

Zimą życie kipi w tych miastach, które stanowią ogniska eksploatacyi złota, gdyż tak robotnicy, jak i właściciele kopalń zjeżdżają się tu, pierwsi dla zawarcia nowych umów i przepicia zadatków, drudzy dla wyprawienia dobytego złota do mennicy i użycia przyjemności miejskich, których zgoła braknie w tajdze. Z nastaniem wszakże marca miasta pustoszeją, a długie karawany, czyli t. zw. „obozy“, ciągną w głąb tajgi naładowane odzieżą i żywnością dla całego zastępu robotników i koni, których przez całe lato i jesień czeka ciężka niczém, ani dniem świątecznym, ani burzą, ani spiekotą, nie przerwana robota.

Cała gubernia jenisejska, z wyjątkiem północnéj „tundry,“ ciągnącéj się od rzeki Niższéj-Tunguski do oceanu Lodowatego, posiada złoto. Tak więc począwszy od granicy chińskiéj, czyli od pasma Sajańskiego, przechodzącego poniżéj 52° północnéj szerokości aż do 66°,

wszystkie pośrednie i bezpośrednie dopływy Jeniseja, spadające z Sajanów, z pasma Byzyrsukskiego, Ałatauskiego, Jenisejskiego i z innych mniejszych łańcuchów gór, unosiły w swych wodach złoto, układając je w dolinach, dziś już zamulonych, a usuwaniem się gór, zasypanych łożyskach; dla téj to przyczyny, chcąc dziś natrafić w dolinach na złoto, kopać trzeba niekiedy kilka sążni głębokie studnie („szurfy", szyby), aby dotrzéć do pierwotnego łoża ówczesnych potoków i strumieni, które wyryły sobie nowe koryta.

Wyliczać tu nie będziemy wszystkich, bodajby tylko główniejszych rzek, nad którémi prowadzą się roboty kopalniane, ograniczymy się tylko na miejscowości, posiadającéj najbogatsze pokłady złota. Jest-to mianowicie przestrzeń, roztaczająca się między głównemi dopływami Jeniseja — Angarą i Podkamienną-Tunguską. Kraj ten cały pokrywa jedna olbrzymia nieprzerwana puszcza, którą ze względów administracyjnych i dla ogromnéj ilości rozsypanych po niéj kopalń, rozdzielono na 2 części, na t. zw. „system północny" i „system południowy, z których każdy posiada odrębny zarząd i kontrolę.

Północny pas leży między 59° 15′ a 62° szerokości północnéj i między 85° 15′ a 94° długości geograficznéj na wschód od Paryża i zajmuje przestrzeń 250 wiorst długą, a 200 wiorst szeroką. Południowy zaś pas ciągnie się o wiorst 150 od Jenisejska, między 58° 15′ i 60° 20′ szerokości północnéj geograficznéj i między 110° a 111° długości, czyli ma 180 wiorst wzdłuż, a 170 wszerz. Rzeka Pit stanowi granicę między obu systemami.

Kopalnie znajdują się w dolinach potoków, strumieni i rzek, rzadko kiedy w górach; długość ich jest rozmaita, począwszy od 5-ciu do 100-tu wiorst, szerokość zaś od 4-ch tylko do 300-tu sążni. Rzeki w téj puszczy wszystkie mają znaczne spadki, jak wogóle górskie potoki, latem często od deszczów gwałtownie wzbierają, zmieniając koryta i zrządzając robotom znaczne szkody. Doliny te zacieśniają zewsząd skaliste góry, dochodzące jak np. w okręgu Usińskim (tak nazwanym od rzeki Us, wpadającéj do Jeniseja przy jego wypływie z Sajanów) do 7,000′ nad powierzchnią morza. Tak góry, jak i doliny, pokryte są gęstym lasem iglastym; w południowéj części gubernii lasy te są wspaniałe i majestatem swym imponujące: niebotyczne świerki, potężne cedry, ciemne jodły i stuletnie modrzewie piętrzą się i dławią w stłoczonéj masie; okolice zaś bardziéj na północ wysunięte posiadają niskopienne lasy, gdzie obok świerków i sosen spotykasz często brzozę, olchę, osikę a niekiedy jarzębinę, Rozumié się więc, że najpiękniejsze krajobrazy widziéć można w południowéj części, a jak są cudowne widoki, wystarczy gdy powiem, iż nieraz zachwalane

miejscowości Schwarzwald'u lub Szwajcaryi ustępują przed odkrywającemi się oczom widza, ciemną zielonością okrytemi grzbietami piętrzących się surowych skał granitu i porfiru, między któremi, niby srebrne wstęgi, wiją się i migocą szumiące potoki, a przerażająca dzikość dziewiczéj tajgi, rzekłbyś, strachem napełnia olśnionego z podziwu podróżnika.

Drogi, prowadzące do kopalń są tak w gubernii jenisejskiéj, jak i w innych miejscowościach wschodniéj Syberyi, gdzie dobywają złoto—nader liche, tak iż, z wyjątkiem zimy, kiedy téż uskuteczniają się wszystkie dowozy mąki, mięsa, owsa, siana i odzieży — jeździć można tylko wierzchem; a ponieważ wogóle dziś produkcyjność kopalń i wartość półimperyałów (z podniesieniem się kursu rubla) znacznie upadła, przeto marzyć nawet nie można, aby te komunikacye doznały ulepszenia, skoro o ustalenie dobrych dróg nie troszczono się nawet w okresie najwyższych dochodów.

W jenisejskiéj tajdze złoto znajduje się już to w żyłach kwarcowych, już pojawia się w drobnych ziarnkach, lub w postaci piasku naniesionego przez wody w dolinach. Wietrzejące skały kwarcowe, w ciągu niezliczonych wieków rozsypywały się stopniowo pod działaniem skwarów i mrozu, a woda unosiła zmywane złoto, układając je według wagi samych cząstek minerału: cięższe i większe kawałki bliżéj, drobniejsze i lżejsze—daléj. Wiadomo, że złoto jest 19 razy cięższe od wody, kiedy kwarc tylko 2½ raza; grubsze kawałki złota, czyli t. zw. „samorodki“ gromadziły się w wymytych prądem strumieni jamach i głębinach, a drobniejsze pyłki płynęły daléj; stąd-to dziś natrafiają się w ubogich skądinąd rzeczułkach niewielkie niekiedy kotliny, zawierające zdumiewająco wiele złota, nazywają się one w języku poszukiwaczy „gniazdami.“ Grubość warstwy ziemi, pokrywającéj piasek złotodajny, czyli t. zw. „torfu“, nie wszędzie jest jednakowa; w niektórych miejscowościach nie wynosi ona nawet jednego arszyna, w innych zaś sięga kilku sążni. Nieraz pod piaskiem złotodajnym znajduje się warstwa ziemi napływowéj bez kruszcu, a głębiéj spotyka się znów warstwę, zawierającą złoto. Pochodzi to oczywiście stąd, że góry, które się utleniały i kruszyły, zawierały warstwami złoto, między któremi leżał bądź granit czysty, bądź inny jaki pokład, nie zawierający złota; przy wietrzeniu zaś tych pokładów, woda jednostajnie działająca, unosiła i osadzała między złotem, warstwę ziemi bez złota. Grubość pokładu, z którego wypłuknje się złoto również bywa rozmaita i wynosi średnio od 1 arszyna do 3. Wprawdzie znaleziono w „północnym systemie“ nad rzeką Ognią warstwę 20 arszynów grubą, a w południowym systemie w kopalni Astaszowa

piaski złotodajne 15 arszynów grubości — są to jednak nader rzadkie wyjątki. Zewnętrzny wygląd gruntów, w których znajduje się złoto w systemach jenisejskich dość jednakowy, choć stanowczo z powierzchowności ziemi o jéj bogactwie sądzić niepodobna.

Jak wiadomo, pierwsze odkrycie złota w Syberyi nastąpiło w 1839 r. i od tego czasu wykopano około 25,000 pudów złota; z początku dobywano go tylko kilka lub kilkanaście pudów rocznie, późniéj szybko zaczęły się mnożyć kopalnie; rok 1847 był dla tajgi jenisejskiéj najszczęśliwszy. Wypłukano bowiem w tym roku z górą 1,212 pudów tego kruszcu. Odtąd wszakże daje się spostrzegać upadek wydajności kopalń i obecnie dobywa się z całéj gubernii jenisejskiéj tylko 300 pudów. Natomiast nad rzeką Leną w gubernii jakuckiéj i w systemie amurskim nowe odkrywają się bogactwa, dziesięćkroć przewyższające wydajność piasków jenisejskich.

Dziś stanowczo twierdzić można, że w kopalniach jenisejskich, pomimo wciąż wzrastających robót, ilość złota dobywanego upada; gdy bowiem w 1847 r. ilość przemytych piasków wynosiła 144½ milionów pudów, w 1885 r. dosięgła ona cyfry 300 milionów; wówczas liczono 97 kopalń, w 1885 roku zaś 240, — postęp więc w tym względzie znaczny, atoli złota dobywa się obecnie cztery razy mniéj, niżli w czasie największéj wydajności, t. j. w 1847 r.

Do roku 1870 poszukiwać w Syberyi złota mieli prawo tylko szlachta, pocześni obywatele i kupcy I gildyi; dopiéro w 1870 r. nastąpił zwot w prawodawstwie, i dziś każdy, nie pozbawiony praw stanu, może poszukiwać i dobywać złoto.

Jednocześnie wszakże z rozszerzeniem i uogólnieniem przepisów, krępujących dotąd dobywaczy złota, nastąpiło rozpadnięcie się towarzystw potężnych na masę jednostek, o własnych odtąd siłach próbujących szczęścia, a skutkiem koniecznym takiego rozdrobienia był upadek dawniejszego splendoru i zamożności dobywaczy złota, tak iż dziś nazwa „poszukiwacz“ nie oznacza, jak dawniéj, bogacza, lecz przeciwnie, wyobraża raczéj człowieka, goniącego ostatkami i ciągnącego, w zapasach z ciżbą wierzycieli, rydwan cudzéj spekulacyi.

Dziś bowiem wielcy bogacze, posiadający rozległe i liczne kopalnie, sami robót nie prowadzą, lecz oddają rozdzielone na cząstki kopalnie w dzierżawę drobnym spekulantom, łaknącym szybkiego wzbogacenia się, i częstokroć ostatni grosz dobywającym na prowadzenie rzekomo dobrego interesu.

Jednocześnie z upadkiem złotodajności piasków i wobec coraz częściéj powtarzających się bankructw, kapitaliści miejscowi jęli się innéj spekulacyi i rozwinęli równolegle handel takiemi przedmiotami,

które dawniéj tylko w ograniczonéj ilości i poniekąd tylko z musu zakupywał właściciel dla kopalni.

Mam tu na myśli szczególnie artykuły spożywcze, między któremi okowita i nalewki grają najważniejszą rolę. Chociaż dowóz spirytusu do tajgi jest prawem wzbroniony, niemniéj jednak ma go do syta każda bez wyjątku kopalnia. Na wódce, daléj na herbacie, cukrze, tytoniu, obuwiu, perkalach i innych drobiazgach zarabiają właściciele kopalń, lub ich dzierżawcy częstokroć więcéj, niż na samém złocie, gdyż w kilkakroć drożéj sprzedają owe artykuły od cen syberyjskich, a robotnicy, żadnéj nie mając ze światem i ludźmi komunikacyi, zmuszeni są oddawać znaczną część swych zarobków dla zaopatrzenia się w tego rodzaju przedmioty. Tak więc frymarcząc temi towarami i ustanawiając ceny najzupełniéj dowolne, zdołali poszukiwacze zredukować faktycznie płacę robotników do *minimum*, przyczém umieli zręcznie zabezpieczyć się od wszelkiéj odpowiedzialności choćby tym jedynym argumentem, że każdemu wstępującemu do służby w kopalni taksę przedmiotów niezbędnych podają do wiadomości, czém zamykają drogę do ewentualnych skarg i zażaleń. Zręcznym tym sposobem przechodzi zarobek czeladzi do kieszeni poszukiwaczy („priiskatielej"), wypłacających nadto i część zadatku przy najmie na roboty, zamiast pieniędzmi—drogim spirytusem.

Dla przykładu podam tu taksę urzędową sprzedawanych towarów w kopalniach jenisejskich (dla najtańszéj miejscowości, a mianowicie dla okręgu Minusińskiego):

Arszyn perkalu czerwonego kosztuje	22 kop.
„ „ innych kolorów	20 „
„ najlichszego kretonu	25 „
„ lepszego	od 37 do 45 kop.
„ trykotu bawełnianego	od 40 do 50 kop.
„ aksamitu bawełnianego Nr. 8	60 kop.
„ „ „ Nr. 9	90 „
„ zwykłego płótna włościańsk. (I gat.)	17 „
„ „ „ „ (II gat.)	14 „
„ „ „ „ (III gat.)	10 „
Jedna koszula perkalowa najlichsza	1 rs. 80 „
„ „ debowa	2 „ — „
„ „ czerwona kumaczowa	2 „ 25 „
Jedna para szarawarów trykotowych baweł. .	2 „ 50 „
„ „ „ debowych	2 „ — „
Opończa letnia lepszego gatunku	5 „ — „
„ „ pośledniejszego gatunku . . .	4 „ — „
Świta sukienna	7 „ 50 „
Brodnie duże	2 „ 80 „
„ małe	2 „ 60 „

Cholewki do brodni	1 rs.	20 kop.	
Jedna para podeszew tomskich	— „	70 „	
Jedna czapka letnia najgorsza	1 „	— „	
„ „ zimowa najzwyklejsza	1 „	— „	
„ „ „ z imitacyi baranka . .	1 „	50 „	
Buty proste (nadzwyczaj liche)	6 „	50 „	
Cegiełka herbaty prasowanéj	1 „	30 „	
Funt masła topionego	— „	30 „	
„ sadła top. wołowego (w Minusińsku 9 k.) .	— „	15 „	
Pud mięsa wołowego (w Min. na bazarze f. 4 k.)	3 „	— „	
Funt mięsa baraniego („ „ „ f. 3 k.)	2 „	40 „	
„ mąki pszennéj razowéj (wyraźnie 38 k.) .	1 „	10 „	
„ mydła prostego (z fabryki Minusińskiéj) (na bazarze 10 kop.)		16 „	
„ świéc łojowych (w Min. na bazarze 13 k.)		20 „	
„ machorki (w Minusińsku kosztuje 28 k.) .		40 „	
1,000 sztuk zapałek prostych (w Min. 6 k.) . .		10 „	
Funt cukru (w Minusińsku 19 kop.)		34 „	

Jak widzimy, ceny tych artykułów w dwójnasób niemal są wyższe od cen miejscowych; tym sposobem sprzedawanie owych niezbędnych dla robotnika przedmiotów stanowi bardzo znaczne źródło dochodu i dlatego śmiało twierdzić można, że przemysłowiec, posiadający na ustroniu fabrykę, kopalnię, czy téż dobywający sól z jezior słonych, tak licznych w Syberyi, prowadzi interes sposobem, jak tu mówią, „kułackim“, to znaczy jako nielitościwy wyzyskiwacz, nie wstydzący się brać 100 procentów za swe towary, kupujący kradzione złoto, rozpajający rozmyślnie swych robotników dla zagarnięcia ich zarobków.

Tacy przemysłowcy, prowadząc interes za pożyczane pieniądze i płacąc niekiedy 20% miesięcznie, używają oczywiście wszystkich możebnych i niemożebnych sposobów i środków, ażeby utrzymać się na powierzchni.

Dla téj to przyczyny, kopalnia, dająca tu mniéj 40 doli złota (ze stu pudów przemytego piasku), zarzuca się, jako nie rentująca, a w gubernii jakuckiéj i nad Amurem wydatek 1½ zołotnikowy uważa się za nędzny; tymczasem w Ameryce i w Australii przemywane są z zyskiem piaski, dające zaledwie 6 doli złota [1]).

Płaca wydawana robotnikom jest zimą znacznie mniejsza, aniżeli latem, — głównie bowiem roboty prowadzą się letnią porą. Zimą pobierają oni od 6 — 8 rs., latem zaś od 20 — 24 rs. miesięcznie, nadto

---

[1]) Ob. „Sprawozdanie Kaszmieńskiego towarzystwa popierania handlu i przemysłu“, str. 7.

ordynaryę: 2½ puda mąki żytniéj, 7 f. krup jęczmiennych, 3 f. soli, 1 f. sadła i porcyę mięsa, wynoszącą dziennie 1¼ f. Takie utrzymanie w Syberyi przy obfitości i taniości wszystkich artykułów spożywczych, uważać należy za nader skąpe, a przywykli do lepszego życia robotnicy nabierają na kredyt w magazynach pryncypała miesięcznie za rubli 4—5, nie licząc tu wydatków na odnawianie szalenie niszczącego się przy robotach ziemnych, odzienia. Tym sposobem długi robotnika dosięgają nieraz pokaźnéj cyfry i stanowią rodzaj łańcucha, przykuwającego go do kopalni. Nietylko bowiem nie otrzymuje przez zimę pensyi, ale nadto zadłuża się porządnie u pryncypała i z wiosną stawiać musi dogodniejsze dla tego ostatniego warunki; tylko jedna obawa, że taki robotnik wiosną ratować się będzie ucieczką, stawia pewne granice i szranki owemu kredytowaniu; przeciwnie latem, gdy pensye są znacznie wyższe, kredyt, rzec można, otwiera pryncypał nieograniczony, a lekkomyślni robotnicy czerpią z niego bez troski o własne dobro.

Tylko trzeźwy robotnik, przychodzący do kopalni z pewnym zasobem pieniędzy i odzieży nic, lub bardzo niewiele kupuje w magazynach pryncypała, dlatego téż wychodzi z tajgi, po robocie letniéj, zarobiwszy najmniéj 100 rs. Codziennie roboty wyznaczają się każdemu oddzielnie; gdy zostały ukończone, robotnicy mają prawo przemywać dla siebie piaski w starych szurfach; złoto zaś oddawać muszą pryncypałowi, ktory wprzód cenę za zołotnik naznacza. Dawniéj płacono 3 rs., dziś tylko 2 lub 2½ rs. za zołotnik, a to z powodu niższego kursu złota, czyli raczéj z powodu podniesienia się waluty ruskiéj. Wszakże zamiast pieniędzy umieją właściciele kopalni płacić za złoto spirytusem i dają wtedy za zołotnik złota 2 butelki t. zw. „trojówki“, czyli okowity 80-cio-kilkostopniowéj w trójnasób rozcieńczonéj, jestto więc wódka — siwucha, mająca zaledwie 28%. Za znajdywane w szurfach podczas obowiązkowéj roboty kawałki złota dostają szczęśliwcy, którym uda się dostrzedz i pochwycić takowe, tę samą cenę, jak za złoto, wymyte w wolnéj robocie; ta loteryjno-hazardowna strona roboty pociąga pracujących i skłania ich do najmowania się właśnie do takich kopalń, o których wieść niesie, że obfitują w samorodki pokaźne, a wtedy łakomi tak raptownych i nieraz znacznych zarobków [1]), patrzą oni przez palce na niewygody życia.

Według prawa, robotnik obowiązany pracować od 5-éj zrana do

---

[1]) Niedawno znaleziono na Usie samorodek, ważący 6 funtów czystego złota czyli 576 zołotników.

8-éj wieczorem, wszakże zdrowi i silni robotnicy kończą zazwyczaj wcześniej zadany wydział (np. wykopać i przewieść z miejsca na miejsce 1 sążeń kub. ziemi na 3-ch ludzi i konia), a wtedy mogą kopać lub przemywać piasek na własny rachunek.

Eksploatacya złota ma obszerne prawodawstwo, zasadzające się na szeregu najbardziéj drobnostkowych ograniczeń i formalności.

Solidarność wszystkich poszukiwaczy złota w obronie własnych interesów, brak zawiści między nimi i obawy konkurencyi wypływają, rzecz prosta, stąd, że jakakolwiek byłaby ilość wydobytego przez nich złota, zawsze się utrzymuje ono na wysokości ustanowionéj przez europejskie rynki wartości, a obawa jakiejkolwiek nadprodukcyi, tak niebezpiecznéj dziś w innych przedsiębiorstwach, wcale wyrodzić się nie może, złoto bowiem nie potrzebuje żadnego spieniężenia, samo będąc gotowym pieniądzem.

Oprócz téj korporacyjnéj siły, wypływającéj ze ścisłéj solidarności wyzyskiwaczy między sobą, mają oni nadto znaczną nad robotnikami władzę, wynikającą z samych przepisów prawnych, które pochodzą z tych jeszcze czasów, kiedy jedynym poszukiwaczem złota było państwo. Dlatego to i dziś jeszcze każdy dobywacz złota uważa się poniekąd za osobistość urzędową; on przechowuje u siebie paszporty robotników, nie przedstawiając ich do urzędu; on otrzymuje od sprawnika górniczego wprost odezwy urzędowe, a wszelki rokosz robotników przeciwko niemu uważa się za opór władzy [1]). Nadto sama administracya rządowa dopomaga czynnie poszukiwaczom.

W razach nadzwyczajnych odwołują się sprawnicy górniczy do siły zbrojnéj; ale użycie przez żołnierzy broni palnéj prawie nigdy nie przychodziło do skutku; zwykle kończy się rokosz zakuciem w kajdany głównych winowajców.

Wprawdzie i robotnicy używają wszelkich sposobów i forteli, ażeby oszukać, lub zmylić dozorujących oficyalistów, lub usunąć z pod ich oka znalezione złoto, a zbyć je drożéj w sąsiedniéj kopalni lub mieście.

Najbardziéj rozpowszechnionem złem w kopalniach złota są ucieczki robotników. Według p. Umańskiego w 1883 r. na 9439 ludzi pracujących w tajdze jenisejskiéj uciekło 546. Ujęcie zbiegów jest nader trudne zpowodu olbrzymich obszarów nieprzebytéj tajgi, gdzie łatwo ukryć się przed pogonią. Z owéj liczby 546 zbiegłych udało się pojmać tylko 32. Do tych łowów ludzi używani bywają kozacy.

---

[1]) Umanskij: „Zarysy przemysłu złotego w tajdze jenisejskiéj.“ Petersburg. T. IV. Z. II. 1891. 14

Zarząd kopalni jest następujący. Na czele stoi t. zw. rządca czyli „plenipotent“, jeżeli sam właściciel nie może bezpośrednio zajmować się kopalnią. Rządca najmuje robotników, wchodzi w stosunki z kupcami w celu zakupu u nich towarów i prowiantu, wyprawia na miejsce zapasy żywności i nareszcie kieruje wszystkiemi robotami na kopalni jako wódz naczelny. Przewiezienie zaś do kopalni prowiantu i wysyłanie tam pensyi jest obowiązkiem t. zw. „rezydenta“, mieszkającego stale w mieście w t. zw. rezydencyi właściciela (jeżeli ten przebywa w Rosyi lub zagranicą) lub towarzystwa, t. j. w głównym centralnym punkcie zarządu kopalni.

Wydział górniczy podlega na kopalni innemu dozorcy t. zw. „stanowemu“, którego nie ma tylko przy małych kopalniach; on wyznacza codzień każdemu robotę i ściśle pilnuje, aby była ukończona, czuwa nad tém, żeby np. ściany szurfów były prostopadłe, aby podkopy były natychmiast podpierane dla uniknięcia nieszczęść i t. d. Służba „stanowych“ lub „nadzorców“ jest bardzo ciężka; od rana do wieczora muszą oni stać na miejscu, wstawać o 3-ciéj, a wracać ostatnimi, czyli po 8-méj wieczorem; nadto narażeni są oni na ciągłe skargi i urazy ze strony robotników, starających się oczywiście pracować jaknajmniéj i jaknajniedbaléj. Przy maszynie, przemywającéj piaski i poruszanéj bądź wodą, bądź parą lub kieratem końskim, znajduje się dozorca specyalny. Obowiązek jego jest również bardzo uciążliwy. Oprócz bowiem całodziennego stania przy waszgerdzie, musi on zapisywać każdą przywiezioną taczkę lub taradajkę piasku oddzielnie każdemu robotnikowi, wyjmować dwa razy dziennie z pod maszyny złoto i wręczać je w kantorze rządcy; w większych kopalniach bywa mu dodany pomocnik.

Największe kłótnie z robotnikami, spory i protesty rodzą się przy owéj t. zw. „maszynie“, gdzie potrzebna najsurowsza karność, aby zapobiedz bardzo łatwéj kradzieży złota. Spory zaś wynikają stąd, że robotnicy pracujący „od taczki“, wożą zbyt małe taradajki, inni znowu, zgodzeni od sążnia ziemi, zbyt pełne przywożą wozy, przeciążają siłę koni i zawalają kamieniami maszynę.

Nareszcie, bodaj czy nie najnieznośniejszym obowiązkiem jest miejsce „porządkowego“ [1]), który winien do dnia budzić wszystkich, dlaczego też przezywają go „budzikiem“. Żyje on wciąż przy robotnikach, czuwa nad tém, by nie grano w karty, nie pito, nie hulano i t. d. Jest on, że tak powiem, „zmorą“ robotników, gdyż im wszędzie we wszystkich nie dozwolonych uciechach przeszkadza; rozumié się więc

---

[1]) T. zw. „nariadnika“.

samo przez się, że często dostaje mu się porządnie od upartych i rozjuszonych zuchów, we własną pięść zaufanych. Oprócz tych posad są jeszcze i drobniejsze, nadto przy każdéj kopalni istnieje kantor z wieloma urzędnikami, a na jéj czele stoi buchalter. Magazynów z artykułami spożywczemi, odzieżą i innemi towarami dozoruje t. zw. „materyalny“, który, jeżeli jest człowiekiem sumiennym i robotników na wadze i mierze nie oszukuje — w końcu roku dopłaca ze swéj kieszeni za *manco*, to jest za produkty, otrzymane pod wagę; tak np. cukier wydają mu zważony wraz z bibułą, on zaś, porąbawszy, sprzedaje go na kawałki bez papieru i traci nadto na okruchach; słonina ulega zepsuciu, mydło wysycha, myszy robią tu i tam szkody, a tymczasem przy rewizyi wszelki niedobór stawia się na jego rachunek. Przeciwnie ludzie o elastycznėm sumieniu żyją wyśmienicie na téj posadzie, oszukując i robotników i pryncypała.

Roboty w kantorze i przy maszynie są wogóle daleko mniéj uciążliwe, aniżeli zajęcia w szurfach, nadto zostawiają więcéj czasu wolnego.

Wykształcenia nie wymaga się wielkiego od oficyalistów; wystarcza, gdy umieją czytać, pisać i obliczać miary kubiczne. Głównie żąda się od nich, by byli roztropni, rzutni, surowi i umieli znakomicie krzyczéć i łajać; wyrobiło się bowiem pojęcie, że bez pięści i łajania z tłumem robotników nic począć nie można.

Pensye oficyalistów wyżéj wymienionych są następujące: oprócz wiktu otrzymuje „porządkowy“ 270 rs., „stanowy“ i dozorca przy maszynie po 300—350 rs., „materyalny“ 400 rs., rządca zaś 600—800 rs.

Obowiązkiem pryncypała jest dbać o pomoc lekarską dla czeladzi, utrzymywać komunikacyę pocztową dla korespondencyi i zadosyć czynić religijnym wymaganiom najemników. Każda więc kopalnia musi miéć felczera swego, apteczkę i szpital. Nadzór nad leczeniem w kopalniach prowadzi doktór, otrzymujący stałą od poszukiwaczy złota pensyę, zastosowaną ściśle do cyfry najętych przez każdego z nich robotników. Rezydent, mieszkający w mieście, pośredniczy w odbieraniu i wysyłaniu listów. Jeżeli właściciel kopalnię wypuszcza w dzierżawę, wtedy utrzymuje przy kopalni swego pełnomocnika, t. zw. „deputata“ z pensyą 600 rs., który ma obowiązek czuwania nad prawidłowém wypełnianiem umowy i rzetelną szurfówką.

Chcąc z Jenisejska udać się do któréj kopalni w „tajdze“ (np. w systemie południowym), wyjeżdza się z miasta traktem krasnojarskim do wsi Ust-Tunguski, gdzie przeprawiać się trzeba na prawy brzeg Jeniseja. Stąd już zaczyna się jazda lasem, wśród którego zaledwie co 30 wiorst spotykasz stacye pocztowe, utrzymywane

kosztem eksploatatorów. Na polance wykarczowanéj stoi długi dom, stajnia i szałas dla robotników, oto całe zabudowanie stacyi. Tu mieszka zawiadowca, mający obowiązek dostarczania koni przejezdnym i jedzenia ciągnącym robotnikom. Rozumié się, że drze on z każdego niemiłosierne ceny. Jedynym sprzętem w „domu“ są drewniane gołe tapczany z krąglakami drewnianemi u wezgłowia, zastępującemi poduszki; stoły i ławy masywne. Na kopalni zabudowania są stereotypowo jednakie i wogóle liche, widać w nich pośpiech, z jakim starano się byle prędzéj i byle taniéj sklécić coś nakształt mieszkania. Przedewszystkiém znajduje się tu t. zw. „dom“, t. j. główny budynek, gdzie mieszka właściciel lub jego zastępca, plenipotent i „materyalny“, w mniejszych domkach mieszczą się inni oficyaliści, w długich zaś koszarach—robotnicy, spoczywający na tapczanach (nary) urządzonych we dwa piętra; piecyki żelazne ogrzewają skąpo to pomieszczenie. Powietrze i zdrowotność w owych szopach fatalne.

Większość robotników stanowią zesłańcy, pozbawieni wszystkich praw stanu; łakomi dość znacznych stosunkowo zadatków i przywykli do życia bez hamulca, wolą oni towarzyskie, choć ciężkie, życie w tajdze, aniżeli ciche zajęcie lub rzemiosło w mieście; nadto przywykli do włóczęgi i żebractwa znajdują zawsze, gdy tylko im ochota przyjdzie, tysiąc sposobności do ucieczki z kopalni, zwłaszcza, gdy po otrzymaniu zadatku potrafią wyłudzić jeszcze znaczniejsze zaliczki na pozornie ważne i naglące potrzeby.

Wskutek ciągłych robót ziemnych na kopalni, wygląd jéj zmienia się z biegiem lat do niepoznania; olbrzymie szachty, szerokie szurfy, kanały doprowadzające lub odwodzące wodę, kolosalne wały usypane tu i owdzie z przemytych piasków, z gruntu zmieniają topografię miejscowości.

Roboty na kopalni są rozmaite i zależą od pory roku. Przygotowawcze, czyli wstępne odbywają się jesienią lub zimą i mają charakter rekonesansu; jestto więc, ściśle wziąwszy, właściwe poszukiwanie za pomocą bicia próbnych szurfów i świdrowania ziemi. Szurf jestto kwadratowa jama o prostopadłych 3 arszynowych bokach i kopie się tak głęboko, jak głęboko znajduje się pod naniesioną przez wody ziemią (tu zwaną „torfem“), piasek czyli pokład zwietrzałych skał („galka“), w którym złoto znajdować się może. Złotodajność owéj „galki“ probuje się za pomocą przemywania.

Takim sposobem, którego mozolność i kosztowność widoczna, określa się grubość owego torfu, czyli głębokość w jakiéj znajduje się piasek złotodajny, następnie bogactwo „galki“, grubość warstwy złotodajnéj i jéj kierunek.

Letnią porą wodę, występującą w jamie, usuwają ręczne pompy, zimą zaś rozkłada się ogień na kwadracie odmierzonéj ziemi, a gdy roztaje, pogłębia się spód, czyli dno kwadratu, a ściany wciąż pogłębiającéj się jamy, czyli studni, zostawują się w stanie zamarzniętym; tym sposobem obejść się można zimą bez pompy, gdyż zamarznięte boki szurfu nie przepuszczają wody zaskórnéj do wnętrza.

Przemywanie nakopanego piasku („galki") odbywa się oczywiście latem. Szachty podziemne prowadzą się tak, jak na wszystkich innych kopalniach, natomiast znacznie są niedbaléj utrzymane i najfatalniéj, bo za pomocą świéc łojowych oświetlane. Próby „galki" odbywają się dość często, aby daremnie nie prowadzić robót, gdy złotodajność okazuje się lichą. Zwykle przemywa się 100 pudów piasku i tym sposobem określa się wartość kopalni; jeżeli posuwane roboty w szurfie wydobywają piaski z coraz biédniejszym pokładem złota, wtedy nadaje się im inny kierunek. Do tego próbnego przemywania piasków służy pierwotny przyrząd przenośny („waszgierd"), mający kształt długiego, 2 arszyny szerokiego, spadzistego żłobu, po którym płynąca wolnym strumieniem i zajmującym całą szerokość jego woda unosi piasek i kamyki, a pozostawia tylko szlich i złoto. Szlich oddziela się od złota za pomocą magnesu.

Skoro tylko pogoda nastaje, zaczyna się przemywanie piasku, a trwa ono bez ustanku dzień w dzień, bez względu na żadne niepogody, ulewy, burze, wichry i nawałnice. Sążeń sześcienny piasku waży 1,200 pudów; ze stu pudów piasku przemywa się 40, 60, 80, i więcéj „doli" złota (tak przynajmniéj w kopalniach okręgu minusińskiego i jenisejskiego, na Amurze zaś i w gubernii jakuckiéj średnia złotodajność piasków o wiele wyższa). Do wyjątkowo bogatych kopalni należą w gubernii jenisejskiéj te, które ze stu pudów piasku dają „zołotnik" lub więcéj złota. Umiejętnie prowadzony interes przy wydatku 40 „doli" wcale dobrze się opłaca.

Złoto pojawia się w postaci drobnego piasku, świécących ziarn, blaszek cieniutkich, wreszcie jako grubsze „samorodki" (bryłki), ważące niekiedy po kilka funtów. Za znalezione „samorodki" owe, robotnicy pobierają oddzielną płacę, ustanowioną przez zwyczaj, wynikły z obawy, aby ich nie zbywali pokryjomu innym kopalniom. Obecnie w gubernii jenisejskiéj płacą za każdy zołotnik samorodków od 2—3 rubli; w razie jednak wyższéj od funta wagi, towarzystwo lub właściciel płacą dowolną cenę według własnego zdania lub umowy. Z rachunków pewnéj kopalni, o któréj wspomina p. Umański [1]), wy-

---

[1]) Umański, „Zarysy przemysłu złotego w tajdze jenisejskiéj," 1888 r. str. 160.

padły przy zamknięciu kampanii następujące cyfry: piasku przemyto 1,220 sąż. kub., czyli 1,465,100 pudów. Średnia zawartość złota wynosiła 45 zołotników. Namyto złota 1 pud 32 funty 76 zołot., czyli licząc po 3 rs. zołotnik = 20,964 rubli. Rozchód zaś dla osiągnięcia tego rezultatu był następujący:

Utrzymanie 32 robot. (każdemu po 7½ rs. mies.) kosztowało	3,405	rs.
Pensye wypłacone im przez 7 miesięcy zimowych wynosiły	2,548	„
„ „ „ „ 5 „ letnich „	3,000	„
7 kobiét dla obsługi (5 rs. mies. pensyi i 7 rs. utrzymania)	864	„
Pensye oficyalistów i ich utrzymanie	2,300	„
Felczer i złoto samorodkowe kosztowało	800	„
Razem	12,917	rs.

Nadto potrącić jeszcze należy: płacę urzędnikom (po 1 rs. sprawnikowi od każdego robotnika, po ½ rs. jego pomocnikowi, po ¼ rs. pisarzowi i po ¼ rs. duchownemu), utrzymanie koni, kosztujące średnio po 60 kop. na konia dziennie i nakoniec opłaty rządowe.

Rzeczywisty więc czysty dochód znacznie się redukuje, chociażby nie było potrzeby uszczuplić go opłatą wysokich procentów (20% miesięcznie) za pożyczane fundusze.

Przy większéj wydajności złota, dochody zwiększają się znacznie, gdyż robota pozostaje absolutnie ta sama. Już kilka „doli“ więcéj w każdych 100 pudach piasku daje znaczny zarobek; można więc sobie wyobrazić, jaką gorączką owładnięci są ludzie, gdy np. słyszą, że w gubernii jakuckiéj w okręgu olekmińskim, lub nad Amurem złotodajność piasków dochodzi do bajecznych rozmiarów 5-ciu i 7-miu nawet zołotników. Tam rzeczywiście, rzec można, że widać jak się sypie złoto, gdy łopatą piasek z szurfu wyrzucasz na wierzch.

II.

Złoto nad Amurem.

W kraju Nadamurskim odkryto złoto w 1866 r. nad rzeczką Dżalindą. Bogactwo warstwy złotodajnéj przyciągnęło wnet poszukiwaczy i kopalnie szybko się mnożyć poczęły, tworząc całe systemy, ciągnące się wzdłuż rzek: Uruszy, Ołdy, Żei, Giluja, Brianty, Burei, Nimana, Kerbii i wielu innych.

W r. 1868 dobyto 50 pudów złota, 10 lat późniéj dobywano go już 167 pudów, w 1885 r. 302 pudy, a obecnie więcéj 600 pudów. Kolosalne bogactwo piasków nadamurskich, wydających przeciętnie od 3½ zołot. do 5 zołot. 83 doli (w kopalni Sofijskiéj nad Burgiem wydobywa się 5 zołot. ze 100 pudów piasku, w Nikołajewskiéj nad

Uruszem 5 zołot. 81¾ doli, w Nikolskiéj nad Urulmutem 5 zołot. 83 doli), a niekiedy i więcéj, jak np. w kopalni Sofijskiéj nad Algą, gdzie dobywa się bajeczną cyfrę 7 zołot. 44¼ doli,—ciągnęło jak magnesem wszystkich spekulantów, dorabiających się w krótkim czasie ogromnych fortun.

Dla uwydatnienia czytelnikowi różnicy, zachodzącéj między tylko co przytoczonym bilansem kopalni jenisejskiéj, a bogactwem okolic nadamurskich, zestawimy następujące cyfry:

Przemywszy tę samą ilość piasku nad Amurem, co i w tajdze jenisejskiéj, otrzymanoby z 1,465,100 pudów piasku (przy wydajności 5 zołot. i 83 doli) 22 pudy, 15 funtów, 2 zołot. złota, czyli 85,922 zołotników, a licząc po 3 rs. zołotnik, wyniósłby dochód *brutto* nad Amurem, zamiast jak w Jenisejskiéj tajdze 20,964 rs., — ogromną cyfrę 257,766 rs., czyli o 236,802 rs. więcéj.

Wprawdzie kosztuje utrzymanie robotników i inwentarza w kraju nadamurskim znacznie drożéj, aniżeli w tajdze jenisejskiéj; i tak kiedy w téj ostatniéj robotnik średnio przedstawia w rozchodzie cyfrę 300 rs. rocznie, nad Amurem kosztuje on od 900—1,000 rs. Również i żywienie koni zimą jest nad Amurem nieporównanie droższe, dlatego też inżynier Szestak, który tak dzielnie przyczynił się do podniesienia eksploatacyi złota nad Amurem, starał się zastąpić wszędzie konia maszyną parową; w tym celu założył liczne poprawne kopalnie nad Kanakiem, Agdą i t. p. rzekami. Dziś stanowczo rzec można, że wszystkie góry i rzeki kraju nadamurskiego są złotodajne, gdyż tak tu, jak i tam, wszędzie znaleziono drogi ów kruszec, bądź w rodzimych żyłach kwarcowych, bądź w pokładach napływowych w postaci grubych ziarn, piasku, lub niekiedy brył całkowitych.

Piaski złotodajne znajdują się zwykle w nieznacznéj głębokości (od 2—3 arsz.), czasami nawet zupełnie na powierzchni, jak np. w korycie rzeki Ołgi, w któréj, kąpiący się przypadkiem robotnik, dojrzał na dnie grube ziarnka złota; po odwróceniu rzeki, przemyte piaski z koryta wydały kolosalny procent metalu.

Sposób przemywania piasków i maszyny używane do téj czynności są nad Amurem daleko więcéj postępowe, aniżeli w tajdze jenisejskiéj. Widzisz tu lokomobile, poruszające naładowane piaskiem wagony, skomplikowane płuczki, przewożone z miejsca na miejsce, całe tory relsowe, przeprowadzane z szacht do płuczek i t. d., słowem wyższość okazuje się tu na każdym kroku i wszędzie siła człowieka i konia zastąpioną została parą.

Administracya kopalni składa się i tu z tych samych oficyalistów, co i w tajdze jenisejskiéj, tylko pensye są znacznie większe;

najniższa bowiem wynosi 400 rs., najwyższa 4,000 rs., nie mówiąc o wyjątkowém wynagrodzeniu kilku plenipotentów towarzystw, otrzymujących po 10,000 rs. rocznie. Utrzymanie oficyalistów jest mniéj więcéj jednakowe [1]). Robotnicy dzielą się i tu na 4 kategorye, stosownie do wykonywanych robót: i tak jedni prowadzą wyłącznie górnicze, drudzy są rzemieślnikami (kowale, ślusarze, cieśle, mularze, maszyniści i t. d.), inni znów uskuteczniają dostawy (drew i zapasów), nareszcie ostatni stanowią obsługę (kucharze, piekarze, praczki, służący, fornale i t. d.). Płaca jest oczywiście rozmaita, albo miesięczna od 10—60 rs., stosownie do pory roku i robotnika—albo od roboty; np. za wykopanie 1 sążnia ziemi i przewiezienie takowéj do maszyny płaci się w robocze dni 1 ½, w święto 2 rs. Za dobyte złoto po ukończeniu wyznaczonéj każdodziennie roboty (czyli za t. zw. „staratelskoje zołoto“) wypłaca się po 2½ rs. za zołotnik.

Oprócz płacy w pieniądzach otrzymują robotnicy ordynaryę, składającą się z 2 pud. 10 f. mąki, 1 p. 5 f. mięsa, 10 f. krup, 1 f. masła, 3 f. soli i ½ cegły herbaty miesięcznie na każdego człowieka. Kucharz „artielny“ otrzymuje owe prowizye i gotuje pod kontrolą samychże robotników.

Pod względem hygienicznym, kopalnie nadamurskie przedstawiają te same niedostatki, co i jenisejskie lub jakuckie; te same znajdujesz fatalne drewniane szałasy z gołemi dokoła ścian narami, ze stereotypowym, żelaznym piecykiem w środku izby, bardziéj dla suszenia mokrego wiecznie odzienia roboczych, aniżeli dla ogrzania wnętrza służącym; nareszcie te same niechlujstwo, te same wstrętne i niezdrowe powietrze. Dziwnym jest atoli fakt, że obok syberyjczyków i Rosyan, pracujący w kopalniach Chińczycy umieją utrzymać w swych odrębnych pomieszkaniach czystość i zdrowotność, przyczém opuszczają kopalnie zawsze z zarobionemi pieniędzmi, pomimo że żadne perswazye i nakazy nie skłonią ich do pracowania na odkrytém powietrzu w dni dżdżyste i niepogodne. Podczas słoty siedzi Chińczyk najspokojniéj w domu, zajmując się utrzymaniem czystości w mieszkaniu.

---

[1])

	kawalerowie otrzymują	żonaci
miesięcznie mąki	1 pud 10 funtów	2 pudy
krupczatki . . .	30 „	1 pud
mięsa	1 „ 35 „	3 pudy
krup	7½ „	15 funtów
masła	5 „	10 „
soli	3 „	6 „

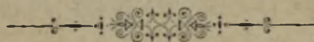
Na herbatę i cukier wydaje się każdemu po 15 rs. miesięcznie.
Patrz: „Kraj Amurski“ przez Orańskiego, Tomsk, 1886, str. 47 i 48.

Jakkolwiek byłaby godna pochwały dążność inżynierów starających się podnieść sposób dobywania złota, wszakże całe to przedsiębiorstwo jest jeszcze tak pierwotne, a użycie maszyn tak stosunkowo mało rozpowszechnione, że kiedy w Kalifornii np. na kopalni „Eurika“ wydaje się 1,273 dolarów (1,700 rs.) dla wydobycia 25 funtów złota, w tajdze jenisejskiéj, przy 10 razy większéj złotodajności piasków, wydatkować trzeba 5,173 rs., jak to stwierdza Łalkin, ażeby osiągnąć tę samą ilość drogiego metalu. Grubość napływowéj ziemi w Ameryce i Australii równa się 135′ (19 sążni i 2′), jest więc 8 razy większą niż w Syberyi, ale potężne maszyny hydrauliczne, działające dniem i nocą pod ciśnieniem 150 atmosfer wydają bajeczne rezultaty, gdyż w ciągu 10 dób są w stanie przerobić 2,885 sążni sześciennych rozsypu. Przeróbka natomiast 60 sążni kubicznych w Syberyi potrzebuje 100 ludzi roboczych, 10 dozorców i z 50 koni z uprzężą kompletną; w Ameryce przy hydraulicznym sposobie postępowania potrzeba dla téj saméj roboty tylko 4 ludzi bez żadnego konia. Rozumié się, że koszt nabycia i ustawienie maszyny hydraulicznéj, ułożenia rur, śluz i t. p. jest dość znaczny (około 50,000 rs.), ale wyłożony raz kapitał ten obciąża nie jednoroczną kampanię, ale rozdzielać się winien na cały ciąg lat, podczas których interes się prowadzi.

Cóż tu mówić o amurskich i jakuckich kopalniach, kiedy te dziesięć razy są bogatsze od jenisejskich, a pomimo tego dla braku dróg i komunikacyi, przy dzikości i bezludności puszczy, nie dają tych rezultatów, jakieby dać powinny. Dopiéro wyżéj wzmiankowany inżynier Szestak zwrócił pierwszy baczną uwagę na mechaniczne zastąpienie rąk ludzkich i siły koni maszynami parowemi. Jest więc nadzieja, że przy jednoczesném zaprowadzeniu ulepszenia w komunikacyach, mianowicie przy otwarciu wielkiéj transsyberyjskiéj kolei żelaznéj, która cały kraj Nadamurski połączy z Europą, miejscowość ta weźmie wkrótce przewagę nad innemi częściami Syberyi, gdzie pozostanie i nadal tylko pierwotna eksploatacya złota. A gdy nadto nad Amurem zostanie wszędzie zaprowadzone postępowe dobywanie drogiego kruszcu, wtedy kolosalne bogactwa mineralne wschodniéj Syberyi, wydobyte z łona ziemi, przyczynią się niepomiernie do podniesienia się kursu rubla, umożliwiając, przy potrojonéj wydajności rozsypów, jaka okazać się musi nieuniknioném następstwem rozumnego postępowania — przywrócenie waluty metalicznéj, tak pożądanéj dla całego państwa.

Adam Rzyszczewski.

Minusińsk, 24 czerwca 1891 r.





ŚWIETNY LOS.

OBRAZEK.

I.

Ksiądz Jan słuchał wymownéj argumentacyi, podnosił brwi, kiwał głową; ruch ten mógł oznaczać tak dobrze twierdzenie jak przeczenie, nie chodziło mu bowiem o wypowiedzenie swego przekonania. Wiedział, że Wolska jest gadatliwa, gwałtowna i uparta; jego zdaniem, dość byłoby jednéj z tych zalet, żeby dyabłów z piekła wypędzić, wszystkie zaś trzy razem mogły zniechęcić nietylko do mówienia, ale i do słuchania — słuchał jednak. Wolskich znał oddawna; zanim został kaznodzieją w katedrze, przez piętnaście lat był proboszczem w ich majątku, chrzcił ich jedynaka, a przed dwoma laty temuż jedynakowi już ślub dawał! Z Wolskim niegdyś polował po kilka dni z rzędu, kiedy to jeszcze ten dziś możny pan był sobie zwykłym szlagonem z zaszarganą po uszy fortuną. A i teraz, chociaż Wolski jest ważną figurą w banku, niby dyrektorem, w istocie zaś więcéj niż prezesem, ksiądz ma u niego zachowanie: od czasu do czasu udaje mu się nawet wtłoczyć swoich protegowanych do biura przepełnionego po brzegi! Z Wolskim żyje dobrze, z samą panią natomiast jest zawsze trochę „na bakier“. I teraz zaproszony na kawę, mimowoli prawie porównywa małą filiżankę z saskiéj porcelany, cztery lukrowane suchareczki na kryształowéj podstawie, z dużą srebrną tacą, ze wspaniałą jadalnią o rzeźbionych dębowych meblach. Rozparty na stole, zwyczajem dawnego proboszcza, pije zwolna kawę łyżeczką z pod oka śledzi ruchy chodzącéj po pokoju Wolskiéj; zdaje mu się, że jeszcze urosła i zmężniała przez te parę ostatnich miesięcy.

Zawsze była zbyt duża i dość okazała: w obcisłéj, zielonéj sukni, z szyldkretowym grzebieniem w wysoko uczesanych włosach, wygląda jak wachmistrz naprędce przebrany za damę; czerwona jest przytém, sapiąca, z żalu zapewne, ze smutku, gdyż od godziny opowiada, że mąż jéj jest niebezpiecznie chory, ale mówi to takim głosem, jak gdyby oburzała się, że dotąd nie umarł!

Ksiądz radbyłby skończyć tę konferencyę, zjadł już bowiem wszystkie sucharki i wypił kawę, a czasu tracić nie lubi; nie może się jednak doczekać pauzy, aby powiedzieć, że nic w téj kwestyi do powiedzenia nie ma. Zmiarkował wprawdzie, że Wolska chce go wysłać do męża, żeby do napisania testamentu skłonił, ale to misya zbyt delikatnéj natury. Wolski wygląda jak stary lew, o śmierci tymczasem nie myśli, a że schudł i źle wygląda, to już sprawa doktora nie księdza.

— Mojém zdaniem, pani dobrodziéjko...

— Przepraszam, jeszcze nie skończyłam!

Usiadła przy nim na krześle, zasapana, połknęła ślinę, mrugając oczami.

— Ona tu mnie na śmierć zagada, no cierp duszo!—Odchrząknął i słuchał.

— Ksiądz dobrodziéj patrzał na moje życie, na moje męczarnie, cierpienie, poniżenie! Na moją pracę krwawą, pot, łzy, chorobę, utrapienie, na to wszystko co ponosiłam, co wycierpiałam...

— Kiedy to, pani dobrodziejko?

— Przecież przez piętnaście lat ksiądz patrzał na moje życie, cierpienie.

— Ja? nie, to chyba mój poprzednik.

Wolska zerwała się z miejsca, nogą odsunęła krzesło.

— Tak, to prawda! Nikt tego nie widział, nikt się nie domyślał!—zawołała, chodząc szerokiemi krokami po pokoju — milczałam, ukrywałam się przed ludźmi z mojemi łzami, z mojém cierpieniem, bałam się hańby i wstydu! Bóg jeden duszę moją widział! Kiedy świat cały zazdrościł mi bogactwa, stanowiska, stosunków i koligacyi, ja byłam tylko wierną niewolnicą mego męża!

— No proszę, a w sąsiedztwie mówiono, że to mąż był wiernym niewolnikiem pani dobrodziejki!

Zaśmiała się przeciągle; szeroka twarz o zadartym nosku i siwych oczkach, oblała się gorącym rumieńcem.

— Ksiądz dobrodziéj myli się: mówiono, że się wzbogacił moim majątkiem!

— O tém nie słyszałem.

— Jakto? Mogilnica przecież jest moją własnością! Sto włók najpiękniejszéj gleby! lasy, jeziora, łąki, karczmy, młyn, gorzelnia, stacya kolei.

— Telegraf i poczta — dodał ksiądz z uśmiechem.

Spojrzała mu w oczy ostro.

— O wartości Mogilnicy, jak również o têm, że jest pani posagowym majątkiem wié cały powiat, a może nawet cała gubernia! Ależ to była rudera, pani dobrodziko! sam pamiętam te czasy, kiedy w domu mieszkalnym szczury i żaby gnieździły się pod podłogą, a kury na strychu; kiedy obory, stodoły i spichrze wyglądały, jak kupy gruzów mchem porosłe, a w domu bożym, w tym skromnym kościołku, żadnéj całéj szybki w okienkach nie było, deszcz zaléwał ołtarze, a przez spróchniałe zręby i psy i prosięta wciskały się do domu bożego! Sam to pamiętam, pani dobrodziéjko! Dziś Mogilnica wygląda jak murowane miasteczko: pałacyk, park, kościołek jak należy, dziś na sto mil dokoła takiego majątku nie ma!

Wolska zatrzymała się na środku pokoju, jakby zdumiona, że ktoś w jéj obecności tak długo mówić potrafił. Kiwała głowę z drwiącym uśmiechem.

— Tak, świetnie wygląda! Szkoda tylko, że ani grosza dochodu nie daje! Taki jest rezultat wzorowo-postępowo-uczonéj gospodarki!

Splunęła na posadzkę; rzuciwszy na księdza pogardliwe wejrzenie, zaczęła znowu biegać po pokoju.

— To mnie truło i dotąd truje! — zawołała ochrypłym głosem. — Krwawica moich ojców i dziadów, odwieczne gniazdo nasze zmarnowane i basta. Cóż mi po murowanym domu, kiedy ja grosza jednego z majątku nie mam? Kiedy cały dochód na gospodarkę i administracyę idzie? Z téj Mogilnicy mój panie, żyli marszałkowie, starostowie, podkomorzowie, wyposażano córki, synów! Dziś Maks z żoną siedząc w Mogilnicy, na utrzymanie domu od ojca pieniędzy potrzebuje!

— Pan Maks żaden gospodarz.

— Pan Maks...— zamilkła, wzruszyła ramionami nieznacznie.

— Tam trzeba innéj ręki i innéj głowy. We mnie dusza zamiéra, gdy na to patrzę. A jak pomyślę, że może do śmierci ze skrępowanemi rękami patrzéć będę, jak moją krwawicę marnują na głupie mrzonki, krwawe łzy w oczach stają... ja do tego nie dopuszczę!

Stuknęła pięścią o stół, aż zadrżała próżna filiżanka i próżna podstawa do sucharków.

— Jaki ją dyabeł opętał? — rozmyślał ksiądz, śledząc uważnie jéj ruchy i słowa.

— Ksiądz jest przyjacielem mego męża, może jedynym człowiekiem, który z nim o wszystkiém mówić potrafi, ksiądz dobrodziéj powinien mu to przedstawić, niech zawczasu ureguluje interesa... niech ja wiem, co jest moją własnością... w tym chaosie przedsiębiorstw, spółek, zobowiązań pieniężnych, mogą tak zaplątać majątek, że w końcu ja swojéj własności nie odszukam!

— Mogilnica nie szpilka, pani dobrodziejko, zawsze ją znaleść będzie można, mówić zaś w oczy człowiekowi gotuj się na śmierć, pisz testament, to nie tak łatwo, jak się pani zdaje.

— Ależ on chory, on jest niebezpiecznie chory! Przecież codzień na niego patrzę! wygląda jak mumia, stetryczał ostatecznie! On siebie nie zna... trzeba mu w końcu oczy otworzyć!

— Po co?

— Eh, powiédz ksiądz odrazu, że przyjacielskie rady i usługi do kanonów nie należą, że kapłaństwo nie obowiązuje do współczucia, a powinność obywatelska to czczy frazes dla księdza; powiédz to szczerze, skończymy rozmowę odrazu; ja nie będę potrzebowała otwiérać najskrytszych tajników duszy, jak przed spowiednikiem! Powiédzże, miéj odwagę?

Stała przed nim wyprostowana, z podniesioną głową, szare oczki przybrały stalowy odblask, nozdrza i wargi drżały zlekka...

Ksiądz rozparty w fotelu, z ręką na stole, patrzał na nią spokojnie.

— Przeżył z nią lat trzydzieści i miałby się lękać śmierci! — rozmyślał, patrząc na jéj twarz wzburzoną.

— Więc skończmy rozmowę — odrzekł, wstając z krzesła—pani dobrodziejka przez zbyteczną troskliwość o męża, zanadto pesymistycznie zapatruje się na jego chorobę. Zresztą on wié, że zostawia matkę i syna tylko... czyż wobec tak prostéj kombinacyi warto mu podsuwać jakieś tam plany, o których on może nie chce myśléć?

— Tak ksiądz sądzi?— odrzekła głosem stłumionym, jak grzmot przed burzą—ja jestem innego zdania... obowiązki nie kończą się wraz ze śmiercią; powinniśmy pamiętać, żeby ci co zostają, złorzeczyć nam nie mieli powodu. Tak mi się zdaje przynajmniéj... może nie jestem dość biegłą w sprawach sumienia? — dodała z ironią.

— O umarłych mówi się albo dobrze, albo nie mówi się wcale, pani dobrodziejko! Biedny p. Leon! Żeby on wiedział, że my go tu we dwoje ciągniemy już na sąd ostateczny, kiedy on ma zamiar przeżyć nas w dobrém zdrowiu.

— Daj Boże! Ja nawet księżom śmierci nie życzę, chociaż ci żadnych obowiązków nie mają!

— Jaka pani dobra! — odrzekł z kapeluszem w ręku.

Podała mu końce palców.

— Jezuita!

Nigdy nie lubiła tego rubachy i żarłoka! Dziś przekonała się raz jeszcze, że jest chytry i przebiegły! Nie chce sprawić przykrości jéj mężowi, bo ma nadzieję, że mu jeszcze będzie potrzebny.

— Ach ci ludzie, jakie to żmije podłe! I ten, wykarmił się na ich chlebie, tyle lat żył pod ich dachem, a teraz, kiedy ma sposobność oddać przysługę, okazać wdzięczność, umywa ręce od wszystkiego! Cham, szelma! Chłopskiéj krwi żaden sakrament oczyścić nie potrafi!— Splunęła w tę stronę, gdzie przed chwilą ksiądz wypił filiżankę kawy i zjadł cztery sucharki.

Chodziła po pokoju z rękami założonemi za plecy, twarz drgała jéj nerwowo, ten gbur zatruł jéj resztę spokoju! Nie wiedziała teraz do kogo się udać, czyjéj rady zasięgnąć.

— Matka i syn! — szepnęła z ironicznym uśmiechem.

Myśli plątały się chaotycznie; przed oczami wciąż miała spokojną twarz księdza, mimowoli prawie powtarzała słowo po słowie, co jéj powiedział. Nie przywiązywała żadnéj wartości do jego uwag, ani do jego sądu, myślała o nim dlatego tylko, że był to jedyny człowiek, z którym mówiła w téj sprawie, i dlatego tylko słowa jego były dla niéj jakby wyrazem ogólnéj opinii.

Więc miała się poddać losowi i czekać cierpliwie, co Bóg zesłać raczy? A po katastrofie miała przyjąć z rąk syna skromną rentę, i oddać się próżniaczéj dewocyi? Tego nigdy nie będzie! Dotąd zawsze przebojem zdobywała sobie stanowisko i poważanie, głupiém trusiątkiem była, gdy szła za mąż, i zostałaby może taką, gdyby ją życie i dola nie nauczyły rozumu! Mąż tylko o sobie i o synu myślał, zapomniałby, że ma żonę, gdyby mu się nie przypominała codzień po swojemu. Całą gospodarkę trzymała w garści; mruczał jak niedźwiedź, zrzymał się wściekle, ile razy wypytywała go o każdy grosz, wydany bez jéj wiedzy! Nie zlękła się ani jego surowéj miny, ani zdziwionych oczu, w których czytała pogardliwą nienawiść! Była jego żoną i broniła swojéj fortuny. A że świat ogłosił go mądrym, cóż ją to mogło obchodzić? Ten mędrzec nie zdobył się przecież na nic mądrego: ożenił się z nią dla posagu bez miłości. Nie kochał jéj nigdy, dowiedziała się o tém trochę zapóźno, i była tak niemądrą, że się wstydziła tego nawet sama przed sobą! Dziś jeszcze pamięta te straszne chwile, kiedy uciekała z domu do parku w gąszcz dziką i tam schowana w trawie wysokiéj, płakała jak dziecko! Gryzła pięści z żalu za czemś nieokreśloném, może za nadzieją, za szczęściem uro-

jonėm, które już raz na zawsze pierzchło bezpowrotnie. W tych zaroślach zostawiła najlepszą część swojéj duszy: zawziętą już była i wówczas, ale mogła jeszcze kochać i przebaczać: zdala od niego, kochała go szczerze, i żeby wówczas on mógł być innym, kochałaby go do śmierci. Ale kiedy po takich wybuchach żalu i gniewu, po skargach iście sierocych, wyszeptanych wśród gęstych liści leszczyny, bzów i akacyi, wracała do domu cicha, łagodna, powtarzając w duszy, że przecież dobrocią i słodyczą nawet dzikie zwierzę pozyskać sobie można, spotykała wzrok obojętny, który nietylko jéj smutku łagodnego, ale nawet jéj bolesnego rozjątrzenia widzieć nie chciał czy nie mógł! Śmiała się potém nieraz z tych łez dziecinnych! Szczęście przepadło raz na zawsze, ale fortuny postanowiła bronić do ostatka! W butach, w kożuszku, z pękiem kluczów u pasa, krzątała się po całych dniach około gospodarstwa; zbrzydła, zprościała, a cóż ją to mogło obchodzi! O gachów nie dbała, a mąż o nią nie dbał; gospodarstwo za to szło świetnie! Dziś mieliby już krocie, gdyby była pozostała na wsi; on tego pragnął, ale ona chciała mu dowieść, że nietylko gospodynią, ale i wielką damą być potrafi! Ubrana w suknię z ciężkiéj materyi, wysznurowana, czerwona, z czerwonemi rękami, potrafiła zająć zawsze pierwsze miejsce w salonie. Głupie mieszczki oglądały się na nią z drwiącym uśmieszkiem, traktowała wszystkie z góry, jak na to zasługiwały. Jedna z nich, jakaś tam doktorowa, cieszyła się czas jakiś względami jéj męża. Dzięki jéj, jeden jedyny podarek, jaki w życiu miała od męża, była to żółta materya na suknię; żółty kolor dla niéj, jasnéj blondynki. A to dla tego, że tamta, brunetka, żółte suknie nosiła! Wyobraził sobie, że to już najpiękniejszy kolor w świecie. Z materyi téj zrobiła antepedya do ołtarzy, niech Bóg patrzy na jéj krzywdę. Ha, wszystko przeszło. Dziś chciała tylko odzyskać swoją Mogielnicą, żeby módz rządzić po swojemu, gdy po śmierci męża z miasta na wieś wróci. Syn, wielki pan, ożeniony z wytworną sawantką, będzie jéj tylko zawadzał w gospodarstwie, może miéć jakąś pretensyę z powodu włożonego kapitału. Kwestyę tę należy rozstrzygnąć zawczasu, dziś, jutro, za tydzień może już być zapóźno.

— Kto mu to powie? Nie ona i nie syn... ten chyba mówić zapomniał ze zbyt wielkiego rozumu. Nie ona! to śmieszne. Czy takie rzeczy mówiła mu nieraz z całą szczerością gwałtownéj kobiéty. Dziś ust przy nim otworzyć nie śmie... nie może! Jest coś w jego zżółkłéj, ponuréj twarzy, co ją do milczenia zmusza... i to „coś“ ją przeraża. Nie bała się przecież siły, gniewu, zimnéj pogardy, nie rozczulała jéj choroba... a jeden rys, nieokreślone jakieś przygnębienie, czy może

znużenie tylko, odejmuje jéj odwagę... Boi się go pierwszy raz w życiu... I dlatego właśnie pewna jest, że wszystko się źle skończy. Liczyła na księdza... teraz na nikogo już liczyć nie może... chyba tylko na własną odwagę... I cóż w tém byłoby dziwnego, gdyby stanąwszy przed nim powiedziała otwarcie:

— Wyglądasz coraz gorzéj, możesz zamrzéć, zrób testament, gdyż po twojéj śmierci nie chcę miéć zatargów z synem! Czyż nie życzyła mu nieraz śmierci? A on, jak swobodnie odetchnąłby z całych piersi, gdyby się jéj pozbył raz na zawsze!

Tak, to prawda, a jednak na samą myśl o takiéj „szczerości“ uczuła przykry chłód w piersiach, stanęła na środku sali i obejrzała się dokoła.

Cisza panowała w całym domu, oddzielonym od ulicy obszerném podwórzem z wodotryskiem pośrodku dużego klombu. Słońce wiosenne zaglądało do okien; przez otwarty lufcik zalatywała woń bzów, rozkwitających wśród klombu i świergot wróbli, zebranych gromadnie na gałązkach akacyi.

— Ot... gdzieś tam... robota w polu idzie! — szepnęła wpatrzona w przestrzeń słoneczną za oknem. — Ha, kto wié! może dziś jeszcze pomówi „szczerze“ z mężem! Ziemię tę miéć musi, dla siebie całkowicie... musi być do końca życia panią na obszarach! Zmarniałaby jak ryba, bez wody, gdyby jéj władzę i własność odjęto. Kilka słów! cóż znowu. W rozprawy wdawać się z nim nie będzie, a myśl o niebezpieczeństwie podsunąć potrafi... niezbyt wytwornie może... ale on sam wszelką wytworność stłumił w niéj oddawna. Dziś z nim pomówi. Maksa nie ma, ani jego miłéj żoneczki... będą sami przy obiedzie. Zresztą, obiad może się obejść bez téj przyprawy, powié mu późniéj, pod wieczór, ale dziś koniecznie... jutro może ją znowu śmieszna trwoga ogarnąć, dziś czuje się odważną... to słońce majowe tak ją do życia zachęca.

II.

Stanęła w otwartém oknie, a w téjże chwili z przed stajni zajechał powóz, zaprzężony parą pięknych siwków. Wolski stał na ganku, w rozpiętym paltocie, w czapce nasuniętéj na oczy z cygarem w ustach, poruszał nozdrzami, wciągając wonne słoneczne powietrze; wyglądał dziś zdrowszy i silniejszy; wysoki, barczysty, pomimo wychudzenia miał pozór atlety; woskowa cera i szkliane oczy, zdradzały długie, uporczywe cierpienie. Wsiadając do powozu, zgrzytnął zę-

bami. Silny ból w boku odzywał się przy każdém poruszeniu. Straszny, uporczywy ból, zaczajony w okolicach kości pacierzowéj, zajmował chwilami cały bok i do serca się skradał. Od pół roku już prawie prześladowało go to widmo ciężkiéj choroby... odzywając się z początku zlekka w ciszy nocnéj, albo podczas samotnéj pracy, przy każdém niemal silniejszém natężeniu mózgu, kiedy po mozolnie przejrzanych rachunkach, z natężoną uwagą miał już podsumować szeregi cyfr, zlewających się w jakąś ruchomą masę na stronicach białego papiéru — głuchy ból chwytał go znienacka, żar rozléwał się w żyłach, skupione myśli pierzchały, a wraz z niemi rozsypywała się suma cyfr wyrzeźbiona w pamięci. Po chwili żar i ból znikał, myśli wracały do porządku, uwagi tylko skupić nie mógł: przewracał machinalnie stronice księgi, a jednocześnie wsłuchiwał się, czy się to nie powtórzy. Widmo znikało, zostawiając niepokój i gnębiące przeczucie. Nie chorował nigdy, nie miał na to ani jednéj wolnéj chwili w życiu. Teraz, kiedy jeszcze tylko na kilka lat potrzebował sił i energii... ten głupi ból z nóg go ścinał, pozbawiał spokoju, dziwaczne myśli nasuwał. Z początku chciał go zwalczyć zdwojoną energią w używaniu codziennéj hygieny: nacierał się mocno gąbką w zimnéj kąpieli; jeździł konno i pił tylko wódkę z własnéj gorzelni.

— Zasiedziałem się zbytecznie... dwudziestoletnia praca biurowa bokiem wyłazi. Trzeba grzbiet prostować. Trzymał się dotąd świetnie; z dużą głową, wsuniętą w szerokie ramiona, z czarnym, krótko przystrzyżonym zarostem, wyglądał jak niedźwiedź, ubrany w szerokie szarawary i w surdut obwisły na grubéj ociężałéj figurze, ani jednego siwego włosa w czarnéj, twardéj jak szczecina, czuprynie. Broda tylko i wąsy siwiéć zaczęły, czernił je zlekka. Nie chciał, żeby „przyjaciele“ cieszyli się zawczasu, że już z pola schodzić zaczyna.

Przez wzgląd na „przyjaciół“ i o tym bólu milczał nawet przed domownikami.

— Zaraz to wątrobie, albo żółci przypiszą... poco się mają cieszyć zawczasu.

Raz przy rozmowie nadmienił znajomemu lekarzowi, że mu tam czasami jakieś licho w lewym boku się odzywa; pozwolił nawet wyegzaminować się dość szczegółowo, ale o dłuższéj, porządnéj kuracyi słuchać nie chciał.

— Nie mam czasu! Prezes od roku choruje w Nicei, szanowni moi koledzy dyrektorowie, tylko dywidendę straszliwie studyują, jeżeli ja jeszcze w chorobę bawić się zacznę, cóż się stanie z bankiem? Najzdrowsze nogi nie poradzą sobie, kiedy zabraknie, chociażby najgłupszéj głowy! Nie mam czasu! Zresztą żeby tak coś... naprawdę,

ha, to możebym i czas znalazł. Ale to kwilenie tak bardzo mi nie przeszkadza, do końca jeszcze daleko!

Doktór zrobił taką minę, jak gdyby co najmniéj za sto lat zdrowia i życia ręczył! Receptę pomimo to napisał i odtąd zaczął się troszczyć o zdrowie Wolskiego. Receptę zmieniał kilkakrotnie, raz nawet przyprowadził kolegę, specyalistę od „rozwiązywania zagadek“; rozeszli się przekonani, że przepisany masaż raz na zawsze uzdrowi pacyenta. Wolski tymczasem sechł, żółkł, oczy przybierały szklany odblask, i kiedy po dwóch miesiącach takiego borykania się z ukrytym wrogiem, spotkał na ulicy sąsiada ze wsi, którego od roku nie widział, ten tak jakoś dziwnie spojrzał mu w oczy, z tak litościwie słodką miną zapytał o zdrowie, że Wolski na razie nie wiedział, co mu odpowiedzieć, a przez parę dni potém chodził jak struty; plunął w końcu na głupie myśli, i ze zdwojonym zapałem rzucił się do pracy. Ból znikał czasami na parę tygodni, spokój wracał, a Wolski pełen otuchy powtarzał w duchu:

— Jeszcze pięć, sześć lat, a potém...

Za pięć, sześć lat Maks miałby fortunę wcale przyzwoitą, oprócz Mogilnicy, która już dziś nawet mogłaby figurować wśród pierwszorzędnych folwarków Europy środkowéj; miałby porządnie odrestaurowaną tę ruderę w mieście, którą Wolski kupił na licytacyi za psie pieniądze, no i przytém możeby jakieś z piętnaście tysiączków w zapasie! Nie dużo to, ale i nie mało! Myśląc jednak o tych pięciu, sześciu latach, nie formułował tak wyraźnie zadania.

— Uporządkowałbym interesa i basta!

— Życie moje nie leżało odłogiem, teraz na syna koléj!

— Jemu będzie lżéj trochę... — dodawał z uśmiechem zadowolenia;—on chyba na dolę swoję narzekać nie będzie.

Lubił myśléć o tém... gdyby ta myśl mogła się pojawiać w chwilach dotkliwego cierpienia, ból byłby mniéj dokuczliwy, łatwiejby znosił niefortunne skutki recept obudwu lekarzy! Na nieszczęście, w chwilach ciężkiego ataku cały świat znikał mu z przed oczu! Wsłuchany w ten ból szerzący się z przerażającą szybkością, zaciskał zęby, tłumił oddech, zbiérał wszystkie siły, żeby jeszcze ten raz przetrwać bez jęku, bez okazania słabości nawet przed samym sobą. Zmieniał parę razy lekarzy, a dla uspokojenia się ostatecznego poszedł do jednéj z powag warszawskich, bawiącéj chwilowo w mieście. Mędrzec odrazu zganił wszystko, co dotąd zalecali jego koledzy, przepisał nową kuracyę, i dał mu dość wyraźnie do zrozumienia, że stan bardzo groźny, wymaga przedewszystkiém zmiany trybu życia — ścisłéj hygieny, wstrzymania się od wszelakich nadużyć. Ostatnie słowa pod-

kreślił głosem i wzrokiem, patrzał na pacyenta, jak inkwizytor czytający wszystkie śmiertelne grzechy w jego burzliwéj przeszłości. W końcu dodał, że dla zupełnego wyleczenia niezbędna jest dłuższa kuracya w Warszawie pod jego bezpośrednim kierunkiem. W głosie i słowach mędrca było tyle opryskliwéj impozycyi, że Wolski, gdyby mniéj znał ludzi, mógłby go wziąć za pierwszą powagę świata medycznego. Śmiał się w duszy z przypisywanych mu nadużyć. Wyglądał wprawdzie jak śledź wymokły, ale zjadła go tylko praca i ta wytrwałość żelazna, która ani na jeden krok nie pozwoliła mu oddalić się od zamierzonego celu. Więc chociaż mędrzec nie zaimponował mu trafnością uwag swoich, przepisy jego wypełniał ściśle i po trzech tygodniach takiéj kuracyi, osłabiony, zdenerwowany, pierwszy raz powiedział do siebie półgłosem:

— Hm, kto wié... może mnie już naprawdę dyabli biorą!

Miał w tym czasie ciężką przeprawę w biurze. Kiedy przed piętnastu laty wszedł do banku ziemskiego, jako jeden z założycieli z odpowiednią gwarancyą, i odrazu ujął rząd żelazną dłonią, niepraktyczni, leniwi, niezdolni, a pragnący łatwych i dużych zysków, okrzyknęli go odrazu niezmiernie bystrym, gienialnym niemal finansistą. On sam czuł, że teraz dopiéro znalazł się na właściwéj drodze, że może zdobyć majątek i znaczenie. Zmienił się w tym czasie do niepoznania: z zaniedbanego szlagona, z ogorzałą twarzą, ściganego dość natrętnie przez wierzycieli, przekształcił się w niezgrabnego zwierzchnika, sprawił sobie szerokie szare spodnie, jakby na wyrost, szeroki czarny tużurek i bardzo niezręcznie dźwigał tekę pod lewém ramieniem. Kiedy idąc do swego gabinetu, przechodził sale biurowe wpatrzony w ziemię z pod brwi najeżonych, podwładni pochylali głowy nad robotą, koledzy ściskali za ręce, uśmiechali się do niego uprzejmie, nazywając żartobliwie „szanownym prezesem.“ On na tę uprzejmość wzruszał ramionami nieznacznie, uśmiechał się pogardliwie, a tylko rozmowom przysłuchiwał się uważnie; wkrótce znał ich wszystkich razem i każdego z osobna, więc i na rozmowy przestał zwracać uwagę.

— Gdybym cały kraj złupił na korzyść kilkunastu moich wiernych przyjaciół, każdy z nich, dzieląc się ze mną czystym zyskiem, przyznałby chętnie, że jestem skończonym łotrem, moja zbyteczna gorliwość może w nich wzbudzić nienasycony apetyt — zjedzą mnie w końcu, gdy im mniejsze dawki rzucać zacznę; należy trzymać na wodzy zarówno ich fałszywy apetyt, jak i warcholskie wścibstwo do interesów, których nie rozumieją. Dla nich można jeszcze coś zrobić czasami, ale z nimi stanowczo nigdy nic!

Już w drugim, czy w trzecim roku zamanifestował swoję władzę,

gdy na walném posiedzeniu upojeni nadspodziewanie świetnym rezultatem obrotów bankowych, zaprojektowali zniżenie stopy procentowéj. Nieurodzaj był powszechny, ze wszystkich stron dochodziły skargi i narzekania, akcyonaryusze rozczuleni własném powodzeniem, cały procent gotowi byli złożyć na ołtarzu dobra krajowego! Posypały się szumne frazesy, ściskano się za ręce, sąsiedzi mieszkający o miedzę całowali się w szlachetném rozrzewnieniu. Wolski słuchał, patrzał i uśmiechał się nieznacznie. — Gdy przyszło do głosowania, widząc ogólny zapał, wziął kapelusz i wysunął się cichaczem. Projekt upadł. Kilkudziesięciu bohatérów nie mogło sobie poradzić bez jednéj głowy. Przez kilka dni następnych ściskano serdecznie jego ręce, a w rozrzewnionych i poważnych oczach mógł czytać wyraźnie, jak szczerze wdzięczni mu byli za ten dowód taktu i spokojnéj rozwagi.

Odtąd miał zapewnioną władzę bez granic; słaba opozycya istniała jakby dlatego tylko, żeby mu dostarczać sposobności do coraz świetniejszych zwycięstw.

— On wié, co robi!—mówiono o nim prawie jednogłośnie.

Spoglądali téż na niego, jak na niezwykłe zjawisko. Gdyby tak ktoś z plebsu na takie stanowisko dostał się i zaimponował zdolnościami, mógłby to być jakiś mieszaniec z żydów, albo chociaż z karaimów; ale szlachcic z dobréj staréj krwi, energiczny, wytrwały, zadziwiał wszystkich.

— Nie jedna zdolność u nas marnieje w ukryciu — powtarzał ten i ów z tajemniczą miną, dodając w duszy, że gdyby się raz znalazł na téj drodze, co Wolski, zaszedłby może jeszcze daléj.

— Szczęśliwy traf... no i przytém sumienie... tego... niezbyt drażliwe!

— Któż nie ma wrogów, kochany panie Leonie! — mawiali do niego koledzy zostający w rezerwie, gdy im dowodził w pół żartem, że malkontenci coraz liczniejsi, gotowi cały bank w powietrze wysadzić, przyczém naturalnie ucierpi on jeden, jako stały przedstawiciel wszystkich nieobecnych.

Drwił sobie ze skarg i niezadowolenia, a wszelkie drukowane manifestacye, w których figurowało jego nazwisko, zakreślał w gazetach czerwonym ołówkiem i chował do biurka, obok anonymów, wygrażających mu za zdzierstwo i wzbogacanie się kosztem całego kraju. Wiedział, że niezadowolonych nikt nigdy przekonać nie potrafi, że głupi i niezaradni zawsze własną winę na cudze barki spychają; rozumiał doskonale różnicę między interesem a filantropią, ale wiedział zarazem, że téj różnicy poszkodowany nigdy zrozumiéć nie zechce.

Wszelkie półśrodki podsuwane przez pomysłowych kolegów,

co to chcieli i krzykaczom usta zamknąć i siebie nie krzywdzić, pomijał milczeniem.

— Piłaci!—mruczał, wsłuchany w puste frazesy.

W pierwszych latach, zanim się ostatecznie oswoił z interesem, doznawał pewnéj trwogi, odczytując całe szeregi doskonale znanych mu miejscowości, skazanych na wieczystą lub częściową zagładę w drodze licytacyi. Wraz z nazwą stawał przed oczami dom, las, ogród, sadzawka, jakiś kawał zarośli utkwił mu w pamięci, wszystko to znał tak prawie, jak swój kąt własny. Ale kiedy na liście licytacyjnéj te kąty znajome zaczęły się mnożyć z każdym rokiem, machnął ręką na dalszych i bliższych sąsiadów.

— Taką fortunę dyabli biorą! -- szeptał, wpatrzony w znajomą nazwę,—ha, niech biorą! co po psie w kościele! Uśmiechał się złośliwie, w oczach błyszczał gniéw i pogarda. Nie pojmował, jak można dojść do takiéj ostateczności. On umarłby z głodu, ale nigdy nie wypuściłby z rąk tego, co mu się raz dostało! Dla bankrutów miał najwyższą pogardę, wargi mu drgały ze złości, ile razy rozmawiał ze zrujnowanym sąsiadem, który zasięgał jego rady, lub prosił o protekcyę.

— Wiész pan, że jabym się wyrzekł rodzonego syna, gdyby ten, straciwszy fortunę, ośmielił się stanąć przedemną! Tak, panie, jabym się go wyrzekł—dodawał, wpatrzony zimnym wzrokiem w zrujnowanego słuchacza.

Śmiało mógł to mówić, gdyż w jedynaku swoim ani za czasów szkolnych, ani podczas kilkoletniego pobytu zagranicą żadnych groźnych wad dopatrzyć nie mógł. Trzymał go krótko, do oszczędności przymuszał od lat najmłodszych, nawet z podarowanych pieniędzy kazał składać rachunek; ździwił się, gdy Maks, przyjechawszy raz na wakacye, odwiózł podarowane mu dwadzieścia pięć rubli.

— Leniłem się zapisywać wydatki, wolałem więc nie wydawać—rzekł ze zwykłą swoją powagą.

-- To dobrze; odtąd będziesz miał książkę czekową. Pamiętaj o tém, to ciebie zachęci do oszczędności.

Chłopiec wzruszył ramionami obojętnie. Wolski zauważył, że ile razy była mowa o sprawach majątkowych, chłopiec drętwiał, patrzał bezmyślnie, w końcu zaczynał ziewać i wysuwał się z pokoju.

— To nic! z czasem zbudzi się w nim dusza! Powtarzał zadowolony ze spokojnego temperamentu jedynaka.

Napróżno czekał tego przebudzenia.

Maks w uniwersytecie żył równie skromnie, jak w szkołach;

w książce czekowéj ani jeden rubel nie przybył. Ojciec zaczynał go posądzać o skąpstwo.

— Lepiéj to, niż rozrzutność, ale dlaczegóżby nie miał sobie czasami pozwolić.

Bardzo ostrożnie, nie chcąc budzić próżnych myśli, nadmieniał mu czasami, że tam kiedyś trochę grosza mieć będzie.

-- Z parę milionów, co?—zapytywał Maks drwiąco.

— Miliony! Jakto u was dziś łatwo o te miliony!

— O tysiącacah mówić nie warto.

— Z tysiącami łatwiéj dorobić się miliona, niż z próżnemi rękami tysiąców, tylko wytrwałości potrzeba!

Ale Maks już go nie słuchał; wpatrzony w okno skubał wąsy, albo zwracał rozmowę na inny przedmiot.

Zanim Maks skończył szkołę rolniczą, Mogilnica była już świetnie zagospodarowaną.

— Na takiéj fortunie chyba z głodu nie umrzesz? — powtarzał Wolski z błogiém zadowoleniem.

Kochał go po swojemu, bez pieszczoty, bez łagodnego słowa nawet, ale—kochał. Od dziecinnych lat prawie chłopak imponował mu swoim spokojem i szczerością; natura wysiliwszy się na stanowcze charaktery ojca i matki, synowi dała już tylko spokój graniczący niemal z apatyą. Spełniał akuratnie wszystko, co do niego należało, lubił naukę, a wszelkich scen gwałtownych unikał starannie. Ile razy przychodziło do sprzeczki między rodzicami, Maks drętwiał albo zmykał, jak podczas rozmowy o bogactwie; Wolski hamował się jak mógł, gryzł wargi i milczał zasapany, a Wolska natomiast wyrzucała cały regestr usprawiedliwiających ją argumentów.

— Niech widzi, co ja cierpię! — powtarzała przy każdéj sposobności—za moje dobro, za moje poświęcenie jestem ostatnią sługą w domu! Odezwać się nie mam prawa, chociaż i dobro moje i serce moje niszczą, poniewierają! Niech słucha, niech widzi, do czego prowadzi krzywda i niesprawiedliwość.

Zadyszana, ocierała czerwoną ręką twarz spoconą.

— On nie ma ani jednéj kropli mojéj krwi! — powtarzała nieraz, rozjątrzona neutralnością, jaką zwykle zachowywał w wojnie domowéj.

Gniewała ją i odpychała jego widoczna obojętność, nieraz chciała porwać go za ramiona i wstrząsnąć z całéj siły, żeby chociaż tym sposobem śpiącą duszę obudzić.

— Podrzutek, wychowany z litości, więcéjby serca okazywał, niż

ten syn jedyny! Niech go tam! Obeszłam się bez miłości mężowskiéj, to i bez synowskiéj obejść się potrafię!

Pomimo że „ani kropli krwi jéj nie miał“, musiała przyznać, że był do niéj bardzo podobny. Kiedy po ukończeniu nauk wrócił ostatecznie do domu i stanął przed nią wysoki, barczysty, jasny blondyn z czerwoną twarzą i głębokiemi siwemi oczami, wstała z krzesła i przez długą chwilę mierzyła go wzrokiem od stóp do głowy. Trzy lata nie był w domu, pożegnała wyrostka, gołowąsa, a witała mężczyznę o pięknym, złotawym zaroście.

— Ależ to Strawiński, wykapany Strawiński! — zawołała w końcu,—ty ani jednéj kropli krwi Wolskich nie masz w sobie!

I jakby uszczęśliwiona tém przypuszczeniem, porwała go obiema rękami za głowę gorąco, po macierzyńsku przycisnęła do piersi.

I po trzechletniéj nieobecności Maks zdobył się tylko na uśmiéch uprzejmy, pocałował ją w rękę, a zasypany odrazu gradem pytań, milczał i skubał wąsy.

— No cóż? czy i teraz jeszcze mówić nie umiész? — spytała wpatrzona w jego twarz apatyczną.

— Czekam, kiedy matka pytać przestanie.

— Ależ to najgłupszy z Wolskich!—zawołała, dotknięta do żywego jego spokojną obojętnością.

Zbudzone raptownie uczucie nie znikło odrazu. Tego dnia na kolacyę kazała zarznąć indyczkę i czworo kurcząt, obok których pojawiły się na stole kompoty, konfitury i konserwy różnego gatunku.

— Syn marnotrawny nie był lepiéj przyjmowany — żartowała rozpromieniona.

— Tak, biédak musiał radzić sobie z całém cielęciem! — odrzekł Maks, rzuciwszy okiem na sutą zastawę. Zjadł jedno skrzydełko kurczęcia i cedził zwolna doskonałego burgunda, którego ojcu własnoręcznie z piwnicy przyniósł, wąchając po drodze stuletnią pleśń na butelce.

— Pij przynajmniéj, jeżeli jeść nie chcesz — zachęcał Wolski — to wino twój dziad do chrztu trzymał.

— Czy tak? No, proszę! a ja chciałem zapytać, skąd ojciec taki podły atrament wykopał?

Rodzice spojrzeli na siebie w milczeniu. Zapach świéżego ciasta, pieczystego, jagód, owoców w połączeniu z serdeczną natrętnością,—słowem, cała ta atmosfera rodzinna usposabiająca do rozmowy, wesołości, na niego nie działała wcale. Popijając wino, słuchał w milczeniu uwag ojca o gospodarstwie, spoglądał na stojącą przed nim ogromną szklanicę mocnéj herbaty, na fajkę o długim cybuchu, którą

Wolski palił zwolna, popijając herbatą. Na wszelkie propozycye matki co do jadła i picia, trząsł głową przecząco.

— Wrócił po trzech latach i nawet pierwszego wieczora rozmawiać nie raczy!

Ścisnęła ramionami z pogardliwym uśmiechem.

W końcu i Wolski zamilkł. Siedzieli wszystko troje milcząc przy stole suto zastawionym, w głuchéj ciszy słychać było stłumiony szum samowara i niecierpliwe bębnienie Wolskiéj palcami po stole. Z twarzą opartą na dłoni, uśmiechnięta złośliwie, spoglądała kolejno na męża i syna. Mąż w staréj lustrynowéj marynarce, w brudnéj koszuli, ociężały, znużony, z przenikliwym wzrokiem połyskującym z pod brwi najeżonych i syn w angielskiém kratkowaném ubraniu, wykwintnie czysty, sztywny, z zamyślonemi oczyma — nie mieli ani jednego wspólnego rysu, po godzinnéj rozmowie nie mieli ani jednego słowa sobie do powiedzenia!

— On ani Strawiński, ani Wolski—rozmyślała, analizując syna, jak zupełnie obcego człowieka; — jakaś nowa rasa... Od dziecka nie wiele obiecywał, a z czasem urósł tylko i zmężniał—niechże mu to na zdrowie służy!

Nazajutrz obiad był bardzo skromny, na pieczyste odegrzano wczorajszą indyczkę i kurczęta.

Wolski przez cały ranek oprowadzał syna około gospodarstwa.

— Jest na tém bank i małe zaległości, spłacisz to w kilka lat, jeżeli zechcesz.

— Ja? Nie myślę mieszkać na wsi, gospodarki nie lubię.

Wolski podniół oczy na syna; surowy, zwykle despotyczny wyraz twarzy znikł bez śladu; w oczach malowało się zdziwienie i trwoga — uczuł pierwszy raz w życiu, że wobec stanowczego spokoju syna jest zupełnie bezsilny.

— A któż to obejmie? — spytał stłumionym głosem; patrzał w twarz syna, wyczekując odpowiedzi.

Maks milczał, nie chciał się tłómaczyć, wiedział, że tu do przekonania nie trafi.

— Wolałbym inne zajęcie... gdybym jeszcze z parę lat przyrodę studyował, możebym z czasem profesurę otrzymał.

— Gdzie?

— Gdziekolwiek; do nauki mam chęć, a rolnik ze mnie żaden; sam pracować nie będę, a rola plantatora...

Uśmiechnął się nieznacznie.

Wolski chodził po ganku z rękami założonemi na plecy. Był to nowy ganek przystawiony do starego domu. Piękny, duży ganek

o sześciu murowanych słupach, na który wchodziło się po szerokich schodach okutych żelazem. Wśród starych przeważnie opuszczonych domów w całéj okolicy, na mil pięćdziesiąt dokoła takiego ganku nie było. Wolski, ile razy jadąc z miasta do Mogilnicy, wjeżdżał w lipową aleję, prowadzącą do dworu, podnosił głowę i zdaleka już wpatrywał się w białe słupy ganku, wspaniale wyglądające z po za zielonego klombu pośrodku podwórza; sam dom otynkowano tylko, dano nowe okna i dach płaski otoczono baryerką, ganek nadawał mu pałacowy wygląd. Od wiosny do późnéj jesieni przy wysokich dębowych drzwiach stał wypchany niedźwiedź na dwu łapach, trzymający drewnianą rzeźbioną paterę do biletów; wystawiano go tu z sieni, żeby ratować bure futro od molów; co ranek lokaj trzepał go kijem, a dla facecyi wkładał mu w zęby niedopałek cygara. Ganek i niedźwiedź należały do najosobliwszych przedmiotów w Mogilnicy. Wolski jeszcze tego ranka zwrócił uwagę Maksa na ganek i niedźwiedzia, umyślnie zasiadł tu z synem do czarnéj kawy po obiedzie; pokoje były ponure, zastawione odwiecznemi sprzętami, po części puste, albo obrócone na gospodarski użytek, z ganku był widok rozległy na pola z dojrzewającém zbożem, na łąki i obszerne jezioro, zakończone ciemnym lasem. Ten ganek wraz z rozległą, wybornie uprawioną przestrzenią najlepiéj świadczyły o tém, co przez te lat kilka zrobiono z Mogilnicy! Maks to wiedział, słyszał o tém przez cały ranek i w końcu z największym spokojem wyrzekł:

— Nie myślę mieszkać na wsi!

Wolski chciał chociaż z większego przetrawić w umyśle słowa syna, zanim powié mu stanowczo, że jest skończonym waryatem! Na szczęście słów tych nie wziął do serca zbytecznie, czuł jednak, jakby raptowne wstrząśnienie, po którém nastąpiła głęboka cisza.

Postanowienie to widocznie oddawna dojrzewało w umyśle, wypowiedział je przy sposobności, bez względu na wrażenie, jakie wywoła.

Wolski, chodząc po wspaniałym ganku z rękami założonemi za plecy, rzucał okiem na syna, czasami na niedźwiedzia spoglądał. Nie miał wstrętu do profesury, naukę w ludziach szanował, pomimo to, zdawało mu się, że ten stojący przed nim syn nie jest jego synem; nie było w nim nic z tego człowieka, o którym przywykł myśléć, jako o przyszłym swym spadkobiercy. Tego dnia wyjątkowo czuł się usposobiony do szczeréj rozmowy, w myśli miał jasno, systematycznie ułożony cały plan interesów majątkowych, pamiętał najdrobniejszą nawet pozycyę... obliczył mniéj więcéj, co jeszcze z czasem zrobić będzie można. Nigdy z nikim o tém nie mówił: pracował, zarabiał, groma-

dził grosz do grosza i zarówno zadowoleniem, jak i ciężką nieraz troską dzielił się tylko sam z sobą! Nie ciążyło mu to wcale, nie czuł nigdy potrzeby wywnętrzania się przed nikim, — owszem, krył się z dochodami, a na pogłoski o bajecznych jakoby zarobkach, tylko ramionami wzruszał. Pomimo to, nurtowała w nim chętka popisania się z tém co zrobił i z tém, co jeszcze zrobić może. Syn utracyusz, wartogłów, elegant-wiercipięta nie wzbudziłby w nim nigdy chęci do zwierzeń, ale ten poważny, milczący, skupiony w sobie sensat potrafiłby go zrozumiéć. Parę razy zaczynał z nim o tém rozmowę i zawsze spotykał zimny, znudzony wzrok jakby z zapytaniem:

— A cóż to mnie może obchodzić?

Urywał rozmowę, a po każdém takiém zamilknięciu odsuwali się od siebie coraz daléj.

Profesura i nauka — rzecz dobra, ale pocóż miała mu zabiérać dziecko, syna? i to jedynaka w dodatku? On miał go już gotowego w swojéj wyobraźni, zżył się z takim, jakim go miéć chciał, a z tym nowym narazie nie wiedział co robić... Mrzonki, porywy jakieś reformatorskie przyjąłby drwiącym uśmiechem, z nauki szydzić nie mógł, zresztą czuł, że tu ani szyderstwo, ani despotyzm nie pomoże.

— Ależ w takim razie... pocóż to wszystko? Sprzedać, czy zmarnować w dzierżawie?... Głupstwo! Młodość musi miéć wybryki! Jedni marnują się na hulanki, drugim waryackie teorye do głowy strzelają; ten osioł w domu sam jeden pod dozorem guwernerów, zanim w świat poszedł, był już prawie tak rozważny, jak teraz, mrzonki do niego przylgnąć nie mogły, do hulanki skłonności nie miał, więc uderzył w naukę! Spokojny, dostatni byt mu nie wystarcza, chęć może sławy, albo może o wielkich zarobkach marzy! Głupi, bo młody! Chleba kawałek ma zabezpieczony, własny dach nad głową, a tož miliony ludzi, dążąc do tego, głową mur rozbijają. Jedno ma tylko do zrobienia: watą uszy zatkać i żyć jak u Boga za piecem! Niech-no tylko tego życia spróbuje.

Wolski uśmiechnął się pod najeżonym wąsem; zęby miał jeno zaciśnięte, brwi ściągnięte groźnie ale żdziwienie i trwoga pierzchły już bez śladu.

W Mogilnicy miał wytrawnego rządcę, od czasu do czasu żona wpadała tu z miasta i jak uragan oczyszczała atmosferę gospodarczą, zmiatając niemal za każdym razem niedołęgów, złodziei, próżniaków i t. p.; pozostawała więc tylko rola pana, którą mógł spełniać bez szkody dla majątku nawet kandydat nauk przyrodniczych!

— Niech-no tylko tego życia spróbuje!

Stanął naprzeciwko syna, oparł się plecami o kolumnę.

— Jak uważasz, krępować ciebie nie myślę — rzekł stłumionym głosem — wolałbym jednak, żebyś został. Mnie siły nie dopisują, zaangażowałem się w banku i muszę tam orać jeszcze czas jakiś, któż wié, do końca życia może... A tu... zrobiłem, co mogłem... zdawało mi się, że kawał własnéj ziemi... to rzecz nie do pogardzenia, to... to... jeżeli mam twoim językiem przemawiać, to téż praca obowiązkowa... stanowisko, dla którego należy wyrzec się niektórych upodobań i skłonności! Wiem, że praca z zamiłowania dostarcza wiele zadowolenia, i to wiem, że będziesz tu żył, jak na pustyni, jeżeli zechcesz myśléć i pracować poważnie, tu nie ma ludzi! Są sąsiedzi, mili, oh, bardzo mili sąsiedzi... ale ludzi nie ma! W mieście naszém téż nie wiele znajdziesz. Ale cóż robić? Rzucić tak wszystko? Zdać na ręce rządcy, albo dzierżawcy-rabusia? Żebym był młodszy, pracowałbym daléj tak jak dotąd, ale dziś, to już dla mnie za ciężko!

Ostatnie słowa wymówił cicho, — przemawiał z całą szczerością, lecz wiedział zarazem, że jeżeli może trafić do przekonania syna, to tylko tą drogą.

Maks słuchał wpatrzony w ciemny las po za jeziorem. Miał wielką chęć wyznać, że losy Mogilnicy nie obchodzą go wcale, że dla pozbycia się tego „obowiązkowego ciężaru“ radziłby sprzedać ziemię tym, którzy z niéj żyć mogą i umieją... Miał już te słowa na końcu języka, nie powiedział jednak! Nie miał zamiaru zwalczać przekonań ojca. Mogilnica była jego dziełem, pracował całe życie, żeby ją podnieść i udoskonalić; zaszargał się po uszy w opinii publicznéj dla téj Mogilnicy tylko; sam bowiem żył jak biédak, chodził w wytartym surducie, palił podły tytoń, mieszkał wprawdzie przyzwoicie, ale to więcéj przez próżność, niż z potrzeby... I z takiém poświęceniem zbierany grosz tylko w Mogilnicę pakował! Jest przekonany, że ani sił, ani zdolności lepiejby użyć nie potrafił, że ze stu sąsiadów niezaradnych, albo tylko pracowitych, on jeden na miano porządnego obywatela zasługuje... więc każde słowo, któreby miało zamiar wpłynąć na to przekonanie, wydałoby mu się tylko głupim wybrykiem młokosa, nie umiejącego cenić korzyści dobrobytu, niezdolnego do cichéj wytrwałéj pracy, którą „stoją narody!“

— W końcu rzuciłby mi obelgą w tę moją piękną brodę!—dodał w myśli, gładząc istotnie piękny złotawy zarost.— Wymowny, no, i ze swojego stanowiska ma racyę! Nie zrozumié, chociażby mu z całą szczerością wyznał, że dla niego życie próżniacze bogatego panicza nie ma uroku, że go już nawet włóczęga po świecie znudziła ostatecznie. Teraz pragnie tylko poświęcić się ulubionéj pracy, żyć z téj

pracy na jakiéjś obowiązkowéj uwięzi, gdyż boi się spleenu, a czuje, że do tego ma straszną skłonność! Czy ma mu powiedziéć, że wpadnie w sen letargiczny, jeżeli będzie zmuszony żyć w tym raju, przynoszącym „w dobre lata“ z dziesięć tysięcy dochodu, z którego połowę idzie na długi, a drugą trzeba w ziemię wkładać, żeby znów na rok przyszły miéć z dziesięć tysięcy! Cyfrę tę zapamiętał dokładnie, ale zmiarkował zarazem, że, chcąc żyć w tym raju, trzeba albo ziemię, albo wierzycieli krzywdzić. Taki był dla niego rezultat rozmowy z ojcem.

— Więc cóż ty na to?—spytał Wolski, zniecierpliwiony długiém milczeniem syna.

— Zostałbym, gdybym wiedział, że moja obecność przydać się może...

— Spróbuj! Wszak kontraktu nie podpiszesz, a stacyę kolei masz o pół wiorsty.

Maks został; w pierwszym już roku schudł i wyprzystojniał, został członkiem towarzystwa rolniczego, zaproszono go nawet na członka klubu w powiecie, gdzie trzy razy na tydzień obowiązkowo grano w karty, a w inne dnie téż grano w karty, jeżeli się towarzystwo zebrało. Ojciec, dla uprzyjemnienia mu pobytu na wsi, nabył wspaniałe umeblowanie do gabinetu za bezcen na licytacyi po jakimś dostawcy wojskowym, który poszedł do więzienia i nie miał nadziei prędko wrócić. Na zimę Wolski wciągnął syna do kilku salonów i oddał pod opiekę prześlicznéj doktorowéj Pawęskiéj. Na wiosnę zaś Maks oświadczył ojcu, że się żeni.

Wolski wiadomość tę przyjął w milczeniu, i przez kilka tygodni udawał, że o tém zapomniał. Łudził się nadzieją, że milczenie to zreflektuje syna, a jednocześnie sam się oswajał z myślą o małżeństwie syna z panną ubogą, bez koligacyi, z mieszczką, protegowaną w „towarzystwie“ przez wzgląd na matkę, która tam kiedyś rezydowała u jakichś swoich bogatych krewnych! Przez te kilka tygodni zestarzał, stracił sprężystą energię, która mu młodość zastępowała. W banku siedział wprawdzie po kilka godzin, ale wychodził ze swego gabinetu osowiały, roztargniony, nie odpowiadał na zapytania, bał się, żeby nie powiedziéć głupstwa. Ale kiedy po dwu miesiącach syn mu oznajmił, że jest zaręczony, wiadomość przyjął z rezygnacyą.

— Wiem, słyszałem, a cóż, pora... masz lat dwadzieścia ośm, a panna téż coś około tego...

— Ma lat dwadzieścia parę, ale mogłaby miéć i trzydzieści...

— Tak, żeby przytém chociaż po dwa tysiące za każdy rok miała...

Maks spojrzał mu w oczy.

— Wszak ojciec nie korzystałby z jéj posagu, mnie téż pieniądze niepotrzebne, a więc?...

— A więc żeń się! Pamiętaj tylko, żebyś nie pożałował!

— Że nie wziąłem posagu?

Wolski nic nie odpowiedział. Z tém postanowieniem spadł mu ciężar z piersi, ale jednocześnie uczuł głuchą niechęć do syna, który żył i urządzał się podług swéj dziwacznéj natury, lekceważył towarzystwo, nie bywał prawie u rodziców, a w końcu ożenił się niewłaściwie, bez sensu, chociaż był pierwszą partyą w powiecie.

— Ha, może mu z tém dobrze będzie!

Ale i to przypuszczenie nie złagodziło niechęci; chwilami żałował, że się temu nie oparł... mógł zabronić.

— Rzuciłby wszystko i ożeniłby się bez zezwolenia. Dziś tak, wóz albo przewóz... łaskę robią, kiedy słuchają, gdyż mogliby nie słuchać... a ten przecież do wyjątkowo „porządnych“ należy!

Na ślubie był, ale do Mogilnicy przestał zaglądać. Wolska téż oznajmiła bardzo stanowczo, że noga jéj nie postanie w domu synowéj; we dwa tygodnie potém wpadła do Mogilnicy, a nie zastawszy państwa w domu, splondrowała wszystkie kąty, żeby ze sprzętów, z sukien, z drobiazgów i bielizny cośkolwiek o téj mieszczce wywnioskować. W dwóch salonach nic się nie zmieniło: duże ponure pokoje z oknami na ogród miały odwieczne jesionowe kanapy skórą obite, takież krzesła, fotele, stoły, lustra w mahoniowych ramach; ten sam olbrzymi „Sąd Salomona“ zajmował jedną ścianę w pierwszym salonie, w drugim zaś, na przeciwko drzwi, również duży „Chór Kapucynów“ przedłużał perspektywę salonów. Wszystko jak przed stu laty, pachło wilgocią, po kątach u sufitu ślady pleśni... Wolska zadyszana, sapiąca, w mgnieniu oka otworzyła wszystkie ośm okien:

— Zgnije to bez pory przy takich porządkach! Ta mieszczka pamiątek rodzinnych nie uszanuje!

Wychodząc rzuciła błyszczącém okiem na „drogie sprzęty“, które dawniéj nazywała „gratami“, gdyż prawie wszystkie miały uszkodzone nogi i dziurawe obicie. W sypialni obejrzała łóżka, kapy, próbowała w palcach cienkości płótna na prześcieradłach i nawłoczkach, obrzuciła wzrokiem dywany, firanki, portyery, w końcu szafę z sukniami otworzyła na rozcież. Powiała na nią subtelna woń heliotropu, a w oczach zamigotały koronki, niebieskie i różowe wstążki, paski, kratki i kwiatki nieokreślonéj barwy, nikłe to wszystko, lekkie, nietrwałe, fatałachy bez ceny i wartości; rozchylała jeden szereg za drugim, szukając chociaż jednéj porządnéj sukni jedwabnéj, cho-

ciaż kawałka pluszu albo aksamitu! Gniotła nielitościwie batystowe matinki, szlafroczki i sukienki ze skromnéj wełny, odstąpiła parę kroków i raz jeszcze wszystkie te „gałgany“ obrzuciła błyszczącemi z oburzenia oczami:

— I to wyprawa bogatéj dziedziczki, damy mieszkającéj w pałacu!

Przy szafie z bielizną nie było klucza; natomiast w pokoju za sypialnią czekała ją gorsząca niespodzianka. W pokoju tym, jako zamczystym i przyległym do sypialni, miała dawniéj skład rzeczy najponętniejszych, kąty pozawalane były zwojami płótna różnéj białości i cienkości: od szaréj zgrzebniny, aż do ręczników i serwet wybielonych już przez parę wiosen na łąkach; na ścianach wisiały zwykłe grube i cienkie talki, motki nici, siermięgi i spódnice zatrzymane za karę dziéwkom i parobkom; chowała tu osobliwsze nasiona fasoli, grochu, buraków, o które była niezmiernie zazdrosna, a których rodzonéj matce nie udzieliłaby dobrowolnie; nasiona te schły zwykle na obrusach i prześcieradłach rozesłanych na podłodze, albo związane w serwety wisiały na ścianach, obok parcianych koszul i spodni, przygotowanych dla parobków dworskich. Na oknach w słojach i flaszkach stały przeróżne lekarstwa domowe, w żółtawym, czerwonawym albo zielonawym spirytusie pływały żuki majowe, spoczywała skręcona w pierścień młoda żmija, zbawienne lekarstwo na wściekliznę, zioła, jagody, kora, szafran i cynamon, we wszystkich zaś pływały zdechłe muchy. Klucz od tego pokoju miała zawsze w kieszeni, nie wierzyła bowiem, żeby pod słońcem istniała służąca, któraby nie sięgnęła po te skarby, chociażby nawet w dzień ś. spowiedzi!

Otworzywszy drzwi, stanęła w progu: ściany i sufit pokryte kretonem w białe i niebieskie paski, koronkowe sztory u okien, podłoga zasłana dywanem, dużo kwiatków i trochę niskich niebieskich mebelków; na biurku wśród mnóstwa gracików duży fotogram Maksa z nadpisem: „mój mąż“, po którym następowało z dziesięć wykrzykników; takiéj wielkości fotogram widziała już na jego biurku z nadpisem: „moja żona“ i téż ze dwadzieścia wykrzykników; i tu woń heliotropu zmięszana z zapachem cygara, w kącie szafka z książkami, na stoliczku pośrodku pokoju szpicruta i damski cylinder!

Narazie zdawało jéj się, że to nie może być ten sam jéj dawniejszy pokój: wodziła okiem po ścianach, po oknach, spoglądała kolejno na wszystkie cztery kąty, — przeszła od drzwi do okna, wyjrzała na ogród przez koronkową sztorę i wyszła sztywno, z podniesioną głową. Ona nie miała tu buduarów, jéj portretów nie ustawiano na biurkach, nie pieszczono jéj tu jak kokotę, którą, gdy się sprzykrzy, będzie

można za drzwi wyrzucić, ale ona to była, jest i będzie panią, właścicielką, wszechwładną królową, jeżeli podoba się tak siebie nazwać! Policzki pałały, w oczach błyszczała obrażona duma; z większego tylko obejrzała gospodarkę, kazała usmarzyć jajecznicy z dziesięciu jaj i odjechała do domu.

Przed mężem nie wspomniała o rewizyi, natomiast w najgorszych barwach przedstawiła gospodarkę męską i kobiécą. Wiedziała, że jeszcze przez czas jakiś do Mogilnicy nie pojedzie, gdyż jest z natury zawzięty i nie prędko da się pociągnąć wesołym śmiechem ładnéj synowéj, więc tymczasem mogła mu trochę krwi napsuć; niech pokutuje, mógł przecież zabronić... a jeżeli jest tak głupi i wierzy, że Maks wyrzekłby się majątku dla téj mieszczki, no, to nie zna ludzi, a więc i za to niech pokutuje!

— Ta małpa podobno za próg nie wychodzi... Maks zawsze był niedołęgą, a teraz przy niéj całą gospodarkę zdał na Skórzewskiego, który od dziesięciu dni na febrę chory! i to teraz, w najgorętszy czas... kiedy żniwa... Pszenicy jeszcze nie tknęli... żyto najpiękniejsze tam pod lasem... porosło... przed deszczem nie zwieźli, a teraz gnije!... ze trzysta kóp już tylko chyba na podściół pójdzie! Jeżeli jeszcze pszenicę zmarnuje, to będziemy mieli świetne zbiory w tym roku!

Opowiadała równym, spokojnym głosem, jakim się mówi o wielkiém nieszczęściu. W tém wszystkiém było tylko część prawdy; Skórzewski miał febrę, ale pomimo to od świtu do nocy był w polu i ani na jedną minutę roboty nie zaniedbał — żyto zmokło tam kiedyś, ale teraz było już w stodole, a prześliczną pszenicę zżęli do połowy!

— Niech się cieszy! — powtarzała w duszy, spoglądając na zachmurzoną twarz męża!—Całe życie tylko o synalku myślał, dla niego zbierał, dla niego pracował, a teraz ma pociechę, podporę na starość!

Była uczciwą kobiétą; za młodu nawet nigdy nie starała się zwracać na siebie uwagi mężczyzn, o powodzenie nie chodziło jéj wcale! Cnotę w kobiécie ceniła wyżéj nad rozum, naukę i wdzięki! Z tém większą zajadłością powstawała przeciwko ładnym lalom i każdą posądzała o jawną lub ukrytą podłość! Synowéj swojéj wdzięków nie przyznawała wcale, nie dziwiła się jednak, że taki niedołęga Maks stracił dla niéj głowę, oburzało ją to tylko, że ten „stary“, coraz łaskawiéj o niéj się odzywał, kiedy z całą godnością zacnéj matrony napadała na syna za zbytnią uległość dla „lafiryndy“, stary słuchał w milczeniu!

— Kocha!—szepnął raz takim głosem, jak gdyby wyraz ten dziś jeszcze miał dla niego doniosłe znaczenie.

— Zgłupiał! — szepnęła wpatrzona w twarz męża. Wówczas dopiéro spostrzegła, że przez ostatnie kilka miesięcy od ślubu syna zmizerniał i postarzał znacznie, twarz zżółkła, w czarnym zaroście pojawiły się srebrne włosy, tylko w oczach wciąż jeszcze błyszczała energia i stanowczość. Po kilka dni z rzędu nie chodził do biura, papiery kazał sobie przynosić do domu, pracował do późna w nocy, a przez cały ranek chodził po salonie w szlafroku, w pantoflach, gryzł zgasłe cygaro, albo gwizdał zcicha. Wolska nie lubiła tego gwizdania, rozlegało się ono po mieszkaniu, jak wycie jesiennego wiatru... Zrobiła mu nawet uwagę, że w święconym domu nikt nie gwiżdże... Spojrzał na nią z ukosa, umilkł, a jak się zatopił w myślach znowu gwizdać zaczął...

— Powiadasz, że Maks nie gospodarz? — zapytywał ją ni z tego, ni z owego.

A kiedy ona, wpadłszy na ulubiony temat, tego niby mężczyznę ze swoją „babską“ energią i rządnością zestawiała, przypominając świetne czasy swojéj gospodarki w Mogilnicy:

— To źle, to bardzo źle, — mruczał Wolski, jakby teraz dopiéro odpowiadał na pytanie, które jéj zadał. Ale on ani gospodarz, ani uczony, on... nic... tak, wielkie nic — szeptał do siebie; zamyślał się, widocznie określenie to nie wyrażało dokładnie jego myśli.

— On Hamlet! — zawołał raz po długiéj chwili milczenia. Zaśmiał się, a odrzuciwszy głowę, siedział czas jakiś wpatrzony w sufit.

— Tak!... Hamlet!...—skrzywił się pogardliwie. Określenie dobrze myśl wyrażało, ale nie przypadało do duszy.

Syn niedołężny, leniwy, nie martwiłby go wcale, gdyby on sam mógł pracować z dawną energią; ale na nieszczęście w nim coś się zepsuło! Wszak dawniejsza pracowitość na pozór z synem nie miała nic wspólnego: pracował sam, tyranizował pracą urzędników, bo go coś parło do roboty, bo go rozpierało pragnienie zdobycia majątku, wpływów szerokich, bo... bo gotów był iść do celu nawet po słabych sercach i głupich głowach! Przyjechał syn sceptycznie uśmiechnięty, niby uczony, rzucił obojętném okiem na jego tyloletnią pracę i gotów był odejść z próżnemi rękami, jak syn ostatniego nędzarza. Nie dostrzegł w nim ani śladu zadowolenia, chociażby zwykłéj ciekawości... nic! Gdyby go był puścił wówczas... odszedłby bez wahania, i nie wróciłby może... Bo kiedy go bogactwo zatrzymać nie mogło... Ha, więc cóż? Wszak i dawniéj, pracując zażarcie, prawie nigdy o nim nie myślał!... Ale teraz wciąż go miał w myślach i dlatego może

stracił chęć do pracy!... Porównywał siebie do kiepskiego majstra, który rozpił się, nie dokończywszy roboty.

III.

Prezes banku umarł w Nicei, telegram o jego śmierci zelektryzował Wolskiego; chwilowe odrętwienie nie zagłuszyło w nim ambicyi! Miał za sobą około dwudziestu lat dzielnéj pracy... kilkudziesięciu ludzi zawdzięczało mu znaczne fortuny... byli to jego dłużnicy, którym nadarzała się sposobność odpłacenia mu piękném za nadobne! Wolski ożył; zakrzątał się z dawną energią, przez trzy tygodnie prawie nie wychodził z biura. Wtedy to ten głuchy ból zaczajony w boku zaczął coraz śmieléj do serca się skradać!

— Niepokój mnie zjada i basta! raz to się skończy... a wtedy?...

Cóż wtedy? Czy wspinający się na górę zapytuje siebie, co zrobi, gdy stanie u szczytu?

— Mogliby zamianować mnie chociaż zastępcą... przecież przez tyle lat byłem rzeczywistym prezesem! — powtarzał z ironią, porządkując chwilowo zaniedbane rachunki.

Przez całą zimę w biurze wrzało, jak w piekle: zdawało się, że nietylko sprawy biurowe, ale i wpływ swój, znaczenie, powagę Wolski stara się odrestaurować, za pomocą dotkliwego przypominania wszystkim swéj władzy i wyjątkowych zasług. Drwił w duchu z tych kandydatów, którzy, starając się chociażby o tymczasowe zastępstwo, dawali wspaniałe obiady! On teroryzował energią i był pewny wygranéj... W ostatnich latach zalęgły się w biurze żywioły, rozkładające karność i poszanowanie powagi... Na najniższych posadach pracowali wykwalifikowani adwokaci, matematycy, filologowie... Wolski miał wyrobiony pogląd na naturę i obowiązki urzędnika... wymagał bezwzględnéj karności i pracy, unikał, o ile mógł, tak zwanych ludzi „z wyższym polotem.“ Teraz zaś czuł do nich ukrytą nienawiść. Odnajdywał w każdym, jakby cień tego sceptycznego uśmiechu, który mu syna przypominał... Nie było nic świętego dla tych ludzi... praca, zasługa, zdolność wyjątkowa... wzbudzały tylko sceptyczny uśmiéch! Oni za to sami byli bez zarzutu.—Głupcy!

Zwichnięci, zbiédzeni „rozkładowicze“ może wcale o nim nie myśleli, lub przynajmniéj w milczeniu znosili ustanowiony porządek, Wolski pomimo to czytał w ich duszy... o ile mógł, pod rozmaitemi pozorami próbował biuro oczyścić. Pojawiły się drwiące, złośliwe, a prawie zawsze bardzo dotkliwe uwagi w gazetach. Miał tego już

pełną sznfladę... nowych czytać nie chciał, bo i cóż tam mogli napisać nowego!

Dopiéro na ostatniéj sesyi wiosennéj przekonał się, że „głupie frazesy“ miały swoje znaczenie,—większość zebranych widocznie zlękła się rozgłosu... Dziwne, nieznane sobie dotąd wrażenie odniósł z téj sesyi! Koledzy, „przyjaciele“ witali go, ściskali za ręce, uśmiechali się do niego po dawnemu... i usuwali się na dalszy plan, unikając dłuższéj rozmowy, jakiegoś „wyróżnienia“, któreby ich do większéj uprzejmości zmuszało. Skupiali się przy oknach, u drzwi, unikając ogólniejszéj rozmowy, gawędzili między sobą półgłosem! Wolski osamotniony, nie próbował zbliżać się do żadnego, rozmawiał z tym i z owym, a wzrokiem i słuchem łowił tę nieujętą zmianę w ogólném usposobieniu, którą czuł, widział, ale określić dokładnie nie mógł. Na razie był trochę ździwiony... Stopniowo ogarniał go przykry niepokój, podobny do zmory, dręczącéj we śnie... oprzéć się temu nie mógł, nie próbował, mówił coraz mniéj, czuł bowiem, że głos drgać zaczyna. On zwykle taki spokojny, rozważny, umiejący wybornie panować nad każdym ruchem, nad wyrazem twarzy, gryzł wargi do krwi, żeby nie miéć miny dziecka, któremu na płacz się zbiera! Słuchał, wodził wzrokiem po obecnych, ale zaledwo dziesiąte słowo wpadło mu w uszy:

— Fatalnie wygląda!

— Ma cerę nieboszczyka, szkaradnie zmieniony.

— Z nim jest źle... niepodobna, żeby tego nie rozumiał!

— Nie chce kapitulować przed czasem!

— Czas już przecie! Ma lat ze sześćdziesiąt...

Rozmowę tę zasłyszał zdaleka i przez cały czas trwania obrad powtarzał ją w myślach prawie machinalnie, — sprawy, które przed tém pochłaniały całą jego duszę, po za któremi nic nie widział na świecie, teraz wydały mu się niewyraźném, oddaloném echem... a całą uwagę pochłonęły najzwyczajniejsze frazesy: Fatalnie wygląda... z nim jest źle... czas już!...

Siedział jak odurzony... wkrótce i to echo dolatywać go przestało... pochylił głowę.

Jeden z obecnych zbliżył się do niego, mówił coś z uprzejmym uśmiechem. Wolski patrzał na niego, ale słów nie słyszał, czy nie rozumiał... W sali było gwarno, a gwar ten płynął jakby w przeciwnym kierunku od jego fotelu... Widział, że głowy, oczy, głosy zwracały się w drugą stronę sali, tam, gdzie bardzo głośno przemawiał Maszyński, wspaniały blondyn z tenorowym głosem; mówiąc, poruszał

z wdziękiem prawą ręką, przyczém brylant na małym palcu rzucał snopy światła.

— Aha! — mruknął Wolski; zwrócił twarz ku niemu, wpatrzył się zżółkłemi oczami. Słów nie słyszał, widział tylko ruchy wspaniałe, imponujące, słyszał modulacyę odpowiadających mu głosów, w których brzmiał zachwyt, a przynajmniéj głębokie uznanie!

— Aha!... — powtórzył przeciągle. Głowa zaczynała ciężyć, w uszach dzwoniło... ogarniało go przygnębiające znużenie. Wysunął się z sali milczkiem, jak niegdyś, na początku swéj karyery, kiedy za obniżeniem stopy procentowéj głosować nie chciał! W przedsionku woźny zmierzył go zdziwionym wzrokiem, a przed bramą nie zastał swego powozu.

— Wychodzę tak, jak przyszedłem! — szepnął ze smutnym uśmiechem. Była to aluzya do stanu interesów przed objęciem posady w banku.

Przez kilka dni nie wychodził z domu. W szlafroku, w pantoflach, z głową związaną białą chusteczką, stawał w oknie całemi godzinami, ukryty za firanką, przyglądał się odwiedzającym go kolegom i znajomym. Pierwszego dnia szczególnie powozy i dorożki licznie zajeżdżały przed bramę, nie brakowało i pieszych, a każdy przebiegał podwórze, rzucał kartę w przedsionku i wracał śpieszniéj, niż przyszedł; możniejsi przysyłali lokajów.

Ta czcza ceremonia nie robiła już żadnego wrażenia. Patrzał w okno, bo nie wiedział, co ma z sobą zrobić. W domu panowała głucha cisza... Od czasu do czasu otwierały się drzwi gabinetu i w progu stawała Wolska z podniesioną głową, zawsze czerwona z wyrazem niepokoju i z niecierpliwością w szarych oczach... strofowaniu, uwagom nie było końca!

— I znowu wstałeś! Że téż ty nie możesz przymusić siebie do spokojnego leżenia! Kto sam choroby szuka, zdrowym być nie może... Najlepiejbyś zrobił, żebyś nie wstawał wcale... gubisz siebie dobrowolnie, sam to rozumiész, i ja to ciągle powtarzam, ale na upór nie ma lekarstwa!

Powtarzała prawie zawsze jedno i toż samo; krzątała się po gabinecie, przynosiła wodę do picia, rosołek, sama dawała mu lekarstwo, licząc półgłosem krople spadające do łyżeczki, spoglądała z pod czoła na męża siedzącego w fotelu i kiwała głową nieznacznie. Wolski przymykał oczy, jak tylko spostrzegł ją wchodzącą; nigdy jeszcze nie wydawała mu się taka duża, tak nieznośnie głośna i zamaszysta! krzywił się, słysząc jéj głos donośny, a ciężkie kroki nabawiały go dreszczów.

Maks i Lena odwiedzili go parę razy; Maks był zafrasowany, widocznie zauważał groźną zmianę w twarzy i usposobieniu ojca, długo rozmawiał z doktorem, a potém chodził wielkiemi krokami po salonie, rzucając od czasu do czasu niespokojne wejrzenie na otwarte drzwi gabinetu; wracał kilkakrotnie, siadał przy ojcu, rozmawiali o rzeczach obojętnych:

— Ojciec powinien jechać zagranicę—rzekł w końcu;—raz przecie należy rzucić tę pracę męczącą! Po co to wszystko?...

Wzruszał ramionami nieznacznie.

— Ojciec wypocznie należycie, a późniéj z nowemi siłami zabierze się do... wegetacyi ciężko zasłużonéj—dodał weselszym głosem, dostrzegłszy zaniepokojenie ojca na wzmiankę o zagranicy.

— Po co to wszystko! — mruknął Wolski, gdy syn odszedł na dalszą wędrówkę po salonie.

— Ja z ojcem pojadę—szepnęła Lena.

Siedziała obok na krześle, głowę oparła o poręcz jego fotelu; stary obejrzał się, śliczną twarzyczką dotykała prawie jego ramienia. Zmizerniała przez tę parę lat małżeńskiego życia; z okazałéj, wytwornie pięknéj panny, pozostały tylko pyszne czarne oczy, które przy zbladłéj cerze nabrały łagodniejszego wyrazu. Wolski dawno już przebaczył synowi to „głupie“ małżeństwo; lubił nawet przejeżdżać się z nią powozem po mieście, uśmiechał się zadowolony, widząc, jak przechodnie odwracają głowy za ładną kobiétą. Zdobyła go sobie wesołą naturalnością; choćby sto tysięcy wniosła, nie potrafiłaby z większą swobodą wejść do „nieprzyjacielskiego obozu“...

— Kto umié utrzymać się na stanowisku, widocznie odpowiada swemu zadaniu!—mawiał o niéj Wolski żartobliwie.—W całéj téj sprawie winnym był tylko Maks, ona skorzystała ze sposobności, żeby sobie świetny los zapewnić.

W ostatnich czasach przywykł do niéj; przyjeżdżała sama albo z mężem, wnosząc z sobą do cichego domu pewną świeżość, blask młodości i wytworną prostotę. Wolska nazywała ją „wykrygowaną lalą“, oburzuciwszy pogardliwym wzrokiem jéj zgrabną figurę w gustownéj toalecie, wychodziła zwykle z pokoju, zostawiając ją z ojcem. Lena umiała go wciągnąć do rozmowy; lubił słuchać jéj głosu, zauważał nawet, że jest mędrszą niż na kobiétę przystało.

— Zawracają im teraz głowy nauką bez żadnéj racyi! Ale jeżeli trafi się głowa mocna, no, to w tém grzechu nie ma!

Kiedy spostrzegł, że się zna na polityce i dobrze umié historyę, zaczął ją traktować poważniéj, ściskał za rękę, jak dobrego znajomego i chętnie słuchał tego, co mówiła.

Tym razem jednak do gawędy nie miała chęci; milczała cały czas siedząc obok niego:

— Ja z ojcem pojadę!—powtórzyła.

— A mąż? zostawisz go na kilka miesięcy, a jak się zbałamuci?

— Maks nie zauważy może, żem wyjechała! On taki roztargniony, — dodała z wymuszonym uśmiechem, usiłując cały frazes w żart obrócić.

Wstała, przeszła się po pokoju. Wolski przeprowadził ją ździwionem okiem.

IV.

Tego dnia, kiedy Wolska po rozmowie z księdzem zamierzała sama nadmienić mężowi o testamencie, prezes, czując się znacznie zdrowszym, postanowił zajrzeć do biura... Od pamiętnej sesyi przeszło dwa tygodnie, podczas których nie widział nikogo ze znajomych, zerwał z pracą, ze światem, nie wyglądał prawie z mieszkania, nie czytał gazet, nie słyszał plotek, żył jakby na innym świecie, odrętwiały, ogłuszony katastrofą, której nie przewidywał.

Czuł, że runęły jego nadzieje, rozumiał dokładnie, że człowiek, którego wszyscy uważają za schorowanego niedołęgę, widoków na przyszłość mieć nie może... Przez te parę tygodni, zdawało mu się nawet, że już pogodził się z tą myślą. Naraz zbudził się z letargu, w przygasłych oczach zamigotało życie.

Wolska ździwiła się, ujrzawszy męża w powozie, wysunęła czerwoną twarz przez lufcik.

— Dokąd to!—zawołała.—Ten człowiek dobija się dobrowolnie! Co tu doktór, co tu troskliwość pomoże!...

Zatrzasnęła lufcik w chwili, gdy powóz, okrążywszy trawnik, wyjeżdżał z bramy. Wolski zmrużył oczy, oblany rozkosznem słońcem majowem.

— Zobaczymy, ha, zobaczymy jeszcze!...

Spojrzał przez ramię, i zdawało mu się, że po za sobą w tym ponurym domu, w głębi podwórza pozostawił raz na zawsze chorobę, bezsilność, głupie, niedołężne myśli.

Powóz niósł go lekko po użwirowanej drodze wzdłuż rzeki, a wonne majowe powietrze zamiast orzeźwiać do snu kołysało.

Wyprostował się, oczy otworzył szeroko, natężał siły i uwagę... w słonecznej atmosferze widział domy tonące w świeżej zieleni, wieże

kościołów na białawém tle nieba, widział srebrzystą rzekę wśród żółtych brzegów, ginącą gdzieś w głębokiéj szafirowéj przestrzeni.

Krajobraz zlewał się w niewyraźną masę, zachodził mgłą przejrzystą. Wolski, zasunięty wgłąb powozu, przymykał oczy.

— Osłabłem—szeptał jak przez sen—te parę tygodni... a może kuracya...

Powóz wjechał na bruk. Wolski otworzył oczy. Zdaleka ujrzał ciemno-popielaty gmach banku z dużemi oknami, ze złotym napisem na czarnéj tablicy.

— Nie, dziś jeszcze nie mogę!

Trącił laską w plecy stangreta:

— Wracaj przez Antokol!

I znowu powóz potoczył się po równém wybrzeżu rzeki.

Senność znikła. Ciemny, wysoki gmach banku stał przed oczami Wolskiego, a w duszy zaczęły się poruszać odrętwiałe chwilowo uczucia, zaroiło się tam, jak w gnieździe żmij, zbudzonych ze snu zimowego ciepłym promieniem słońca!

Wolski skrzywił usta... czuł przykry ból w sercu, rad byłby stłumić rozbudzone myśli, wolał już senność... potrzebował spokoju!

— Nie mogę! Maks ma racyę, trzeba skoń... trzeba wypocząć.

Zatrzymał się na téj myśli. Tak, potrzebował tylko wypoczynku. Był zdrów zupełnie, nawet ten groźny ból, który mu tyle krwi napsuł znikł, czy tylko może zaczaił się na czas jakiś...

Za miastem oblała go świéża woń ogrodów, lasu sosnowego, ścielącego się ciemną falą po wzgórzach.

— Gdzie oni chcą mnie wyprawić? Doktór rad byłby pozbyć się pacyenta, którego choroby zrozumiéć nie może, a Maks, wierzy tylko w zagraniczny rozum. Maks! Ile razy myślał o nim, widział go zawsze w kratkowanéj marynarce, z rękami w kieszeniach, chodzącego wielkiemi krokami po cienistéj ulicy parku, albo po gabinecie, wysłanym angielskim dywanem. Rzucał się jak pantera w klatce, pół dnia tracił na chodzeniu.

— Trzy lata już tak przechodził — mruknął z pogardliwym uśmiechem.

Przypomniał sobie ostatnią rozmowę z Leną, odwrócił głowę w przeciwną stronę, jakby zarazem i od tych myśli chciał się odwrócić.

Spoglądał zmrużonemi oczyma na rozległe pole runią pokryte, wśród jasno zielonéj płaszczyzny mignęło stado białych gołębi, opadłych na zagon, kobiéta w czerwonéj chustce pochylona nad zagonem

zbiérała zielsko do fartucha. Cisza wonna, słoneczna, w głębokiéj przestrzeni gdzieś po nad jego głową szczebiotały skowronki.

— To zdrowie, to siły, żeby tak można było gdzieś między ziemią i niebem, bez myśli, bez trosk, pojechałbym chociażby na koniec świata. Mogilnica... to raj!

Stary park, bór sosnowy, a na tém pyszném tle zieloném biały dom o wspaniałym murowanym ganku z widokiem na pole, porznięte w równiutkie, szerokie zagony.

-- Ten używa... raj ma za życia!

Na samą myśl, że Maksowi jest dobrze, rozkosznie, swobodnie, Wolski przebaczał mu lenistwo i bezczynność.

— Żyje jak wszyscy, nie bawi się w pana, tém lepiéj, nie dorobi, ale i nie straci, a spokój to bodaj najmilsza rzecz w świecie.

Teraz dopiéro zrozumiał całą wartość spokoju. Maks pozbawiony pragnień, trochę znudzony, czy tylko udający znudzonego, wydał mu się ideałem szczęśliwca.

— Hamlet ma racyę, bawi się od czasu do czasu w projekta i plany, wierzy nawet, że miałby siłę zrobić, co zamierza; ale że do roboty nie weźmie się nigdy, więc i wiary w siebie nie straci i sił nie wyczerpie. Hamlet ma racyę!

Pokręcił głową z wesołym uśmiechem.

Przyjrzał mu się zbliska i był przekonany, że łatwiejby ryba bez wody, niż on bez wygód i komfortu obejść się potrafił.

— No i ma... wszystko ma, czego dusza zapragnie, ma, ma! — powtarzał, nasycając się miękim dźwiękiem wielkiego słowa!

— Lena zaczyna się nudzić, piękna i mądra. Chciałaby błyszczéć w świecie, wygodna cisza już się jéj sprzykrzyła, z czasem to przejdzie, a teraz należy się jéj przyjemność... Ładna koza!

Zrobiło mu się lekko, prawie wesoło na duszy... Podniósł głowę, przyglądał się skowronkom, trzepocącym się pod niebieskiém sklepieniem.

— Téj kozie trzeba czasami zrobić przyjemność...

Nie była już od trzech dni w mieście, jutro pewnie przyjedzie... Dotąd oprócz ślubnéj bransolety z brylantami, nie miała od niego ani jednego prezentu.

— Pewnie to za gałganami przepada... cały babski świat zamyka się w tych fatałaszkach...

Zamyślił się z uśmiechem na ustach. Szturgnął laską w plecy stangreta.

— Do Szmita! — głową wskazał w stronę miasta.

U Szmita ruch zaczynał się około południa; od rana zaś oblega-

no dwie wspaniałe wystawy, obejmujące wszystko co danéj chwili było wyrazem mody i smaku! Od szyldkretowych szpilek i grzebyków, do pysznych wachlarzy z piór czarnych i białych, zamykających u góry bogate festony z koronek, różnobarwnych wstążek, haftów, dżetów, szarf wspaniałych, tiulów, delikatnych jak pajęczyna! Od rana czterech wykwintnych subiektów, w popielatych żakietach w białych krawatach, oczekiwało na wykwintną publiczność. Na krzesłach pośrodku sklepu, dokoła zaś na jesionowych stołach porozrzucane misternie białe, różowe, niebieskie tkaniny w różnobarwne kwiaty, służyły jako niewinny wabik dla przechodzącéj publiczności która przez szklaną szybę drzwi mogła dowolnie podziwiać wnętrze eleganckiego sklepu.

Dwa powozy stały już przed Szmitem. Kilka pań skupionych w gromadki, oglądało „najświeższe“ materyały, rozrzucone przed ich oczami z nadzwyczajną zręcznością przez wszystkich czterech subiektów. Dwie śliczne dziewczynki w białych płaszczykach, w białych kapeluszach z ogromnemi piórami, trzymając się za rączki, przyglądały się w największém skupieniu ducha, duże czarne oczy poruszały się automatycznie, śledząc ruchome zwoje rozrzuconych materyi. Od czasu do czasu przełykały ślinę, a kiedy świetna barwa mignęła przed zdumionemi oczami, ściskały się za rączki bezwiednie.

Wolski stanął w progu powiódł okiem dokoła. Oczy wszystkich pań i czterech subiektów zwróciły się ku niemu; tylko dziewczynki, wpatrzone w różowe kwiatki na niebieskiéj materyi, nie spojrzały na niego.

Na stole po prawéj stronie, wśród różnobarwnych zwojów, rozrzucono sztukę kremowego fularu w delikatne lila kwiaty; świeżutka elegancka materya przykuwała oczy miękością i delikatnością barwy.

Wolski bez wahania wskazał laską na prześliczny fular, a podczas, gdy subiekt mierzył z przesadną zręcznością, zérkając jednocześnie na jegomościa w zielonkawym paltocie, w czapce nasuniętéj na oczy, Wolski rozpatrzywszy się po wystawie, wskazał laską na rozwieszoną w festony kremową szarfę w lila kwiaty, przezroczysty wachlarz z pysznie malowanemi bratkami i kremową koronkową chusteczkę.

Panie przejrzały się między sobą, a przerzucając materyę, spoglądały ciekawie na szczęśliwca, który bez targu, jednêm skinieniem laski zabierał najpiękniejsze rzeczy ze sklepu. Wolski zostawil adres i wrócił do powozu.

Podczas obiadu był w wybornym humorze; żartował z kaszki na

wodzie, z chudego kuraka i z kilku cienkich szparagów, mających przedstawiać jarzynę.

— No, tak, zachorować od tego nie można, ale i zdrowie przy takiéj kuchni biédne: woda, kości i trawa, żaden doktór takiéj dyety nie zaleca!

— Nie mogłam przewidziéć, że będziesz miał apetyt.

— Więc jeżeli przy apetycie tego jeść nie mogę, cóżbym z tém robił, nie mając apetytu.

— Ja tam dysponując obiad, nie bawię się w zagadki!

— Zato dajesz zagadkowe obiady.

— Możesz je nazwać jak chcesz, a kurczę nie przestanie być kurczęciem, ani szparag szparagiem.

Pochylona nad talerzem, jadła śpiesznie, w oczach stały te paczki, leżące na kanapie po za jéj plecami. Kiedy przed obiadem chciała rozwinąć jedną, Wolski oznajmił, że to dla Leny. Wszystka krew rzuciła się do twarzy, w siwych oczkach błysnęła pogardliwa nienawiść. To téż rada była w duszy, że mu obiad nie smakował.

— Ksiądz Jan chciał się z tobą widziéć—rzekła po długiém milczeniu.

— Cóż tam, może ma zamiar mówić o testamencie?

Wolska zaczerwieniła się aż po włosy.

— Nie wspominał o żadnym testamencie — odrzekła stłumionym głosem.

— Więc tylko o swoje dobro jest troskliwy. Ile razy dawniéj chorował na niestrawność, zawsze troszczył się o to, kto po nim płaszcz, sutannę i buty odziedziczy. Sądziłem więc, że i o moje buty jest również troskliwy.

— Testament jest tylko spisem inwentarza i wyrazem ostatniéj woli; może być sporządzony przy dobrém zdrowiu, chociażby na dziesięć lat przed śmiercią...

— Słusznie; szkoda tylko, że nikt nie jest pewny, czy inwentarz za lat dziesięć będzie jeszcze jego własnością i czy wola, którą dziś wyraża w istocie jest już ostatnią.

— Żeby wszyscy byli tego zdania, nie byłoby testamentów.

— I być niepowinno. Kto ma coś do rozdania, niech rozda ciepłą ręką ma na to tysiące sposobów; pocóż wszczynać niesnaski za pomocą testamentów, kiedy i bez téj kości ludzie gryzą się i zagryzają na śmierć.

— A jednak brak téj formalności może być powodem wielu nieszczęść—odrzekła, kładąc nacisk na każde słowo.

— To téż ksiądz Jan, zapobiegając nieszczęściom, wracał jak najśpieszniéj do zdrowia!

— Nikt od śmierci nie ucieknie.

— Oho, po kościach i trawie, egzekwie. Wolałbym kieliszek wina.

Zadzwonił, kazał podać do gabinetu butelkę burgunda.

Wolska spojrzała na niego przerażona.

— Doktór zabronił ci pić wino.

Zabronił pić, ale kazał jeść, z konieczności zmieniłem rozkaz.

Wyszedł, suwając ociężałemi nogami.

Wolska zerwała się z miejsca; spojrzawszy przez ramię na paczki, i jakby bojąc się żeby nie uciekły, zebrała śpiesznie ze stołu resztki pieczystego, masło, sér i napoczętą butelkę piwa, zamknęła to wszystko do kredensu, a rzuciwszy raz jeszcze okiem na stół i upewniwszy się, że prócz soli i karafki z wodą, nic nie pozostało, schwyciła paczki z kanapy i poszła do sypialni.

Słońce zachodziło; przez okna przysłonięte koronkowemi firankami, złotawo purpurowy blask wpadał do pokoju. Przy tém oświetleniu, fular spływający miękką falą z krzesła na posadzkę, szarfa, chusteczka prześliczna, wachlarz, nabrały żywszéj barwy, na tle zaś zaniedbanego pokoju, były wyrazem wykwintnéj elegancyi.

Wolska odstąpiła parę kroków, przyglądała się z pod brwi ściągniętych.

— Dla Leny szepnęła... — I przez długą chwilę na nic więcéj zdobyć się nie mogła. Usiadła na krześle, plecami do okna zwrócona i spoglądała kolejno na fular, wachlarz, koronkę... zdaleka, nie dotykając ani ręką, ani suknią nawet. Wyraz pogardy znikał z czerwonéj twarzy, jak gdyby złagodzonéj widokiem delikatnéj barwy.

Ściągnęła brwi, usta i nozdrza zadrgały zlekka.

Żal, tłumiony całą siłą despotycznéj natury, odżył w duszy... broniąc się od łez, mrugnęła kilkakrotnie, odwróciła głowę zwolna. Wpatrzyła się w głąb pokoju.

— Dlaczego? — szepnęła stłumionym głosem.

W tém „dlaczego“, drgała cała gorycz zawiedzionéj, niezadowolonéj kobiéty. Dlaczego ona, bogata, niegdyś młoda, przystojna, ani przez jedną chwilę w życiu nie była szczerze kochaną. Dlaczego nikt o niéj nie myslał, nikt nie dbał o nią, nikt nie usiłował odgadnąć jéj chęci, zrobić jéj przyjemność? Dlaczego? Brzydsze od niéj, głupsze, gorsze, żyją jak w puchu, otoczone miłością, opieką, troskliwością, albo chociaż rok, dwa, chociaż miesiąc jeden były kochane całą duszą! Oh... żeby jéj dano to szczęście na dzień jeden... potrafiłaby je utrzymać

do końca życia! Ona wié... rozumie, jak trzeba karmić ludzi własną duszą, żeby tylko samėj głodu miłości nie doznać!... Rozumié, wié... i cóż jėj potėm? Przez całe życie głód ten jėj serce pożėrał, przez całe życie zazdrość drapieżna przemieniała ją w jędzę... w rozjątrzoną tygrysicę... Oh, jak ona nienawidziła szczęśliwe kobiėty! Przebaczyłaby zbrodniarzowi, któryby na jėj życie czyhał, szczęśliwėj kobiecie — nigdy. Szczęśliwa, kochana kobiėta była jėj osobistym wrogiem, żeby ich na świecie nie było, ona czułaby tylko brak wszelkich warunków do życia, jak ten nędzarz, który gdzieś w podziemiach na świat przyszedł i umarł, nie ujrzawszy słońca! Wobec nich czuła cały ciężar swojėj doli, dźwigała tę dolę, ależ i mściła się za swój ciężar jak mogła! Śmieszna! Ona sama czuje tę śmieszność, dziś szczególnie... Ma lat czterdzieści ośm... a krzywda doznana w życiu tak ją boli, jak wówczas, kiedy żal swój chciała łzami wypłakać... Boli!... cóż ona na to poradzi!

Spojrzała z pod oka na fular bielejący w szarym mroku...

— To... i cóż w niėj jest? Nie rzuca się do oczu... bo nie ma komu. Wszystko, co żyje, płaszczy się przed nią... mąż myśli w oczach czyta, nawet ten stary ślimak, który przez całe życie ze swėj skorupy nie wyłaził, ten uśmiecha się do niėj jak do jasnego słonka, lwica nawet w tych warunkach przemieniłaby się w kotkę pieszczoną'... A oni podziwiają jėj słodycz, wdzięk, jėj dobroć! Głupcy... toż ich własna dobroć, ich własna słodycz, uprzejmość odbite łaskawie w jėj spokojnych oczach!.. Ona też wierzy zapewne, że jest wyjątkowo dobrą, wyjątkowo mądrą, idealnie szlachetną? A ona, ona tylko jest szczęśliwszą od wielu i nic więcėj!

— Zobaczymy! Jeszcze to początek dopiėro.

Zerwała się z miejsca, przechodząc, kopnęła nogą krzesło — fular zsunął się na podłogę z cichym szelestem.

— Zobaczymy!

Przed oczami stanęła zgrabna elegancka Lena, z bladawą twarzą pysznemi czarnemi oczami, z grubym warkoczem zsuwającym się na plecy, w tėj swojėj jasno popielatėj sukience, którą nosiła codzień, i codzień była śliczna jak w najwytworniejszėj toalecie!

Wolska przymknęła oczy. Dla żadnėj jeszcze nie miała takiėj pogardy zawziętėj, jak dla tėj zawsze jednostajnie uprzejmėj, a tak wyniosłėj zarazem, że nawet lekceważyć jėj niepodobna.

Chodziła po pokoju wielkiemi krokami, duża, sztywna, jak dragon; kiedy myśli burzyć się zaczynały, usiedzieć na miejscu nie mogła: rzucała się od ściany do ściany, robiąc kilka kroków wzdłuż pokoju.

— Zobaczymy! ja ustępować nie umiem. Sam będzie winien,

jeżeli po jego śmierci skandaliczny proces wyniknie! Pani Lena niech sobie panuje nad sercami, mnie zaś niech chociaż mój własny dom zostawi. Niestety! zarówno w sercu jak w domu dla dwóch kobiét naraz miejsca nie ma!

Zbliżyła się do leżącego na podłodze fularu i zaczęła składać bardzo akuratnie. Teraz dopiéro zmięła w palcach materyę, żeby się przekonać o gatunku. Przyjrzała się wachlarzowi przed oknem, a ze strzępków na końcu szarfy wnioskowała czy jest czysto jedwabna.

— Wszystko licha warte! Orznęli go na tym sprawunku! Od Szmita! U żydów kupiłby za pół ceny daleko piękniejsze rzeczy.

Układając sprawunki w szufladzie, nie myślała o tém, że należą do Leny, były to rzeczy piękne, kosztowne, a więc zasługiwały na poszanowanie.

Wolski przez całą noc oka nie zmrużył; z wieczora udał, że śpi, żeby uniknąć rozmowy z żoną. Widział, jak weszła do jego sypialni, zbliżyła się do łóżka, stała czas jakiś, jakby przysłuchując się, czy jeszcze oddycha... Czekał, kiedy wyjdzie; lżéj mu się zrobiło, gdy przykręciwszy lampę, wysunęła się za drzwi.

Otworzył oczy, leżał nieruchomy; ogarniała go ołowiana bezwładność. Nie probował ruszać się, mógłby tak leżéć do skończenia świata. W gabinecie spał lokaj, równe chrapanie dochodziło do jego uszu; w całym domu panowała głucha cisza... gdzieś za oknem w ogrodzie śpiéwał słowik, urywane tréle dolatywały po długich przerwach. Wolski tłumił oddech i czekał z upragnieniem, a kiedy po długiéj ciszy usłyszał parę czystych dźwięcznych nut, uśmiechał się nieznacznie. Ten ptak szczebiocący w ciszy nocnéj, wśród krzewów, przejętych wonną rosą, był jedyną żywą istotą, która czuwała z nim razem. Wpatrzył się w okno zasłonięte roletą, słowik śpiéwa w jaśminie, zdawało mu się, że krzak ten ma przed oczyma, że czuje woń ciepłéj nocy majowéj. Serce ciążyło mu w piersiach jak kamień. Kiedy nie słuchał słowika, przymykał oczy i wsłuchiwał się w grobową ciszę własnéj duszy. Dawniéj, podczas bezsennych nocy, rzucał się na łóżku jak potępieniec, przyjmował potrójną dozę opium i zasypiał w końcu obezwładniony. Teraz czuł ból w boku, ciężar w piersiach, zimny pot spływał po twarzy, ale walczyć z tém nie miał już siły.

— A jeżeli to... śmierć!

Otworzył oczy szeroko, powiódł wzrokiem po pokoju, jakby szukał kogoś, kto mu tę myśl podsunął.

Słowik śpiéwał za oknem coraz raźniéj. Wolski uśmiéchał się zlekka, łowił uchem dźwięk, to od strasznéj myśli odrywało.

— W taką cichą noc śmierć lekką być musi.

Naraz zdało mu się, że dość jest zamknąć powieki, żeby zasnąć na zawsze. Otworzył oczy szeroko, a kiedy mu powieki ciężyć zaczynały, mrugał kilkakrotnie, wodził oczyma po pokoju, byleby tylko nie zasnąć. Strach go ogarnął, serce drgnęło parę razy; z wysiłkiem podniósł rękę i przycisnął sprężynę dzwonka.

Lokaj podał mu szklankę wody.

— Czy późno już? —spytał Wolski, byleby głos ludzki usłyszéć.

— Sama druga!

Tylko druga. Kazał podnieść rolety i czekał dnia.

Przypuszczenie o śmierci już się nie powtórzyło, ale słowo to raz rzucone, jakby zawisło w powietrzu. Wolski oparty plecami o poduszki wysoko ułożone, rozmyślał o zmarłych, znajomych, kolegach, krewnych dalszych i bliższych.

— Strasznie ten świat opustoszał. Z starszych kilku zaledwo zostało. I to tak w krótkim czasie młodzi i starzy...

Znał kilku krzepkich staruszków, którzy jeszcze ojca jego pamiętali. W porównaniu z nimi był prawie młodym.

— Choroba mnie zjadła i... Maks!—dodał cichutko...

Śmierć, która na początku nocy wydawała mu się tylko snem lekkim, o świcie przemieniła się w groźne widmo.

— Koniec zbliża się, nie dziś to jutro, za tydzień, może za miesiąc!

Każde słowo z ciężarem ołowiu wpadało w duszę, drżał cały. Oczy łzami zaszły.

— Zbliża się! czuję że umrę, że już z téj choroby nie wyjdę. Oni patrzą na mnie i nic nie widzą, a ja czuję, czuję jak codzień śmierć skrada się coraz bliżéj.

Śmierć!

Dziwna rzecz, że mu to słowo nigdy, ale to nigdy w życiu nie stawało w myślach jako groźne widmo przyszłości. Nie pamiętał nawet, czy kiedy wymówił to słowo. Dopiéro teraz, podczas téj strasznéj nocy myśl ta wrosła mu w duszę, wysysając resztkę sił żywotnych.

(*D. n.*) *Ostoja.*





O RODZINIE PIERWOTNÉJ.

I.

Po wykazaniu pokrewieństwa przez matki, którego istnienie zasadniczo żadnéj dziś już nie ulega wątpliwości,—jako najważniejsze zadanie umiejętności porównawczéj prawa, podnieść należy określenie stanowiska prawnego ojca w rodzinie, które tak jest jednak różnorodném, tak zmiennem, że szeregi całe kontrastów i odmian drwić się zdają z każdéj, w całość je kojarzącéj teoryi, a badacz wszelką traci nadzieję, choćby tylko do ogólnéj doprowadzić zasady. Samo stwierdzenie istnienia pokrewieństwa przez matki nie wystarcza jeszcze, należy się bowiem zastanowić, co było przed niém, co się obok niego rozwijało, i co jego miejsce zajęło, a zresztą jego treść sama nie jest tak jasną, jakby sądzić można.

Kwestyę, którą przedewszystkiém wyjaśnić należy, ująć można w następujący postulat: *ścisłe oddzielenie stosunków władzy od stosunków pokrewieństwa*. Uważamy go zaś za tak niezbędną podstawę wszelkiego w tym względzie postępu, że przy nim obstawać będziemy nawet w razie, gdyby błędnemi się okazały poszczególne argumenty naszéj pracy, przytoczone na jego poparcie. Władza a pokrewieństwo są pojęciami specyficznie różnemi: pierwszą wytworzyły różnorodne czynniki historyczne, drugiéj służy za substrat naturalny związek krwi. Różnicę tę tak jasną i niewątpliwą podnoszą niejednokrotnie dzieła z zakresu socyologii i umiejętności prawnych, a jednak do najnowszych czasów nie uznawali jéj dziejopisarze ludzkiéj rodziny, co téż było głównym powodem smutnego zamieszania na polu tém panującego. Umiejętne uwzględnienie téj

zasadniczéj różnicy jest najważniejniejszą zasługą Lipperta i Hellwalda, lecz nigdzie nie podniesiono z dostatecznym naciskiem jéj teoretycznej konieczności i tém łatwo tłómaczy się zjawisko, że do dzisiejszego dnia wielu bardzo zasłużonych badaczy należytéj nie zwróciło na nią uwagi.

Jeżeli przy rozbieraniu poszczególnych zjawisk, zbyt może często do kwestyi téj wracamy, lub zbyt wyczerpująco ją traktujemy, to niech nam posłuży na usprawiedliwienie zasadnicza jéj doniosłość dla porównawczéj historyi prawa.

Dotychczas przeciwstawiano zazwyczaj prawu ojca (*Vaterrecht*) prawo matki (*Mutterrecht*), jako dwa pojęcia, które z sobą zupełnie się pogodzić nie dadzą, a następnie pytano, jak się pierwsze z drugiego z biegiem czasu wywiązało. Ponieważ jednak takie formułowanie pytania jest wieloznacznem, przeto też za błędne metodycznie poczytać je należy. Rzeczywiście bowiem p o k r e w i e ń s t w o przez ojca jest antytezą p o k r e w i e ń s t w a przez matkę, jeżeli jedno i drugie jako wyłączną pojmiemy zasadę: przy pokrewieństwie przez matki nie ma, jak wiadomo, pokrewieństwa między ojcem a dziećmi, jak również pokrewieństwo między dziećmi a matką przy ścisłéj agnacyi znaczenia prawnego by nie posiadało; również w ł a d z a ojca przeciwieństwem jest do w ł a d z y matki (lub jéj familii) nad dziećmi, bo każda z tych władz to tylko może obejmować, co w obręb drugiéj nie wchodzi, i każda naturalnie się ścieśnia, w miarę jak druga wzrasta; lecz pokrewieństwo, jako takie, nie jest bynajmniéj antytezą władzy, bo są one, jak to wyżéj podnieśliśmy, specyficznie różnemi pojęciami. Prawo matki (*Mutterrecht*), w znaczeniu wyłącznego pokrewieństwa przez matki godzi się znakomicie z równie wyłączną władzą ojca, a gdzie obok siebie istnieją, nie należy myśléć wcale, jak to się często dzieje, o stosunku mieszanym. Nie ulega jednak wątpliwości, że zachodzić mogą wzajemne wpływy tych obu różnych co do istoty czynników, z którą to kwestyą bliżéj się w dalszym ciągu zaznajomimy. Jak mało dotychczas pojęcia te od siebie oddzielano, dowodzi tego najoczywiściéj, to bardzo zwykłe mieszanie wyrażeń: pokrewieństwo przez matki i Matryarchat (t. j. władza matki), pokrewieństwo agnacyjne i Patryarchat (t. j. władza ojca). Z pokrewieństwa przez matki zupełnie nie wynika, by równocześnie nie uwzględniano lub nie znano ojcostwa, lub żeby matka w obrębie rodziny miała dzierżyć rządy. Dziś uznajemy pokrewieństwo dzieci z matką, a dzieci dzielą mimo tego imię i stan ojca; tak samo mogły istniéć powody, dla których dzieci należały do stanu i związku rodzinnego matki, pomimo, że osoba ojca była w zupełności znana.

W najnowszych czasach postawił E. Westermarck śmiałą hypopoteżę, że nawet tam, gdzie się oblicza pokrewieństwo wyłącznie w linii żeńskiéj, ojciec bywa prawie zawsze głową rodziny i że nie ma żadnego powodu, dla któregoby dawniéj inaczéj być miało. Tak zgeneralizowana zasada ta jest oczywiście fałszywą, bo ojciec niejednokrotnie, nie zaś tylko w rzadkich i wyjątkowych wypadkach, przenosi się do rodziny żony i wtedy zwykle zajmuje stanowisko podrzędne; w każdym jest jednak razie słusznėm twierdzenie, iż władza ojcowska i pokrewieństwo przez matkę bardzo często idą ręka w rękę. Ojciec może być despotą w domu, nieograniczonym władcą życia i śmierci swojéj żony i dzieci jéj, może się nawet przyzwyczaić do lekceważenia i znieważania jéj, a jednak może go z dziećmi nie łączyć żaden prawnie uznany związek pokrewieństwa. Tak np. wytworzył się system pokrewieństwa u Karaibów wysp środkowéj Ameryki i niektórych okolic Ameryki południowéj zupełnie w kierunku pokrewieństwa przez matki (z wyjątkiem kilku nieznacznych zarodków agnacyjnego następstwa rodowego), a obok tego panowała przecież nietylko brutalna praktyka małżeństwa przez porywanie kobiét, lecz także despotyczna władza domowa męża i bezwarunkowa podległość żon. Ojciec rodziny posiadał znaczenie i stanowisko patryarchy, a koło jego mieszkania budowały swe domy dzieci, a mianowicie córki z mężami. Ojcowska ta władza pana domu opierała się, jak podaje Starcke, nie na tytule prawnym, lecz „całkiem po prostu“ na fizycznéj przewadze ojca nad kobietami i dziećmi. U największéj części ludów myśliwskich Ameryki północnéj, był mąż podporządkowanym co do zarządu domu świekrze swéj i nie miał żadnego prawa rozporządzania dziećmi; spotykamy jednak charakterystyczne wyjątki u takich ludów, które jeszcze nie porzuciły zasady pokrewieństwa przez matki. I tak u Athapasków były kobiéty pod władzą mężów na równi z innemi przedmiotami własności. Z obszaru Polinezyi przytoczyć należy Nową Brytanię niedawno tak gruntownie zbadaną przez Powell'a. Autochtoni znają następstwo rodowe tylko przez matki, dzieci dziedziczą po matce, spadek zaś po zmarłym mężczyznie przechodzi na siostrzeńców. Żony jednak są mimo tego niewolnicami swych mężów, którzy się z niemi obchodzą jaknajgorzéj i starają się wyzyskać je bezwzględnie dla własnéj przyjemności i korzyści: żony uprawiają ziemię, prowadzą największą część interesów handlowych i wskutek dźwigania nadmiernych ciężarów, bywają przygarbione przedwcześnie. Żona kupiona lub na wojnie zdobyta, staje się wogóle zupełną własnością męża; jeżeli mu się nie nadaje, zabija ją i zjada, co przecież w każdym razie uznać musimy za wybitny symptom władzy pana domu. O analogicznych,

a może więcéj jeszcze pouczających stosunkach murzynów pisze Hovelacque: Szczególnie charakteryzuje ustrój rodzinny murzynów z okolic równika nieograniczona władza ojca rodziny, postępującego sobie jako prawdziwy despota, a nie napotykającego na żaden opór. Jest on panem swoich dzieci, swoich żon, dopóki połączenie z niemi się nie rozwiązało; może on tak dzieci jak i żony według upodobania sprzedać lub oddać w niewolę, zresztą można tu dodać, że wogóle pozostawia rodzinie swobodę, o ile to się pogodzić da z jego osobistą przyjemnością. Obok tego jednak istnieje pewna solidarność rodziny, ponieważ oboje rodzice odpowiadają za przestępstwa dzieci. Przy tém wszystkiém panuje system pokrewieństwa przez matki, spadek przechodzi nie na własność dzieci, lecz na siostrzeńców. Inni sprawozdawcy równie wiarogodni zgadzają się pod tym względem najzupełniéj: Władza ojca podobna do własności i konsekwentnie przeprowadzone pokrewieństwo przez matki spokojnie obok siebie trwają równocześnie z widoczną dążnością do dalszego, a mianowicie agnacyjnego rozwoju prawa rodzinnego. Jako dalszy przykład należy podnieść patryarchalnych a hołdujących równocześnie systemowi pokrewieństwa przez matki Tuaregów północnéj Afryki. Ojciec jest naczelnikiem rodziny, na nim ciąży obowiązek utrzymywania jéj, żona jest mu winną wierność i posłuszeństwo; a jednak dla stanu dziecka i przynależności jego do rodziny wyłącznie, a dla prawa spadkowego w znacznéj mierze decydującą jest krew matki.

Jedna z największych i najciekawszych dla historyi pierwotnéj krain systemu pokrewieństwa przez matki, Australia, dostarcza zresztą obfitych dowodów równoczesnego panowania patryarchatu. Już narzeczony ma tam prawo względem dziewczęcia podobne do prawa własności. Żona i dzieci podlegają władzy domowéj męża, a dopiéro drugorzędnie władzy brata lub wuja żony. Jak najbezwzględniejsze władztwo ojca, nawet niewątpliwa miłość ojcowska dla niedorosłych potomków idą ręka w rękę z również bezwarunkową przynależnością do szczepu i do rodziny matki! Ojciec nie jest prawnie uznanym krewnym swoich dzieci, jest jednak ich panem, obrońcą i opiekunem. Dziedzic męża—zazwyczaj brat, jako najbliższy krewny ze strony matki, obejmuje po jego śmierci władzę nad jego żonami. Mąż ma prawo żonę swą schłostać, a w razie niewierności zabić. Między różnemi szczepami istnieją zaś pewne różnice w szczegółach, spowodane mniéj lub więcéj wybitném wystąpieniem władzy krewnych matki obok despotyzmu ojca, lecz są także szczepy niczém nie chroniące żony przed samowolą pana domu. Wszystko to odnosi się, jak to wyżéj wspomnieliśmy, do owych ludów, zamieszkujących Australią,

u których istnienie systemu pokrewieństwa matki nie ulega żadnéj wątpliwości; o agnacyi u niektórych innych szczepów, pomówimy bliżéj w dalszym ciągu. Niżéj przytoczone dowody, których znaczną jeszcze ilość z łatwością podaćby można, wskazują jasno, że między władzą patryarchalną a systemem pokrewieństwa nie masz koniecznego związku; stąd téż kwestya właściwego systemu pokrewieństwa nawet tam powinnaby być wątpliwą i przedmiotem głębszego zastanowienia, gdzie patryarchat rozwinięty w całéj pełni, żadnéj nie podlega wątpliwości. Bezwzględna władza domowa ojca faktycznie znachodzi się w połączeniu z wszystkiemi systemami pokrewieństwa; od konsekwentnie przeprowadzonego pokrewieństwa przez matki do agnacyi jednostronnéj i matki prawnie nie uwzględniającéj. Należy się tu jednak trzymać następującéj pierwotnéj zasady. Znamieniem koniecznóm prawdziwego pokrewieństwa między ojcem a dziećmi jest stanowcze znaczenie przypisywane rzeczywistemu spłodzeniu przez ojca, a przeciwnie, obojętność względem stosunku płodzenia bywa dowodem, że władza ojca nie przeistoczyła się jeszcze w związek pokrewieństwa. Musi to nawet miéć zastosowanie tam, gdzie ojciec patryarcha bywa zarazem ojcem w znaczeniu fizycznóm, byleby spłodzenie przez ojca nie uchodziło za konieczną podstawę stosunku prawnego ojca do dzieci, gdy stosunek ten jest raczéj wynikiem faktycznéj jego władzy nad matką. Byłoby to jednak twierdzeniem za daleko idącém, iż z góry w każdym takim wypadku istniéć musi, w ścisłém znaczeniu słowa, pokrewieństwo przez matki. Faktem jest jednak, że dla tego systemu i koniecznych jego wyników otwiéra się szersze pole, jeżeli stale uwzględniać będziemy jego zupełną niezawisłość od stopnia rozwoju władzy ojcowskiéj. Ten punkt widzenia ma wielkie znaczenie dla historyi ludów aryjskich i semickich i zdobędzie sobie w przyszłości wpływ niepośledni na porównawczą umiejętność prawa. Zupełna obojętność wobec rzeczywistego płodzenia przez pana familii, jest nadzwyczaj rozpowszechnioną. Jeszcze większa jest zaś liczba tych ludów, których prawa i zwyczaje, dowodzą, iż nie uważają stosunku między ojcem a dziećmi za związek krwi, lecz tylko za stosunek opieki i władzy.

Z obojętnością taką względem płodzenia spotykamy się wszędzie tam, gdzie żonom przysługuje zupełna swoboda obcowania płciowego lub wolność wprawdzie ograniczona, lecz wykluczająca mimo tego zupełną pewność ojcostwa, tudzież tam, gdzie mężowie zwykli użyczać żony gościom lub nawet obcym osobom za wynagrodzeniem. Częste i samowolne rozwody muszą podobne wywoływać skutki, idą bowiem zazwyczaj w parze z łatwém zawieraniem nowego związku

małżeńskiego. Fizyczne ojcostwo zupełnie nie jest istotném lub zasadniczém ze stanowiska prawa dla związku rodzinnego, gdziekolwiek się stawia na równi prawnie i świadomie dzieci przez innych mężczyzn spłodzone z własnemi, a to nietylko na podstawie dokonanéj adopcyi; instytucya ta bowiem zajmuje w tym względzie odrębne stanowisko. Szczególnie ta ostatnia grupa zjawisk sięga głęboko w epokę patryarchatu. Monografia, obejmująca stosunki władzy i pokrewieństwa, byłaby, ze względu na ogrom materyału, gwałtownie potrzebną, wystarczy zaś tu podnieść niektóre tylko charakterystyczne fakty i przewodnie zasady.

Młode dziewczęta mają zazwyczaj u ludów dzikich zupełną swobodę obcowania płciowego. Zbytecznem byłoby przytaczać na to dowody, bo raczéj przeciwny stan przedstawia się tu jako wyjątek.

Dla nas ma ten fakt znaczenie o tyle, że dzieci takiego dziewczęcia podlegają wogóle nie temu, który je spłodził, lecz panu, któremu podlega matka. O wiele rzadziéj zostawia się swobodę spółkowania żonom, ponieważ prawo męża do rozporządzania względami żony bardzo wcześnie się rozwija nawet obok panującego pokrewieństwa przez matki, a zazdrość w tém znaczeniu występuje na bardzo zresztą niskim stopniu cywilizacyi. Nie mówiąc już o pewnych stosunkach, znajdujących się w związku z polyandryą, które uniemożliwiają oznaczenie krwi ojcowskiéj, należą tu np. następujące wypadki: w Panamie mogą, według Bancrofta, żony utrzymywać dowolną ilość kochanków, równie rozwiązłym był ród niewieści u Natchezów ludu amerykańskiego, odznaczającego się wysoką stosunkowo cywilizacyą. Naczelnicy rodu sami zniewalali żony oddawać się każdemu obcemu, żona mogła miéć dowolną ilość kochanków, karano zaś śmiercią niewierność małżeńską mężczyzny.

U M a ł a g a s s ó w uważa się żonę, wrazie dłuższéj nieobecności męża, za uprawnioną do wykroczeń przeciw wierności małżeńskiéj. U Wolofów zaspakajają żony swobodnie swój popęd płciowy obcowaniem z innymi mężczyznami; u Syngalezów dozwolony jest kobietom zamężnym nierząd pozadomowy, byle nie z mężczyznami niższéj kasty. Charakterystyczném jest, że ludy te uznają bez wyjątku pokrewieństwo przez matki i to bez zbytnio rozwiniętego patryarchatu. Wielkie rozluźnienie obyczajów panuje daléj wśród mieszkanek Australii, pomimo, że złamanie wiary małżeńskiéj bywa srodze karane. U Botokudów następują od czasu do czasu straszne wybuchy zazdrości, co wskazuje widocznie na istnienie przeświadczenia, iż rozporządzanie kobietą jest prawem mężowi wyłącznie przysługującém, lecz wierność małżeńska jest nader słabo rozwinięta i bardzo rzadka. Oddawani

żon gościom męża — t. zw. nierząd gościnny, spotyka się w różnych stronach kuli ziemskiéj; bardzo zwykłém jest oddawanie żony dla zysku lub wymiana ich między przyjaciółmi. Zwyczaje te, stojące na przeszkodzie oznaczeniu ojcostwa, znaleść można obok stosunków tak matryarchalnych jako i patryarchalnych. Typowemi są pod tym względem poglądy murzynów: kupiona żona staje się własnością męża, który ją używa w celu uzyskania dzieci. Jawném życzeniem ojca jest tylko posiadanie dzieci na własność jako pan, nie jako ich rodziciel. U przeważnéj ilości ludów afrykańskich okolic równika nie przynosi cudzołóstwo żony najmniejszéj ujmy honorowi męża, uważa się je raczéj za rodzaj naruszenia prawa własności i przyznaje się mężowi żądanie odpowiedniego wynagrodzenia. Takiém to zapatrywaniem tłómaczy się rozpowszechniony zwyczaj wypożyczania i wynajmowania żon. Partykularnie wymierza się kary śmierci lub cielesne na cudzołóscę, zazwyczaj poprzestaje się jednak na karze pieniężnéj. Mężowie używają nawet niejednokrotnie swoich żon, by obcych mężczyzn skusić do cudzołóstwa, ażeby od nich uzyskać wysokie kary pieniężne. Mąż kocha żonę swą tak, jak się ceni sprzęt, przedstawiający pewną wartość, a dzieci tak, jak dzieci—swe zabawki. Według niektórych autorów, ma na Złotém wybrzeżu panować wprost otwarta nienawiść między ojcem a dziećmi; ponieważ niemi handel prowadzi, uciekają więc przed nim od małości, a jeżeli się im uda niespodziewanie go napaść i wziąć do niewoli, wiodą one jaknajprędzéj własnego rodzica do najbliższéj europejskiéj stacyi handlowéj i sprzedają go ze źle ukrywaną radością. Do miłości małżeńskiéj i wyłącznego prawa spółkowania małżeńskiego nie przywiązują murzyni żadnego znaczenia, jak to wynika z tego, cośmy wyżéj powiedzieli; pożyczają sobie żon wzajemnie, ofiarowują je przyjaciołom albo nawet obcym, uważając sobie za zaszczyt, jeżeli ci korzystają z takiéj gościnności; dostawiają téż żony Europejczykom za skromném wynagrodzeniem. Jeżeliby zaś zrodzić się miały dzieci z podobnych związków, uważają się sami za ojców tychże, co odpowiada najzupełniéj przewodnim zasadom tamtejszego ustroju rodzinnego. Jestto właściwy rdzeń owego stosunku prawnego, nader ważny dla historyi prawa, a spotykany wszędzie, gdzie fizyczne ojcostwo jest niepewne, a istnieje mimo to prawnie uznana władza ojcowska. Chętne przyjmowanie obcych dzieci do własnego związku rodzinnego jest zjawiskiem wielce rozpowszechnioném, zostającém w pewnym wewnętrznym związku z pokrewieństwem przez matki, mianowicie tam, gdzie dzieci muszą podlegać téj saméj władzy, któréj podlega ich matka. I tak np. opowiadają wiarogodni sprawozdawcy

o Kuistino-indyanach, hołdujących systemowi pokrewieństwa przez matki.

„Mąż nie czyni, jak się zdaje, żadnéj różnicy między dziećmi swéj żony, chociażby z różnych pochodziły ojców. Nie wymaga się od żony ani wstydu niewieściego ani wierności, wolno im jednak dopuszczać się nierządu, jedynie tylko za zezwoleniem męża. Okoliczność, czy mąż faktycznie jest rodzicem dziecka, jest im zaś zupełnie obojętna.“

W ogóle spotykamy się częstokroć z tym rysem charakterystycznym że mąż nie tylko własne swoje dzieci, lecz także inne dzieci swojéj żony, a mianowicie dzieci z poprzedniego jéj małżeństwa utrzymywać musi jako własne, ponieważ najbliższy krewny matki ciężaru tego ponosić już nie potrzebuje w razie powtórnego zamążpójścia matki.

Takiem to zapatrywaniem tłómaczy się, że ojcowstwo można było i kupić i sprzedać. Tak np. u Wapiszyanów (w Guyanie) pomimo panującego tamże pokrewieństwa macierzyńskiego, mimo łez matek i mimo pewnego uczucia ojcowskiego, którego nie podobna odmówić ojcom, sprzedają oni dzieci innemu, najczęściéj bezdzietnemu małżeństwu za strzelbę, topór i t. p. Dzieci sprzedane przyzwyczajają się z łatwością do nowych rodziców, którzy rozdają podarunki krewnym dziecka, zgłaszającym się licznie do nowego ojca. Tak więc dziecko nie opuszcza wcale koła swych dotychczaszwych krewnych (przez matkę), lecz dostaje się tylko w drodze kupna pod panowanie innéj władzy ojcowskiéj. Jasną jest rzeczą, że mowy tu nie ma o jakimkolwiek stosunku pokrewieństwa między ojcem a dzieckiem, jako o podstawie ich prawnego w obec siebie stanowiska. Nawet u ludów nie hołdujących systemowi pokrewieństwa przez matki, jak u Botokudów, sprzedawanie przez ojca wcale do rzadkości nie należy. Według jednego z bardzo wiarogodnych autorów, francuskiego podróżnika Azary, pewien lud Ameryki południowéj poddaje tylko żonę władzy ojca rodziny, dzieci zaś pozostają u jednego z krewnych po kądzieli, nie uznają małżonka swéj matki za ojca i po śmierci go nie opłakują. U różnych innych ludów południowo-amerykańskich pozostawia się dowolności matki nader rozpowszechnione zabijanie nowonarodzonych dzieci (z wyjątkiem jednego), tak dalece, że ojcowie nie mają żadnego prawa wdawania się w tę sprawę, a według prawa tych samych szczepów, przechodzą w razie rozwodu wszystkie dzieci wraz z matką do rodziny téjże. Łatwy i częsty rozwód jest więc, jak to już wyżéj powiedzieliśmy, zjawiskiem, dowodzącém również, że wzajemne stosunki, prawne ojca i dziecka opierają się na władzy, nie zaś na związku krwi; rozwód jednak nie u wszystkich ludów dzikich jest w używaniu, nawet tam gdzie panuje system pokrewieństwa przez matki, jest małżeństwo

niekiedy względnie trwałem: przeciwnie się zdarza tam, gdzie systemu tego wcale nie ma, że rozpowszechnione i lekkomyślne zmienianie żon udaremnić by musiało wszelkie starania o upewnienie się co do ojcostwa. U Botokudów np. jest małżeństwo tak łatwo rozwiązalném, że nazwać je można konkubinatem, połączonym z częstą zmianą nałożnicy. Tak samo u reszty Indyan brazylijskich, nieznających w przeważnéj części pokrewieństwa przez matki, może mąż każdego czasu dowolnie i bez specyalnego powodu małżonkę oddalić. U szczepów innych części świata, nieznających pokrewieństwa tego, powtarza się to samo zjawisko. Tak np. u Beduinów i u Chewsurów kaukaskich. Tam, gdzie pokrewieństwo przez matki panuje, łatwe i częste rozwody nie bywają wprawdzie koniecznem, bardzo pospolitém zjawiskiem. Prawa ludów amerykańskich dostarczają nam na to licznych, klasycznych przykładów. Samowolne i częste zmienianie żon — małżeństwo na próbę na dłuższy lub krótszy przeciąg czasu — częstokroć na kilka dni — lekkomyślne sprzedawanie żony, oto zjawiska będące u Indyan na porządku dziennym. Szczególnie interesującym jest zwyczaj praktykowany na wyspie Nowéj Brytanii w Polinezyi. Mężowie oddalają często swoje młode małżonki, kiedy zaszły w ciążę.

Nie będziemy tu wchodzić w przyczyny tego ciekawego zjawiska; jasném jest jednak, jak mało zależy ojcu w tym razie na potomku, tak bliskim urodzenia, który już oczywiście nie będzie do jego rodziny należał.

Wyczerpujące przedstawienie całego, dotyczącego poruszonéj kwestyi materyału, nie leży w zakresie naszéj pracy. Jakkolwiek z prawami niektórych ludów, mianowicie afrykańskich, dziś dopiéro zapoznawać się zaczynamy a w ogóle stosunków wielu ludów jeszcze nie zbadano pod tym względem dostatecznie, mimo to jednak, już dziś można postawić hypotezę, że w czasie piewotnego rozwoju fizyczne ojcostwo, jako prawnie uznana podstawa organizacyi społecznéj i familijnéj, nie występuje nigdzie, albo tylko w rzadkich, wyjątkowych wypadkach, a nadto, że się w ogóle mało na nie zwraca uwagi, a stwierdzeniu niewątpliwemu ojcostwa stoją na przeszkodzie rozmaite okoliczności. Znakomity uczony francuski, Esmein, dał dowody rzeczywiście niezwykłéj bystrości umysłu i naukowéj intuicyi, oświadczając już przed siedmiu laty, w wydaniu swego dzieła Gidéa o kobiecie, że pierwotne ojcostwo jest raczéj wynikiem woli, niż uznaniem faktycznego stanu rzeczy. Jak z jednéj strony, obcowanie płciowe z jedną tylko kobietą nie jest cechą istotną pierwotnego małżeństwa, tak téż rzeczywiste, fizyczne płodzenie nie jest istotną cechą pierwotnego ojcostwa. Twierdzę nawet, że już Lubbock i M'Len-

nan obcowanie płciowe z kobietą w zbyt ścisły wprowadzili związek z instytucyą ludów na niskim stopniu rozwoju stojących, analogiczną do naszego małżeństwa. Słusznie protestuje Starcke przeciw stanowisku M'Lennan'a, jakoby monandrya — powiedzmy patryarchat — sam przez się znajdował się w związku z istotném ojcostwem w znaczeniu fizyczném. O tém wprawdzie nie może być mowy, żeby w pierwotnych stosunkach mogły były istniéć małżeństwa, nie dające mężowi w obec żony prawa żądania spółkowania płciowego; nie może być o tém mowy tak samo, jak i dziś podobnego, platonicznego związku, małżeństwem byśmy nie nazwali [1]. W tém znaczeniu był więc stosunek płciowy, i to trwały, faktyczną podstawą małżeństwa, lecz nie był on wcale wyłącznym, wykluczającym wszystkich innych mężczyzn, ani też jednym z głównych celów małżeństwa. Polemikę Hellwalda z Starckem, opierającą się zresztą na zupełnie słusznych argumentach, w tym względzie uważać należy za zupełnie chybioną. Właściwe zupełnie, mojem zdaniem, stanowisko, zajął Lippert w swéj „Historyi rodziny.“ „Jest to rzeczą wcale naturalną, mówi ten uczony, że w okolicach, gdzie resztki domowych stosunków, bardziéj pierwotnych a przecież łagodniejszych, sprzyjały zaspokojeniu naturalnéj rozkoszy płciowéj, zaspokojenie to nie mogło być celem mężczyzny, który kobietę drogo kupował, chcąc zawrzeć z nią związek małżeński. Małżeństwo musiało miéć dla niego cel odmienny, mianowicie posiadanie i wychowanie dzieci, któreby były jego własnością, pomnożenie dobytku, siłę roboczą, obronę przeciw nieprzyjacielowi. Żona miała zaś być służebnicą, która mu miała przyrządzać strawę codzienną, utrzymywać ogień w chacie, uprawiać pole i t. p.“ Rzeczywiście byłoby to niezrozumiałém, dlaczegoby mężczyzna, dla którego wszystkie dziewczęta tego samego szczepu bywają dostępne, miał nabywać w tym właśnie celu jednę lub więcéj żon, i dlaczegoby miał nadal utrzymywać z niemi stosunek małżeński w tymże celu, jakkolwiek go przecież istnienie małżeństwa wcale pod tym względem nie krępuje, a popęd płciowy w stosunkach pierwotnych i poza małżeństwem łatwo zaspokoić można. Tak więc stosunek płciowy w epoce owéj wcale nie jest czynnikiem organizacyjnym. Starcke mylny jednak z tego wyprowadza wniosek, jakoby związek krwi nie był wcale czynnikiem organizacyjnym; zdanie to zupełnie nie jest identyczne z powyższém naszém twierdzeniem. Jest ono w części uzasadnione względem stosunku prawnego między dziećmi a ojcem; lecz ze względu na matki, z gruntu fałszywém i ~~wprost~~ przeciwném faktycznemu stanowi rzeczy.

---

[1]) Z wyjątkiem prawa małżeńskiego.

W obronie świadomości ojcostwa fizycznego, zjawiającego się bardzo wcześnie, a stanowiącego rzekomo podstawę zasadniczą pierwotnéj rodziny, przytoczono ważną bardzo grupę zjawisk mianowicie t. zw. kuwady (*couvade Männerkindbett*), charakterystyczny zwyczaj, rozpowszechniony po całéj kuli ziemskiéj, a będący przedmiotem licznych i nie zawsze szczęśliwych domysłów. Najgruntowniéj i najumiejętniéj przedmiot ten opracowali Ploss w dziele swém o dziecku, tudzież Tylor w Pierwotnéj historyi ludzkości i w znakomitéj rozprawie o metodzie badania rozwoju instytucyi, wreszcie Wilken w monografii, poświęconéj różnym formom kuwady, znajdującym się u ludów malajskich. Kuwada istnieje we wszystkich częściach świata, nie wyjmując Europy, w któréj była rozpowszechniona w wielu miejscach, według starożytnych autorów, trwa zaś do obecnego stulecia, a według nowszych sprawozdań, nawet do naszych czasów, mianowicie w Pireneyach, po hiszpańskiéj i francuskiéj stronie pod nazwą „*couvade.*“ Nazwa kuwady, pochodzi z wielkiego podobieństwa zachowywania się ojców u owych ludów z ostrożnościami położnicy, nie wolno im używać rozmaitych potraw i napojów, muszą się wystrzegać zmęczenia, u niektórych szczepów muszą się poddawać surowym postom, muszą leżéć w łóżku po kilka tygodni i t. p. Według Bachofena, celem właściwym kuwady było uzmysłowienie udziału ojca w spłodzeniu dziecka. Miała ona być symptomem stanu przejściowego między dawném pokrewieństwem przez matki a późniejszą agnacyą. Ojciec naśladuje słabość kobiéty, ażeby nabyć prawa względem dzieci, które służyły dawniéj wyłącznie matce. Wykład ten przyjęli Giraud-Teulon, Wilken, Bernhöft, Tylor i inni uczeni. Giraud-Teulon sformułował ją jak następuje: „W jaki sposób miały owe ludy uzmysłowić związek krwi między ojcem i dzieckiem? W czasie panowania pokrewieństwa macierzyńskiego nie było żadnéj takiéj trudności. Połączenie matki z dzieckiem polega na samym-że akcie urodzenia, dozwala więc oprzéć pojęcie pokrewieństwa na niewątpliwym fakcie. Mężczyzna zaś nie był wstanie udowodnić swego wyłącznego udziału w spłodzeniu dziecka, musiał więc oprzéć swoje ojcostwo na domniemaniach lub fikcyach prawnych. Fikcye i abstrakcye bywają jednak trudno zrozumiałe dla ludów pierwotnych, musi się więc wziąć w pomoc czynności podpadające pod zmysły i ceremonie widoczne. Ażeby stwierdzić stosunek pokrewieństwa między ojcem a synem, naśladowano więc akt łączący dziecko z matką; ojciec musiał się poddać prawidłom, którym poddawano położnice, chcąc, żeby go uważano niejako za drugą matkę dziecka.“ Także Tylor, który umieścił w rozprawie wspomnianéj nader obfite zestawienie obrządków stosowanych

przy kuwadzie, przystąpił do tegoż zdania, uważając naśladowanie słabości matki za pierwszorzędny cel kuwady, zastosowanie jéj zaś jako zabobonny środek sympatyczny za przyczynę drugorzędną.

W obec tego, oświadczyłem już w mojém dziele o pokrewieństwie przez matki (Mutterrecht und Raubehe, str. 18), że owo podobieństwo z zachowaniem położnicy nie znajduje się w żadnym związku z istotą i pochodzeniem kuwady. Jestto rzeczą prawie niezrozumiałą, że pierwszorzędni badacze mogli stworzyć lub przyswoić sobie podobną teoryę. Podobieństwo kuwady do słabości położnicy w krajach cywilizowanych jest w istocie tak uderzającém, że każdy łatwo je spostrzeże. Lecz wszystkie ludy, u których kuwada znajduje się w zastosowaniu, nie znają wcale podobnéj słabości położnicy, podobnie jak żony włościan w różnych częściach Europy. Jeżeli kuwada miała być naśladownictwem owéj słabości, to przedewszystkiém słabość ta zachodzićby musiała. Jeżeli zaś jéj nie było, byłoby natenczas poprostu niedorzecznością nazywać kuwadę „kopią“ zachowywania się położnicy. Wszystkie sprawozdania donoszą jednozgodnie, że żony dzikich oddają się zwykłym zatrudnieniom natychmiast po porodzie, podnoszą to nawet jako fakt ciekawy w przeciwstawieniu do kuwady. Jesteśmy więc zniewoleni porzucić owo wytłómaczenie téj instytucyi, wprawdzie wielce rozpowszechnione, lecz zupełnie błędne.

Z istnienia zaś kuwady można wywnioskować następujące dwa twierdzenia: pierwsze, że uwzględniano związek zachodzący między ojcem a dzieckiem i że według dziwacznego, przesądnego rozumowania ludów, u których zjawisko to się spotyka, zachodzi związek między stanem zdrowia ojca a dziecka, nawet po jego urodzeniu; — drugie, że ojcu zależy na utrzymaniu dziecka przy życiu i zdrowiu. Kuwada dowodzi zatém w rzeczywistości istnienia pewnego, osobistego zainteresowania ojca, lecz poza tém niczego więcéj.

Wniosek pierwszy t. j., że zachodzi związek fizyczny między ojcem a dzieckiem, nie dowodzi bynajmniéj, jak to mniemano zazwyczaj, jakoby ojciec miał się uważać koniecznie za rodziciela dziecka. Związek między ojcem a dzieckiem, który się w ten sposób rzeczywiście uwydatnia, nie potrzebuje być wcale związkiem krwi, nie dotyczy on bowiem stosunku ojca do dziecka w czasie spłodzenia, lecz po urodzeniu, a ten nie obejmuje zarazem piewszego, co jasno wynika z wiary ludów dzikich w tajemnicze wpływy, wywierane nie tylko przez zachowywanie się wzajemne ojca i dziecka. Podobny związek tajemny ma bowiem zachodzić także między innymi krewnymi, między przyjaciółmi — a nawet między ludźmi a zwierzętami. Bardzo rozpowszechnione jest mniemanie, że można pewnemi czynnościami trzecim osobom

zaszkodzić, bądź na zdrowiu bądź nawet na życiu, z drugiéj zaś strony innym dopomódz odpowiedniém zachowaniem się. Przeświadczenie o wzajemnym wpływie czynności osób nie spokrewnionych między sobą, spotykamy tak na niskim jak i na wysokim stopniu cywilizacyi. Ploss dostarcza nam licznych przykładów podobnego przesądu z różnych części Niemiec; mianowicie rodzice chrzestni są obowiązani do zachowania licznych środków ostrożności, aby obronić swych chrześniaków od szkodliwych następstw, muszą się oni jaknajstaranniéj myć przed chrztem, inaczéj dziecko byłoby niechlujném; nie wolno im także przechodzić przez płot lub inną przeszkodę, bo zostałoby lunatykiem; w drodze do kościoła nie mają się oglądać, w przeciwnym razie chrześniak nabrałby zwyczaju głupiego gapienia się; nie wolno im miéć scyzoryka przy sobie lub noża, bo zostałby samobójcą i t. p. Zadziwiającém jest więc podobieństwo do przesądu Indyan, na którym się opiera kuwada. Na pokrewnym związku myśli zasadza się przepisane zwyczajem na wyspie Hawał, ogólne wstrzymywanie się od pewnych potraw jakoto: ryb, owoców i t. p. w czasie choroby króla lub naczelnika szczepu. I tu także mowy nie ma o związku krwi, lub bezpośredniém pochodzeniu od danéj osoby, jako o przyczynie owego zwyczaju. Przykładu najlepszego, dla nas najważniejszego, nie dopuszczającego żadnéj wątpliwości, dostarcza nam Wallace w opisie podróży swéj po Ameryce południowéj. „Indyanin pewien, który nam służył za strzelca, złapał pięknego cietrzewia i oddał go swéj żonie na wychowanie, biedna kobiéta musiała jednak odtąd żywić się wyłącznie chlebem z kassawy i owocami, a zupełnie nie jadać mięsa, pieprzu i soli, ponieważ sądzono, że toby sprowadziło śmierć ptaka, który i tak zdechł; mąż uważał za stosowne żonę obić, twierdząc, że ona spowodowała śmierć cietrzewia, nie zachowując przepisanéj dyety.“

Chcąc być zatem konsekwentnym, należałoby twierdzić, że owi Indyanie całkiem na seryo uważali się za rodziców ptaka, a szczególnie owa Indyanka za matkę — analogia bowiem do kuwady jest tutaj zupełną; nabiera zaś ona tém większego znaczenia, jeżeli się uwzględni, że właśnie w południowéj Ameryce najwięcéj jest kuwada rozpowszechniona. Widzimy zatém, że kuwada w żadnym nie znajduje się związku z pokrewieństwem.

Tylor charakteryzuje ten zwyczaj w następujący sposób: Kuwada neguje pośrednio fizyczną samoistność osobników, którąby każdy cywilizowany człowiek uznał za zasadę niezbitą, za pewnik naturalny i wrodzony; dopiéro zagłębianie się w skłonności psychicznéj dzikiego człowieka wskaże mu, że mylnie uważał to za intuicyę z jego strony, co było owocem długowiekowego wychowania ludzkości. Ku-

wada wskazuje nam, jak szereg różnych, zdala od siebie mieszkających ludów, żyje z całą świadomością w tém przekonaniu, że związek między ojcem a dzieckiem nie polega wyłącznie, jak my sądzimy, na ojcostwie, sympatyi wrodzonéj i obowiązku moralnym, lecz także na fizycznem połączeniu ich zdrowia, tak dalece, że co dotknie jednego i na drugie oddziaływa. Tylor stawia kuwadę słusznie na równi z czarami i wróżeniem, należy ona do owego stopnia rozwoju umysłowego, na którym człowiek związku subiektywnego, duchowego, t. j. tego, który w jego umyśle się wytwarza, rozróżnić nie jest w stanie od tego, co po za nim istnieje, w przeciwstawieniu do pojęć największéj części wykształconych członków rasy wyższéj.“ Wielu autorów, a między nimi bystrością umysłu odznaczający się Tylor, przywiązywało szczególne znaczenie do téj okoliczności, że to właśnie ojciec ma się poddać pewnym umartwieniom i środkom ostrożności, wysnuwając ztąd wniosek, że związek między nim a dzieckiem jest ściślejszy niż między dzieckiem a matką. Twierdzenie to stoi w rażącéj sprzeczności z faktycznym stanem rzeczy: matka bowiem również poddać się musi podobnym przepisom co do dyety i sposobu życia, a nadto spotykamy u licznych ludów pierwotnych, zwyczaje dotyczące obchodzenia się z kobiétą po rozwiązaniu i co do postępowania, którego trzymać się winna, a to nie tylko w jéj własnym interesie, lecz także w interesie dziecka. Zresztą i tu, jak się zdaje, myśl przewodnia, o władzy domowéj i rodzinnéj męża, na pierwszy wystąpiła plan, poddaje on się chętnie ogólnie przyjętemu mniemaniu, że na niego, jako na główną osobistość największa moralna spada odpowiedzialność. On poddać się musi „kuwadzie,“ ponieważ dziecko jego jest własnością. Kobiéty to właśnie w wielu miejscach pilnie wykonania kuwady doglądają, a w razie śmierci dziecka, na męża gniew swój cały wylewają.

Wszystko to jednak oczywiście nie wyklucza bynajmniéj późniejszego połączenia kuwady, w myśli niektórych ludów, z pokrewieństwem kojarzącém ojca z dzieckiem. Byłobyto zjawiskiem partykularném bez głębszego znaczenia. Pomiędzy znanemi ludami pierwotnemi, trudnoby przyszło wyszczególnić bodajby jeden, któremuby fakt ten całkowicie był nieznany. Czyli więc lud jakiś używa kuwady czy nie, jestto pod tym względem okolicznością zupełnie obojętną a wcale nie można się zgodzić z wnioskiem Westermarcka, jakoby koniecznym warunkiem kuwady miało być pojęcie pokrewieństwa między ojcem a dzieckiem. Bo udział mężczyzny w płodzeniu może być bardzo dobrze znany, pojęcie zaś *prawnego* pokrewieństwa, między ojcem a dzieckiem może być mimo tego zupełnie nie rozwinięte. Co się tyczy wniosku drugiego (str. 251) t. j., że ojcu zależy na utrzyma-

niu dziecka przy życiu i zdrowiu, to starano się wyciągnąć z niego dalszą konsekwencyę, iż kuwada jest zawsze oznaką rzeczywistego pokrewieństwa między ojcem a dzieckiem; konsekwencya ta jest zaś również fałszywą: interes jaki ojciec może mieć w zdrowiu swojego dziecka nie ma najmniejszego związku z pokrewieństwem, polega on raczéj wszędzie, gdzie się znajduje obok kuwady, na względach przeważnie ekonomicznych. Dzieci podlegają władzy ojca — synowie są jego przyszłymi pomocnikami, córki bywają przedmiotem korzystnéj sprzedaży. Roztrzygającą dla ocenienia całego tego stosunku jest zresztą okoliczność, iż kuwada zjawia się niejednokrotnie tam, gdzie panuje system pokrewieństwa przez matki, i zasadniczo mowy być nie może o żadnym związku agnacyjnym, a pochodzenie po kądzieli decyduje wyłącznie o przynależności familijnéj i następstwie spadkowém dzieci. Za przykład posłużyć mogą opisane przez Schomburgka ludy Guyany, tudzież Kalifornijczycy i murzyni, u których skonstatowano istnienie kuwady, obok pokrewieństwa przez same matki. Nadto u powyższych ludów ojcostwo powstać może faktycznie w inny także sposób, a szczególnie przez kupno, nie ulega więc wątpliwości, że one znają wprawdzie ojcostwo w znaczeniu fizyczném, lecz nie przywiązują do niego żadnego znaczenia prawnego. Moglibyśmy zaś przyznać, że kuwada występująca obok pokrewieństwa przez matki, może uchodzić za objaw budzącego się p a t r y a r c h a t u. t. j. władzy ojcowskiéj w wyraźném przeciwstawieniu do pokrewieństwa przez ojców, które się z nią w żadnym nie znajduje związku.

Streśćmy w kilku słowach rezultaty wywodu powyższego, może nadto już rozwlekłego. Stosunek prawny między ojcem a dzieckiem, istniejący w stosunkach pierwotnych, opiera się wszędzie nie na związku krwi, lecz na zewnętrznéj władzy. Jestto twierdzenie, którego udowodnienie jest nie tylko możliwe, ale mojém zdaniem, już dokonane. Spotykamy myśl tę przewodnią w różnych odmianach u najpierwszych etnografów i historyków. Ma ona zastosowanie także do patryarchatu aryjskiego i u innych ludów cywilizowanych, jak to obszerniéj wyjaśnimy w dalszym ciągu naszéj rozprawy. W książce naszéj: „O pokrewieństwie przez same tylko matki,“ przedstawiliśmy tę samą teoryę jako fundamentalną. Była ona niejako logiczną konsekwencyą nagromadzonego materyału naukowego a brak było tylko należytego jéj sformułowania: bardzo mała liczba badaczy wysnuła z niéj słuszne i właściwe wnioski i co do ocenienia systemu pokrewieństwa przez matki. Władza ojcowska bowiem mogła istnieć przed pokrewieństwem przez matki, rozwijać się obok niego, a nadto i po jego usunięciu w najróżnorodniejszych możliwych odmianach i kombinacyach.

Władza ojca i pokrewieństwo przez matki wywierały na siebie nieustające wpływy wzajemne, wchodząc w walkę ze sobą głównie z powodu, iż z władzy ojcowskiéj powstał system prawnie uznanego pokrewieństwa przez ojca; władza ojcowska jednak jako stosunek opieki mogła być starszą niż pokrewieństwo przez matki, które ją w wielu miejscach wyparło i zupełnie pochłonęło. W każdym przypadku zjawia się jednak ponownie władza ojca obok pokrewieństwa przez matki, którego zrazu zmódz nie może i dopiéro po długim rozwoju, pełnym modyfikacyi, doprowadza do ostatecznego tryumfu rodziny agnacyjnéj albo rodzicielskiej (*Elternfamilie*).

II.

Gdyby nauka o pokrewieństwie przez matki, pospolicie rozpowszechniona, była zupełnie trafną, trzebaby natenczas przypuścić, iż stosunek dzieci do rodziców rozpocząć się musiał od stosunku do matki, stosunek zaś opieki lub pokrewieństwa, przywiązujący późniéj dzieci do ojca, musiałby był rozwinąć się znacznie późniéj. Między wszystkiemi istniejącemi ludami powinnyby znajdować się na najniższym stopniu rozwoju te, które hołdują pokrewieństwu przez matki, wyższy zaś stopień powinnyby zajmować te, które uznają pewien związek prawny między rodzicami, więc także między ojcem a dziećmi, nie trzymając się już wyłącznie pokrewieństwa przez matki. Jakkolwiek grupowanie ludów według stopni rozwoju jest zadaniem bardzo trudném, sądzę jednak, że mogę się tu trzymać zasady, rozwiniętéj w mojém studyum „o własności“, mianowicie, że brak czy téż egzystencya naczelnika szczepu, oraz większy lub mniejszy rozwój jego władzy, dostarcza najodpowiedniejszéj miary dla rozróżnienia stopni pierwotnego rozwoju cywilizacyi. Związek, zachodzący między ustrojem politycznym a całą organizacyą społeczeństwa, doskonale opisany przez Spencera w jego Socyologii, popiéra nasze twierdzenie dalszém znakomitem uzasadnieniem. Z tego punktu widzenia ludy, o których mowa w niniejszym rozdziale, należéćby musiały do najniższéj z istniejących klas cywilizacyi. Fakt ten zresztą nie spotkał się na szczęście z opozycyą z żadnéj strony, nie potrzebujemy więc przy nim się zatrzymywać. Na tém większą uwagę zasługuje zatém okoliczność, że z jedynym wyjątkiem Australczyków, żaden z tych ludów i szczepów nie używa systemu pokrewieństwa przez matki, wszystkie zaś znają związek między ojcem a dzieckiem, ba nawet niektóre szczepy australskie, należące do najdzikszych, również nie hołdują pokrewieństwu

przez matki, położenie zaś geograficzne ich kraju usprawiedliwia przypuszczenie, że ich przodkowie w czasie wędrówki z północy i północnego wschodu, należeli do najdawniejszéj ludności, zamieszkującéj ten ląd stały, i dopiéro późniejsze wędrówki wyparły ich do obecnych siedzib, tak, że z wszelkiém prawdopodobieństwem przypuszczać można, iż zachował się u nich bardzo starożytny ustrój rodziny. Twierdzenie to znajduje swe uzasadnienie w wyjątkowém i odosobnioném stanowisku téj organizacyi rodzinnéj w przeciwieństwie do reszty plemion australskich; da się to bowiem wytłómaczyć, jako pozostałość dawniejszego stanu, lecz nie jako wynik rozwoju samodzielnego. Na tę to właśnie okoliczność szczególny należy położyć nacisk. Obecnie znamy już niektóre przyczyny przejścia od prawa matki do prawa ojca. Najpotężniejszego wzmocnienia doznaje prawo matki w czasie pierwszych początków rolnictwa, kiedy tymczasem rodzina patryarchalna, o któréj stosunku do pokrewieństwa przez matki pomówimy w dalszym ciągu, występuje u wszystkich ludów pasterskich w związku przyczynowym z chowem bydła. Myśl tę poruszył pierwszy Spencer, lecz dopiéro Lippert naukowo uzasadnił. U ludów, które, jak np. Malajczycy albo Meksykanie, nigdy się nie trudniły chowem bydła i życia pasterskiego nie znały, rozwój patryarchatu, z którego czasem się wytwarza system agnacyjnego pokrewieństwa, jest również wynikiem znacznego postępu cywilizacyi, ściślejszego spojenia społeczeństwa i korporacyjnéj organizacyi rolnictwa. Przypuszczenie, jakoby Buszmani, mieszkańcy wysp Andamańskich, Botokudzi i inne ludy na tym samym stopniu rozwoju, przezwyciężywszy już system pokrewieństwa przez matki, były doprowadziły do systemu pokrewieństwa przez ojców, pozostaje w oczywistéj sprzeczności z powyższém prawidłem rozwoju, jak również z wszystkiém, co nam wiadomo o pokrewieństwie przez matki i o agnacyi. Ponieważ da się wykazać ścisły związek, zachodzący między organizacyą rodzinną a innemi stronami cywilizacyi, mamy więc prawo przypuścić, że najniższym znanym stopniom ogólnego rozwoju, odpowiada także najmniéj rozwinięta organizacya rodzinna, względnie, że organizacya rodzinna będąca w związku z owymi stopniami cywilizacyi, jest najniższym ze znanych stopni prawa rodzinnego. Zachodzi więc pytanie, czyli u wspomnianych ludów nie istnieje pokrewieństwo przez ojców lub przynajmniéj władza patryarchalna, zbadajmy materyał, którym rozporządzamy, i rozliczne, dotychczas wypowiedziane opinie.

Westmarck przytacza, w swém często wspominaném dziele, ludy dzikie, które nie znają pokrewieństwa przez matki; przegląd ten traci znacznie na wartości, skutkiem pomieszania bez żadnéj różnicy najrozmaitszych stopni cywilizacyi, rozdział III-ci zawiera jednak do-

skonałe zestawienie wiadomości o najdzikszych szczepach, a dochodzi w nim autor do rezultatów, które uważamy za istotnie słuszne. W organizacyi wyżéj wspomnianych ludów okazuje się zaś rzeczywiście godne podziwienia podobieństwo.

U mieszkańców Ziemi Ognistéj panują, po za obrębem rodziny, stosunki wprost nieprzyjacielskie. Jedność téj saméj mowy nie nastręcza najmniejszéj gwarancyi przyjacielskiego obcowania. Rodziny żyją zupełnie niezależnie od siebie i łączą się w małe grupy bez naczelników, jedynie w celu wspólnéj obrony. Tylko mieszkańcy południowéj części wyspy utworzyli sobie klany, zbierające się jednak w rzadkich tylko, wyjątkowych wypadkach. Dwie, a co najwyżéj pięć rodzin żyje razem w jednéj chacie. Wpływ rodziny jest jedynym silnym węzłem, łączącym tych autochtonów. Według innego autora, wędrują oni zwykle w gromadach złożonych mniéj więcéj z 12 osób, przeciętnie z trzech mężczyzn, pięciu kobiét i czworga dzieci, będących niejako jednostką socyalną najnaturalniejszą—rodziną pierwotną. Gdzieindziéj zjawiają się podobne gromady obejmujące 20 — 40 osób. Młodzieniec, który nie posiadł żony przez porwanie, stara się o dziewczę u rodziców, i dokonywa za to na ich rzecz, w razie jeżeli obopólna zgoda przyszła do skutku, pewnéj użytecznéj pracy, dopomaga im np. przy budowie łodzi.

U Buszmanów spotykamy się ze zjawiskiem pokrewném; żaden autor nie wspomina o panującém u nich pokrewieństwie przez matki. Węzły, które stwarza małżeństwo i rodzina są nader luźne, zazdrość znaną jest tam w małym tylko stopniu; za złamanie wierności małżeńskiéj nie czeka kobiéty żadna lub bardzo lekka kara, piękniejsze i młodsze kobiéty przypadają w udziale śmielszym i silniejszym mężczyznom. Lud cały przesiedla się rodzinami pojedyńczemi; wyjątkowo tylko łączy się kilka rodzin w gromadkę, nie podlegającą jednak ani naczelnikom, ani zwyczajom prawnym. Popęd płciowy, instynktowne przywiązanie do dzieci i na zwyczaju oparty związek najbliższych krewnych między sobą—oto jedyne połączenie im znane. Zwykle się tu zalicza także cejlońskich Weddahsów (*Veddahs*), żyjących w małych i nielicznych związkach rodzinnych, przestrzegających ściśle zasady monogamii i gromadzących się w liczniejsze grupy wśród wyjątkowych tylko okoliczności. Ich pożycie małżeńskie ma być wzorowe; rozwodu—w przeciwstawieniu do innych ludów na tym samym stopniu rozwoju stojących—nie znają, także pokrewieństwo przez matki jest im zupełnie obce; narzeczony stara się oprzyszłą swą żonę u jéj rodziców. Ważne jednak powody przemawiają przeciw zaliczaniu Weddahsów do najniżéj stojących ludów, jak to wykazał w swojéj etnologii (*Völkerkunde*) niemiecki uczony Ratzel. Wiadomości o lu-

dach zachodniéj Australii dostarcza nam biskup Salvado, najlepszy znawca owych krajów. Nie żyją oni w związkach szczepowych, lecz ściśle tylko rodzinnych; każda rodzina, licząca zwykle 6—9 głów, tworzy zarazem osobne dla siebie społeczeństwo, zależne wyłącznie od ojca rodziny. Rozliczne szczepy wytworzyły następstwo rodowe po mieczu, jako formę życia rodzinnego pochodną, zdaniem Kohlera, w rzeczywistości zaś prawdopodobnie jako pierwotną. Australski patryarchat, istniejący we wszystkich okolicach podległych systemowi pokrewieństwa przez matki, nie utworzył się—jak się zdaje--bynajmniéj na tle tego systemu; przeciwnie, nawet pokrewieństwo przez matki rozwinęło się prawdopodobnie z poprzedzającéj je familii rodzicielskiéj. W jakiém zaś to rozumiemy znaczeniu, wykaże porównanie z innymi ludami o kulturze najpierwotniejszéj, w każdym zaś razie — nie w znaczeniu pierwotnéj rodziny ojcowskiéj Westermarcka, co już tu zaznaczyć należy. Nadzwyczaj skomplikowana organizacya australskiéj rodziny macierzyńskiéj, tłómaczy się poprzednim długotrwałym rozwojem, którego punktu wyjścia *a priori* oznaczyć nie można. Trzeba więc tu zastosować metodę indukcyjną, o ile na to pozwala materyał rozporządzalny. U Botokudów jest rodzina jedyną spójnią jednoczącą te dzikie dzieci natury; ojciec jest panem żony i dzieci, bywa téż częstokroć bardzo zazdrosnym małżonkiem. Martius wyszczególnia prócz tego szereg niezbyt licznych ludów brazylijskich, które żyją rodzinami oddzielnie w najpierwotniejszém odosobnieniu.

Ludy te mają dla nas wielkie znaczenie, ponieważ są dość dobrze znane, by z zupełną pewnością módz orzec, że całkiem nie stosują systemu pokrewieństwa przez matki. Co się tyczy ogólnego rozwoju, stoją one jednak znacznie niżéj od wszystkich ludów Ameryki, hołdujących pokrewieństwu przez matki. Żaden z tych ludów nie okazuje tak niedostatecznéj koncentracyi wszystkich sił, tak luźnego ustroju wewnętrznego, jak np. Botokudzi; toż samo dotyczy mieszkańców Ziemi Ognistéj i Buszmanów; murzyni, znający tylko ściśle pokrewieństwa przez matki, są bardzo cywilizowani w porównaniu z tymi najuboższymi i najsłabszymi z dzikich. Stosunek ten jest wprost przeciwnym dotychczas panującym teoryom historyi rozwoju ludzkiego. Stosunki przedstawiają się w rzeczywistości wręcz odwrotnie, niżby to być musiało stosownie do panującéj nauki: zjawiska te, które uchodzą za późniejsze, występują widocznie jako wcześniejsze, nic bowiem nie przemawia za tém, żeby tu było już nastąpiło przejście od systemu pokrewieństwa przez matki do agnacyi. Bo zmiany tego rodzaju bywają zawsze owocem rozwoju długiego, mozol-

nego, łączącego się z innemi ważnemi postępami cywilizacyi, o których nie ma ani śladu u wspomnianych ludów barbarzyńskich. Z porównania Buszmanów z cywilizacyą innych ludów, wynika raczéj bardzo prawdopodobne twierdzenie, że byliby oni również dotarli do pokrewieństwa przez matki, gdyby okoliczności sprzyjające były im dozwoliły nabycia wyższego stopnia oświaty, przeciwnie zaś ludy wyżéj stojące, kiedyś w przeszłości musiały przebyć to samo stadyum rozwoju, na którém się obecnie znajdują Buszmani. Mimowoli nasuwa nam się dalszy wniosek, że w wyżéj przytoczonych przypadkach mamy do czynienia ze stosunkami, które wyprzedziły pokrewieństwo przez matki, i że dostał nam się w udziale, wskutek szczęśliwego zbiegu okoliczności, co najmniéj przelotny obraz odleglejszego stopnia tajemniczéj i niezgłębionéj epoki pierwotnego rozwoju. Czyż nie wyprzedził rodzaj faktycznéj opiekuńczéj władzy ojca, późniejszego systemu pokrewieństwa przez matki, jak to już niejednokrotnie twierdzono, czy nie istniała może naturalna grupa rodzicielska, zanim się wykształcił właściwy system pokrewieństwa? Pytanie to nie stoi wcale w związku logicznym z teoryą o pierwotnym komunizmie płciowym. Pierwotną grupę rodzicielską wyprzedziły zapewnie inne formy społeczne jeszcze pierwotniejsze, jako to: spółki małżeńskie (*Gemeinschaftsehe*), komunizm płciowy, zupełny brak rządu i ładu, który oznaczyć można różnemi nazwami, wszystko to mogło było istnieć lub nie istnieć, kwestyę tę uważamy ciągle jeszcze za otwartą, mimo znakomitych wywodów Westermarcka, ponieważ ustawicznie napływa świeży materyał, a krytyka Westermacka nie jest wcale wyczerpującą. Może się zaś stwierdzić mniemanie, że ani pokrewieństwo przez matki nie było najdawniejszą pozytywną formą związku rodzinnego, ani téż nie jest nią właściwy, prawnie uzasadniony patryarchat. To jest pięta Achilesowa wszystkich teoryi dotychczasowych, bo między patryarchatem rzymskim a formami rozwoju, które się spotyka u Buszmanów, nie czyniono właściwie żadnéj różnicy zasadniczéj. Hellwald, który w dziele swojém o rodzinie w wielu miejscach wypowiada poglądy znakomicie uzasadnione, i tu również na dobrą wszedł drogę, wychodząc z założenia, że t. zw. heteryzm epoki pierwotnéj polegał na braku stałych norm względem stosunku płciowego ludzi. Polygamia, polyandrya lub monogamia mogły więc istnieć obok siebie.

Stosunki u przytoczonych przez nas ludów, do których z wielu względów zaliczyć należy także Eskimosów i Kalifornijczyków, uprawniają nas do twierdzenia, że jeszcze przed powstaniem grupy macierzyńskiéj, rozwinął się pewien rodzaj władzy ojcowskiéj, rodzaj związków mono- lub polygamicznych, które miały wprawdzie

zdaniem Kautsky'ego i Kulischera charakter bardzo efemeryczny, w każdym jednak razie stanowiły ogromny postęp w porównaniu z dawniejszą bezładnością. Wartość użytkowa żony polega u tych ludów pierwotnych, jakeśmy już wykazali w poprzednim rozdziale, nie tyle na stosunku płciowym, jak raczéj na jéj sile roboczéj. Tém się tłómaczy łatwo, że mężowie opuszczają niekiedy żony po dokonanym porodzie, w czasie zaczynającéj się epoki karmienia, bo skutkiem tego nietylko przerywa się stosunek płciowy, lecz nadto siła robocza kobiéty doznaje dotkliwego uszczerbku. Mimo tego, podobne opuszczanie żon bynajmniéj nie jest powszechném nawet u najdzikszych ludów. Kobiéty przedstawiają nawet w czasie karmienia nie małą wartość użytkową; a wystaranie się o własną żonę bywa wszędzie nie łatwém zadaniem; trzeba ją sobie zdobyć i przy niéj się utrzymać. Węzeł małżeński jest nader luźny u ludów powyższych, z wyjątkiem W e d d a h s ó w; małżeństwo trwa przez czas nie oznaczony, lecz zwykle znaczniejszy, niezależnie od pór roku spółkowania, przestrzeganych u niektórych szczepów, ponieważ wzgląd na stosunek płciowy drugorzędną tylko w małżeństwie ówczesném gra rolę. Mąż ma zatém dosyć czasu do wciągnięcia dzieci, zrodzonych przez żonę, w obręb swéj władzy i przywyknięcia do myśli, że jemu podlegają. Nie potrzeba dodawać, że także na tym stopniu rozwoju prawidłowo żadnego nie przywiązuje się znaczenia do rzeczywistego spłodzenia przez ojca. Hellwald sądzi, że ta władza z istoty swéj opiekuńczéj przypaść mogła w udziale niekoniecznie małżonkowi matki, lecz także innym mężczyznom, a szczególnie wujowi (bratu matki), zdanie to może miéć zastosowanie tylko tam, gdzie rozwinęła się już grupa macierzyńska, lecz nie może się odnosić właśnie do najdzikszych ludów, o ile to wywnioskować można za pomocą indukcyi. Hellwald twierdzi wprawdzie, że dzikie szczepy uważają prawie bez wyjątku mężczyzn za posiadaczy kobiét, co było możliwém dopiéro z powstaniem pojęcia własności, pomijając jednak okoliczność, iż spostrzeżenie to wcale się nie sprzeciwia powyżéj rozwiniętym poglądom, zdaje nam się nadto, iż żadną miarą nie można z niego wysnuć wniosku, jakoby owa opieka i władza ojca miała być oznaką oświaty, stosunkowo doskonałéj.

Można tu raczej analogicznie zastosować zdanie H. Spencera o prawie własności: „Pies okazuje pewne obznajomienie z własnością i broni nietylko swéj budy lub łupu zdobytego, lecz czuwa także nad rzeczami swego pana. Nie możemy przypuszczać, by człowiek, znajdujący się na najniższym stopniu rozwoju, miał wyobrażenie o własności mniéj doskonałe, a twierdzenie to poprzéć możemy dowodami: Dzicy posiadają zwykle swoją broń, narzędzia, ozdoby i szaty, jako

własność indywidualną. Nawet między nędznymi mieszkańcami Ziemi Ognistéj istnieje prywatna własność łodzi. Samo już wyobrażenie przyszłych korzyści, które nakłania istotę rozumną do wzięcia w posiadanie lub sporządzenia pewnéj rzeczy użytecznéj wystarcza najzupełniéj, by wywołać ze strony posiadacza opór przeciw każdemu usiłowaniu wydarcia jéj. W zasadzie, nikt posiadania nie narusza, bo rzecz nie bywa wartą niebezpieczeństwa połączonego z każdą walką, a gdyby ją jednak kto inny zabrał, przezwyciężywszy opór posiadacza, zwycięsca ten nabywa na niéj własność indywidualną dla siebie samego. Te same pobudki, które spowodowały człowieka pierwotnego do przywłaszczenia sobie własności wyłącznéj innych przedmiotów użytecznych, muszą w nim także rozbudzić dążność do zmonopolizowania kobiét. Musi więc powstać prywatna własność na kobietach, lekceważona jedynie przez silniejszego, starającego się o zdobycie własności, również prywatnéj, dla siebie".

Przedstawiamy sobie pierwotną „komórkę" familii — takby nazwać można ową tak prostą i pojedyńczą jednostkę społeczną — w sposób następujący. W obrębie mniejszych lub większych stad ludzi — jeżeli nazwy téj użyć wolno w zastosowaniu do owych pierwotnych społeczeństw — tworzą się drobniejsze grupy odosobnione, których punktem środkowym zwykł być jeden mężczyzna, jak to ma miejsce rzeczywiście u Buszmanów, mieszkańców Ziemi Ognistéj i Botokudów. Wchodzi on w posiadanie jednéj lub więcéj kobiét, rozporządza niemi według upodobania, włada téż dziećmi, któreby urodziły, chociażby nie on sam je był spłodził. Własny jego, dobrze zrozumiany interes powoduje go do obrony tych osób przeciw innym mężczyznom i wszystkim nieprzyjaciołom wogólności. Stosunek ten różni się w zupełności od właściwego patryarchatu. Nietylko, że owa władza nie idzie w parze z żadnemi obowiązkami, nie będąc co do swéj treści niczém określoną; trwanie jéj zależy nadto od czysto faktycznych okoliczności; ustaje ona z chwilą, kiedy poddani jéj z pod niéj się usuwają, lub kiedy ów mężczyzna, będący jéj punktem środkowym, zechce ją porzucić, lub wreszcie jeżeli mu kto inny władzę przemocą wydrze. Stosunek ten jest rzeczywistą władzą opiekuńczą, rodzajem związku familijnego, lecz nie mieści w sobie jeszcze stosunków pokrewieństwa. Odnosi się to do stosunku dzieci zarówno do matki, jako i do ojca.

Ludy te znają oczywiście stosunek naturalny między matką a dziećmi, podobnie jak i stosunek opieki i władzy między panem domu a dziećmi: pierwszy jednak okazuje widoczną tendencyę zgaśnięcia z chwilą, kiedy opieka macierzyńska staje się dziecku zbyteczną,

drugi zaś polega ściśle tylko na faktycznéj opiece i faktycznéj władzy pana domu, znika jednak natychmiast z przypadkowém lub rozmyślném usunięciem owéj opieki i władzy. Obydwa stosunki są czysto osobistemi, ograniczają się one prawidłowo wyłącznie do wyżéj wymienionych osób, po za tém spotkać można zarodki rozwijającego się systemu pokrewieństwa, nie ma zaś żadnego systemu rozwiniętego, ani pokrewieństwa przez matki, ani agnacyi. Tém się tłómaczą zjawiska życia pierwotnego, którychby wcale zrozumiéć nie można, wychodząc z założenia, iż system prawa macierzystego był bezwzględnie najstarożytniejszym systemem pokrewieństwa. Nie możemy wprawdzie oprzéć tych twierdzeń na imponującym materyale indukcyjnym, z téj prostéj przyczyny, ponieważ nieliczne tylko ludy znajdują się dziś na najniższym stopniu kultury. Przedstawiają one za to typy prawdziwie archaistyczne, których pominąć nie podobna milczeniem. Powinno się wykazać koniecznie stosunek ich do pokrewieństwa przez matki, w żaden zaś sposób nie można przejść nad niemi do porządku dziennego, nie uwzględniając ukrytéj sprzeczności między ich organizacyą familijną a teoryą macierzyństwa powszechnie przyjętą. Z tego prastarego punktu wyjścia może postępować dalszy rozwój w podwójnym kierunku; w kierunku pokrewieństwa albo przez matki albo przez ojców, a nawet trzeciéj ewentualności t. j. pokrewieństwa przez oboje rodziców, czyli że t. zw. rodziny rodzicielskiéj *a priori* wykluczać nie można. Przeciw temu zapatrywaniu nie przemawia także mylna, zdaniem naszém, argumentacya Giraud Teulona, zwrócona przeciw możliwości równoczesnego powstania familii macierzyńskiéj i władzy ojcowskiéj. „Możnaby uznać powyższe twierdzenie za słuszne—powiada Giraud Teulon— gdyby antropologia wykazała niejednokrotny początek ras ludzkich, skoro jednak nie posiadamy takiego dowodu, musimy uważać ród ludzki za jedność specyficzną, a różnorodne typy społeczeństw za rozmaite stopnie rozwoju, któreby ludzkość przejść musiała, zanimby się wzniosła od form niższych do wyższych. Należałoby zatém ułożyć instytucye rodu ludzkiego w pewne szeregi postępujące, związane z sobą podobnie, jak ogniwa łańcucha, chociażby się zaś kto wahał uznać, że formy te wypływać musiały koniecznie jedne z drugich, to wyprowadzi on je przynajmniéj ze wspólnego pnia ludzkości z którego wszystkie wyrosły, w różnych wysokościach rozgałęziając się w rozmaitych kierunkach.“

Prawda, że jednolitość rodu ludzkiego anatomiczna i fizyologiczna w związku z powszechném podobieństwem zewnętrznych wpływów przyrody, pociąga za sobą równość pewnych uniwersalnych ty-

pów rozwoju prawdziwie zadziwiającą. U świéżo odkrytych i opisanych ludów np. wewnętrznéj Afryki, nie spotykamy żadnych typów rozwoju, któreby już skąd indąd nie były znane. Oznaczenie granic téj jednolitości jest jednak wyłącznie zadaniem indukcyi, wszelkie zaś dedukcyjne twierdzenia w tym względzie, bywają niepewne a najczęściéj nawet mylne. Jestto rzeczą powszechnie uznaną, że owa jedność, to podobieństwo w rozwoju rodu ludzkiego nie stoi bynajmniéj na przeszkodzie ani znacznéj rozmaitości typów, ani téż ważnym różnicom indywidualnym w obrębie każdego typu. Żadne indywiduum nie jest nigdy zupełnie równe drugiemu, granicy zaś tych różnic z góry oznaczyć niepodobna. Giraud Teulon przyznaje, że mogą się rozchodzić gałęzie od wspólnego pnia w różnych wysokościach i kierunkach, lecz to nie wystarcza; bo wcale nie jest niemożliwe rozchodzenie się takich gałęzi z tego samego punktu w kierunkach przeciwnych. W późniejszym rozdziale wystąpimy w obronie nauki, iż pokrewieństwo macierzyńskie prawidłowo wyprzedziło agnacyą. Mogły jednak zajść okoliczności, które w poszczególnych, rzadszych przypadkach przeszkodziły wytworzeniu się pokrewieństwa przez matki i spowodowały bezpośrednie powstanie rodziny patryarchalnéj a nawet agnacyjnéj ze stanu pierwotnego. Byłoby to zbytecznem zatrzymywać się przy tém dłużéj w obecnéj chwili, należy tylko zaznaczyć, że podobna ewentualność nie sprzeciwia się bynajmniéj temu, co nam wiadomo o cywilizacyach najpierwotniejszych, dotychczas istniejących. Być może, że w ten sposób tłómaczyć wypadnie mianowicie niektóre zjawiska obszaru prawnego Ameryki południowéj.

Porównanie nagromadzonych wiadomości o ludach powyżéj wymienionych przekonywa nas, że system pokrewieństwa u tychże znajduje się dopiéro w stadyum powstania, choć może przyznają pewien wpływ niektórym najbliższym krewnym ze strony ojca i matki. Daléj, że stosunek do ojca, a nawet do matki, nie unormowany jeszcze prawem zwyczajowém, bywa bardzo luźnym, a mowy nie ma o właściwym, wykończonym systemie pokrewieństwa. U mieszkańców Ziemi Ognistéj zjawia się wprawdzie wrodzone uczucie miłości macierzyńskiéj z właściwą sobie potęgą, niknie ono jednak z podrastaniem dzieci. Członkowie rodziny rozstają się bez żalu, mężczyźni sprzedają swe dzieci Patagończykom za psy, konie i szaty lub świecidełka, służące do ozdoby, a sprzedane dzieci nie okazują najmniejszego żalu z powodu rozstania się z rodzicami. Podobne stosunki mają panować między małżonkami a podróżnicy podnoszą szczególną nieczułość, z jaką ojcowie głodzą swe dzieci, mężowie

żony, odmawiając im strawy, byleby jéj mieli podostatkiem dla siebie samych. Bovemu udało się z łatwością za bagatelną cenę nabyć od młodego mieszkańca Ziemi Ognistéj szkielet jego ojca. W niektórych okolicach kraju tego wytworzyły się większe grupy czyli klany. Dzieci należą, co się tyczy tak ważnego na tym stopniu rozwoju obowiązku zemsty, zarazem do klanów ojca i matki, zaliczają się jednak zawsze do klanu ojcowskiego. Krewni ze strony ojca i ze strony matki uchodzą za równie bliskich, istnieją jednak nie dwuznaczne oznaki zbliżania się ku pokrewieństwu przez matki, tak np. (sporadyczna zresztą) władza jednéj z najstarszych kobiét nad hordą, rozwój samoistnéj własności kobiét i pewnego wpływu i znaczenia ich w szczepie. Szczególnie ważną jest zaś pod tym względem odpowiedź udzielona Westermarckowi przez misyonarza T. Bridges'a na pytanie, czyli zdaniem mieszkańców Ziemi Ognistéj, dziecko nie pochodzi przeważnie od jednego lub drugiego z rodziców. Bridges pisze, że według jego zapatrywania, mieszkańcy Ziemi Ognistéj uważają węzeł, łączący dziecko z matką, za znacznie ważniejszy, niż stosunek jego do ojca, a wypływające z owego pokrewieństwa obowiązki wzajemnéj pomocy, obrony i zemsty mają być dla nich szczególnie świętemi. Nie znajduje się to w sprzeczności z faktami powyżéj przytoczonemi, ponieważ u ludów pierwotnych, podobnie, jak u cywilizowanych, częstokroć obok siebie liczne spotkać można partukularyzmy. Mimo to jednak, wiadomość Bridges'a nie jest bez znaczenia, tém bardziéj, że nie ma żadnego powodu niedowierzania zupełnéj jego wiarogodności. Ponieważ pokrewieństwo przez matki w owym kraju jeszcze się nie rozwinęło, uznać więc należy owo chylenie się ku stronie matki za oczywisty dowód kiełkowania téj organizacyi rodzinnéj, fakt zaś, że dzieci w tych okolicach, gdzie się klany wytworzyły, przynależéć mają do klanu ojcowskiego, mógłby świadczyć o partykularném zawiązaniu się rodziny agnacyjnéj; prawdopodobniejszém jest zaś, że ten fakt nie ma wogóle znaczenia dla teoryi istniejących tamże stosunków pokrewieństwa, klan tamtejszy jest bowiem przedewszystkiém związkiem lokalnym, bo egzogamia w Ziemi Ognistéj nie istnieje, a dzieci mieszkają w chacie ojca i znajdują się pod jego władzą; jeżeliby je sprzedał, zaliczonoby je do klanu nabywcy.

Co się tyczy Botokudów, przypominamy to, cośmy o nich powiedzieli w pierwszym rozdziale. Wynikają stąd zupełnie zgodne wnioski. O pewnym, bardzo licznym szczepie Brazylii środkowéj, słyszymy, że tamże dziewczyna dojrzała oddać się może któremukolwiek mężczyznie, gdyby się zaś znalazła w poważnym stanie,

sprowadza się ona do ojca swojego dziecka i pozostaje w chacie jego przez cały czas karmienia. Kochankowi jéj nie jest jednak wzbronioném utrzymywanie stosunków miłosnych z innemi kobiétami, mieszkającemi w téj saméj chacie. Stosunek z ojcem dziecka ustaje zupełnie z chwilą odłączenia dziecka od piersi, co nie przeszkadza późniejszemu powtórnemu połączenin się téj saméj pary według obopólnego życzenia.

Gdyby zaś owa dziewczyna wyszła za innego małżonka, musiałby utrzymywać dzieci swego poprzednika. Jestto typ organizacyi rodziny jeszcze nie ustalonéj i tworzącego się dopiéro systemu pokrewieństwa. Przechodzenie dziecka w posiadanie nowego ojca bywa zawsze w ścisłym związku z pokrewieństwem przez matki, a mianowicie w tym przypadku prawdpodobnie z kiełkującym, gdzieindziéj z upadającym systemem prawa macierzyńskiego. U Buszmanó w stosunki między dzieckiem a matką nie zdołały wprawdzie wytworzyć pokrewieństwa przez matki, lecz także związek między ojcem a dzieckiem jest u nich tylko luźnym i przemijającym. Ojciec i syn, wrazie sporu, uważają się za odwiecznych wrogów, szukając, jak dzikie zwierzęta, sposobności zgładzenia przeciwnika. Ma u nich istnieć pewna obawa przed zawieraniem stosunków kazirodczych, lecz tylko między rodzicami a dziećmi, tudzież między rodzeństwem, czemu zaprzeczają niektórzy znawcy tamtejszych stosunków. Tak jaskrawy brak najpierwotniejszych przeszkód małżeństwa na tak niskim stopniu cywilizacyi jest, według prac najnowszych Wilkena, nie dwuznacznym dowodem, że egzogamia jeszcze się nie rozwinęła, małżeństwo owych ludów jest więc endogamiczném, co przemawia za zupełnym brakiem wykończonego systemu pokrewieństwa. Wspomniane wrogie stosunki między ojcem a synem są również charakterystycznemi. Podobne stosunki mają wprawdzie zachodzić także u murzynów, tudzież u Australczyków (wrazie wojny), tłómaczą się jednak tam w zupełnie odmienny sposób. U murzynów i Australczyków rozwinęła się owa nieprzyjaźń na tle pokrewieństwa przez matki jako wypływ walki między faktyczną władzą ojcowską a główną zasadą organizacyjną t. j. pokrewieństem przez matki. U Buszmanów nie ma zaś takiéj walki, zjawisko powyższe jest więc tam wymowném świadectwem czysto faktycznego skupienia się małych kół społecznych pod wpływem potrzeb obrony, pożywienia i zaspokojenia popędu płciowego. Zewnętrzna forma téj pierwotnéj komórki społecznéj nakłonićby mogła badacza powierzchownego do stawienia jéj na równi z późniejszą rodziną patryarchalną. Brak jéj jednak zupełnie struktury wewnętrz-

nėj, pozbawiona jest silnėj spójni, bo nie rozwinęła się tam ani zasada pokrewieństwa ani tėż prawnie uzasadnionėj władzy. Mimo to jednak było by niesłusznėm nie uwzględniać tego podobieństwa powierzchownego. Jest ono koniecznėm ogniwem ewolucyi, powtarzającėj się w analogiczny sposób w historyi własności. Indywidualizm i atomizm, nie zaś komunizm, jak to sądzono błędnie, stanowi pierwsze początki rozwoju, które drogą indukcyi jeszcze skonstatować można. Kwestya komunizmu płciowego, któryby był panował w odleglejszėj, nieznanėj przeszłości, pozostanie, jak na teraz w zawieszeniu. Rozwiązaćby ją można tylko łącznie z historyą własności.

(D. n.). *Dr. Lotar Dargun.*





Prądy w najnowszéj literaturze niemieckiéj.

2. Epos i liryka.

I. (*Epos*).

Pomiędzy licznemi pracami o „Hermanie i Dorocie“ Goethego istnieje także jedna, która utwór niemiecki zestawia ze wspaniałym eposem Mickiewicza „Pan Tadeusz, czyli Ostatni zajazd na Litwie.“ Porównanie jest całkiem usprawiedliwione. W obu tych dziełach mistrzom powiodła się, u innych zawsze daremna próba, stworzenia rzeczywistego eposu, na podstawie nieograniczonego zakresu życia towarzyskiego swoich czasów. Wielkie tło polityczne jest wspólne obydwom, lecz żywioł bohatérski, niezbędny dla wielkiego eposu, występuje w „Hermanie i Dorocie“ nie z taką wyrazistością; jaką jednak siłę posiada on w eposie mieszczańskim, dostrzegamy dopiéro wtedy, jeżeli utwór Goethego porównamy z jego skromnym, lecz przez dawniejszą krytykę niemiecką wyżéj stawianym wzorem, mianowicie z idyllą „Luiza“ Jana Henryka Vossa.

Już w zaraniu wieku XVIII-go poczęto się coraz żywiéj domagać niemieckiego eposu, któryby można było postawić obok Homera i Wergilego. Przeświadczenie, że „Messyada“ Klopstocka (1748 r.) jest zbiorem mniéj lub więcéj udatnych szczegółów lirycznych, ale nie jest wcale epopeą, zostało przyśpieszone wskutek całéj masy utworów epi-

cznych, naśladujących Klopstocka, czyli tak zwanych patryarchad. W istném przeciwieństwie do prób epicznych szóstego dziesięciolecia, powstających dzięki sprzyjającym wpływom pietyzmu, młodociany Schiller chciał sobie obrać za bohatéra „Juliana Odstępcę.“ W kilka lat później i dla niego samego stało się rzeczą oczywistą, że tylko przedmiot narodowy może stanowić treść eposu, porywającego cały naród. Jeżeli Klopstock myślał pierwotnie o wielkim zwycięscy Węgrów i założycielu miast „Henryku Ptaszniku“, to Schiller, odwróciwszy się od czasów średniowiecznych, chwiał się pomiędzy eposem „Gustaw Adolf“ i „Fryderyk Wielki.“ Coprawda, do urzeczywistnienia tych planów nie przyszło tak samo, jak się nie stała ciałem myśl eposu p. n. „Wilhelm Tell“, która dojrzała w Goethem podczas jego ostatniéj podróży do Szwajcaryi. Dwanaście pieśni „Fryderykiady“ barda Karola Fr. Kretschmanna (1794 r.) sławiły poetycznie wojnę trzydziestoletnią z również małém szczęściem, jak epopee patryotyczne Scherenberga, i jak utwór bohatérski p. n. „Wojna niemiecka“, ogłoszony w r. 1874-ym przez estetyka Vischera pod imieniem Filipa Schartenmeyera, nie zdołał owładnąć poetycznie czynami roku 1870-go. Sam Goethe, zachęcony krytyką utworów homerycznych przez Fr. Augusta Wolfa, po ukończeniu „Hermana i Doroty“ puścił się w bezpośrednie zapasy z homerydami, lecz tylko pierwsza pieśń „Śmierci Achillesa“ została ukończoną; na „Achilleidę“ jego zwrócono uwagę dopiéro od kilku lat. Uhland zaś i Fr. Hebbel chcieli pod wrażeniem Achilleidy pisać tragedyę o śmierci Achillesa. Z mnóstwa prób epicznych romantyków, tylko jedna jedyna zyskała sobie po dziśdzień trwałe względy czytelników, mianowicie: „Róża zaczarowana“ (*Die bezauberte Rose*) młodo zmarłego prywatdocenta z Getyngi, Ernesta Konrada Fr. Schulze'go (1818 r.).

Klopstock wprowadził do języka i literatury niemieckiéj heksametr, jako wiersz epiczny. Za danym przezeń przykładem pod względem formy poszli w wieku XVIII-ym Voss i Goethe, w wieku zaś XIX-ym biskup Władysław Pyrker, K. E. Ebert, Paweł Heyse („Tekla“), Fr. Hebbel („Matka i dziecko“ — *Mutter und Kind* — najlepszy epos mieszczański obok „Hermana i Doroty“), Hamerling („Król Syonu“) i w. in. Atoli podobnie jak nie czuły Klopstock, lecz żartobliwy Wieland, opierający się o epos komiczny, jest rzeczywistym przedstawicielem eposu w literaturze niemieckiéj, tak i stanza, wytworzona przez Wielanda na wzór wielkich Włochów XVI-go stulecia, do któréj się następnie przyłączyły inne wytwory stroficzne, obdarzone rymem, uzyskała przewagę nad heksametrem. Już Fr. Schulze układał swój obszerny utwór bohatérski „Cecylia“ (1815 r.)

stanzami, wydoskonalonemi swobodnie przez Wielanda w „Oberonie“, a „Różę zaczarowaną“ zbudowanemi podług ścisłych prawideł rymowanemi oktawami. Jeszcze zaś przed nim sam A. W. Schlegel dla ułamku swojego Tristana obrał rymowane oktawy, które tym sposobem zalecił romantykom dla eposu; Tristan Schlegla (1800), za którym późniéj nastąpiło nowe odtworzenie eposu miłosnego (*Minneepos*) Gotfryda, dokonane przez Immermanna i kontynuowane następnie przez Hermana Kurz'a, posiada têm większą doniosłość, że, dzięki jemu, sposób przetwarzania średniowiecznych utworów epicznych, jakiego przykład dał już Wieland w „Oberonie“ (1780) i w „Geronie szlachcicu“ (*Gero der Adelige*), został wznowiony także w zastosowaniu do utworów wieku XIX-go. W jednym z najznakomitszych nowoczesnych utworów epicznych, w „Wędrówce narodów“ (*Völkerwanderung*. 1865) Hermana Lingg'a, poeta z natchnieniem sławi użytą przez siebie formę rymowanych oktaw; już zaś przed nim Paweł Heyse w wesołym eposie „Narzeczona z Cypru“ (*Die Braut von Cypern*. 1856) doprowadził oktawę do największego wyrobienia formalnego. Rezultatem rozszerzenia studyów germanistycznych było zastosowanie strofy nibelungskiéj i alliteracyi: naśladując „Trębacza z Säkkingen“ Scheffla, stosowano z upodobaniem bezrymowe czterostopowe trocheje, których szybki tok przerywają wielokształtne pieśni.

Przy przeglądzie formy wierszowéj wynurzyły się już przed naszemi oczyma przykłady rozmaitych kierunków w nowszéj epoce. Wogóle, pominąwszy dzieła pojedyńcze, zajmujące stanowisko wyjątkowe, możemy rozróżnić pięć grup: nowe opracowania i przekłady staroniemieckich przedmiotów podaniowych, do których przyłączają się te i owe przedmioty historyczne; za przedstawicieli mogą uchodzić: Immermann, Jordan, Simrock, W. Hertz, Dahn. „Wędrówka narodów“ Lingg'a może stanowić przejście do takich dzieł, w których przedmiot historyczny łączy się ze swobodnie zmyśloną akcyą indywidualną, przyczem większy nacisk spoczywa bądź na żywiole historycznym, bądź też na osobistym. Należą tutaj utwory Pyrkera, Fränkel'a, „*Hohenstaufen*“ Schönbacha, „Król Syonu“ i „*Ahasverus*“ Hamerlinga. Żyd wieczny tułacz w Rzymie Nerona, wprowadza nas do takich obrazów epicznych, w których poecie chodzi o rozwinięcie swego filozoficznego na świat poglądu i określonych idei. „Demiurg“ Jordana i „Noce Wschodu“ Schack'a stoją tutaj w pierwszym rzędzie obok utworów Brentana i Lenau'a; do tego przyłączają się: Juliusz Mosen z „Pieśnią o rycerzu *Wahn*“ i „*Ahasverem*“, Max Haushofer z „Żydem wiecznym tułaczem“ i „Wygnańcami“ (*Die Verbannten*). Jako przedstawiciel najmłodszych, naturalistycznych Niemiec, o na-

grodę w téj dziedzinie ubiega się Henryk Hart. Grupę czwartą możemy określić jako naśladowców „Trębacza“ Scheffla; Kinkel, Baumbach, Juliusz Wolff, Redwitz, Grosso, Weber albo bezpośrednio naśladowali Scheffla, albo téż na samodzielnie obranéj drodze musieli ustąpić przewodnictwa porywającemu humoryście z nad górnego Renu. Stykający się z „Trębaczem“ epos komiczny i drobniejsze opowiadanie, nowelę w wierszach, reprezentują najlepiéj: Paweł Heyse, hrabia Schack i Avenarius. Sprobójmyż tedy w zakresie wymienionych grup rozpatrzéć bliżéj przynajmniéj najważniejsze zjawiska.

Tak ze względu na wartość wewnętrzną, jak i ze względu na zewnętrzne powodzenie, po nad wszystkiém, co w wieku XIX-tym aż do obecnéj chwili zostało dokonane w zakresie epiki niemieckiéj, wystają wysoko dwa utwory epiczne: Wiktora v. Scheffla „Trębacz z Säkkingen“, który od r. 1854 do śmierci Scheffla (1886) doczekał się 127 wydań i dwuczęściowy epos wschodniego prusaka Wilhelma Jordana p. t. „*Die Nibelunge*“. Odświéżająca epos narodowy pieśń bohaterska i liryczno-sentymentalna, przenikniona humorem historya miłosna wydalonego heidelberskiego studenta i kapelmistrza papieskiego wynikły właśnie z przeciwległych krańców dziedziny epickiéj. W ciężkich „*Stabreim*’ach“ Jordana i lekko płynących trochejach Scheffla stoją naprzeciwko siebie mit i nowoczesny romans awanturniczy. A jednak nawet po za klasyfikacyą estetyczną oba dzieła posiadają jedną cechę wspólną. Są one oba nawskroś niemieckie i odpowiadają prądom życia niemieckiego w drugiéj połowie XIX-go stulecia. Potrzeba na to nadzwyczajnego, nawet w Niemczech rzadkiego, stopnia pedanteryi, ażeby się nie rozweselić nad „Trębaczem“ Scheffla. Zarówno pesymista jak i lekkoduch, sentymentalny kochanek i szyderca czują się w poetycznym świecie Wernera Kirchhofa jak w domu. Niemiecka miłość miejsca rodzinnego i radość z świetnéj obczyzny, rzut oka na przeszłość dziejową i aluzya do nowoczesnego przyrodoznawstwa, znajdują znaczący wyraz w tych świeżych kapryśnych wierszach. Wesoły ton studencki, na który Scheffel w pieśniach „*Gaudeamus*“ utrafił tak, jak żaden nowy poeta od czasów starego Arcy-poety [1]), dźwięczy i w „Trębaczu“ na cześć Heidelberga [2]). Gotfryd Kinkel już o dziesięć lat wcześniéj (1846) uderzył w podobnie świeży ton w historyi syna land-

---

[1]) Nazwę Archipoeta nosi nieznany skądinąd wędrowny żak i twórca, między innemi znanéj piosenki: „*Mihi est propositum in taberna mori*“ (Postanowiłem sobie umrzéć w karczmie).

[2]) Więcéj szczegółów, tyczących się Scheffla i Baumbacha (o którym będzie mowa niżéj), znajdzie czytelnik w napisanéj powabnie i trafnie broszurze Czesława Jankowskiego p. t.: „Sylwetki poetów“. Warszawa, 1891. *(Przyp. tłóm.)*.

grafa Turyngii, który uciekł od karności klasztornéj i jako strzelczyk zdobywa sobie miłość córki księcia Cleve; to téż „Otton strzelec“ (*Otto der Schütz*) jeszcze się dzisiaj nie przestarzał, choć z drugiéj strony właśnie przy porównaniu z „Trębaczem“ samorodna siła poetyczna Scheffla występuje w całéj swojéj wyższości. Obrzydliwie świętoszkującą „*Amaranth*“ Redwitz'a czytają wprawdzie jeszcze conajwyżéj fałszywie wykształcone młode dziewczyny; potrzeba jednak wspomnieć o téj nędznéj partaninie, o któréj sławę rumiany syn Szwarcwaldu musiał staczać boje przy pierwszém swojém wystąpieniu, tym sposobem bowiem ocenimy całkiem sprawiedliwie wartość zdrowéj nawskroś poezyi Scheffla, nawet w jéj stanowisku historyczném. Oskar von Redwitz, poeta bawarski, mieszkający w Meranie, po słodkawéj „*Amaranth*“, doczekał się bezpośrednio po wojnie, wielkiego, trwającego parę miesięcy powodzenia, kiedy w „Pieśni o nowém cesarstwie niemieckiém“ (*Das Lied vom neuen deutschen Reich*) z trzystu przeszło sonetów (przyczém mogły mu się snuć po myśli „sonety opancerzone“ Fr. Rückerta), stworzył coś pośredniego pomiędzy liryką a eposem. O ile naturalném było powodzenie utworu, napisanego w dobréj myśli patryotycznéj, w pierwszym nastroju zwycięskim, o tyle nieznaczną jest wartość artystyczna téj próby. „Pieśń o nowém cesarstwie niemieckiém“ jest oddawna zapomnianą, losu takiego nie potrzebowały doznawać epos „Odilo“ i „Niemiecka książka domowa“ (*Deutsches Hausbuch*), gdyż tych mdłych rymowań nie mogła dobyć na jaśnię nawet dawna sława poety „*Amaranthy*“. Scheffel ani po swoim „Trębaczu“, ani po „Ekkehardzie“ nie ogłaszał już drugiego dzieła; Kinkla ruchy roku 1848 wyrwały z nastroju idylicznego, w którym mógł dojrzéć taki utwór, jak „Otton strzelec“. Podobnie jak Freiligrat, znalazł on schronienie na gruncie angielskim, bezpłodnym dla poetów niemieckich, chociaż ta ucieczka romantyczna nie obeszła się bez groźnych niebezpieczeństw.

„Ekkehardt“ i „Trębacz z Säkkingen“, podobnież jak „Gniazdo strzyżyków“ Freytaga, przypominają nam innego poetę, którego powabny talent zasługiwałby sam przez się na pochwałę umiarkowaną, lecz z pobudek politycznych został on wyniesiony jako epik równy albo nawet przewyższający Scheffla. Lekarz i poseł westfalski Fryderyk Wilhelm Weber może już spoglądać na 47 wydanie swojéj historyi klasztornéj, która się ukazała w r. 1878 p. t. „Trzynaście lip“ (*Dreizehnlinden*). Czytelnicy każdego wyznania mogą się weselić odbywającém się za panowania Karolingów pojednaniem usposobionych popogańsku Sasów z chrześciańskiemi Frankami, jak to przedstawione tutaj w pełnéj przygód historyi miłosnéj pewnego szlachcica saskiego.

Z takiém samém prawem, z jakiém Scheffel wiernemu historycznie obrazowi życia mnichów nadaje humorystyczne, a nawet miejscami satyryczne zabarwienie, Weber może się oddawać swemu podziwowi i uwielbieniu dla zakonników z czasów nawrócenia Sasów. Według mnie, powinniśmy się nawet wszyscy bez różnicy cieszyć, jeżeli poeci, usposobieni pokatolicku, dają w sztuce wyraz swemu zapatrywaniu na dzieje i świat. A poezya Webera jest daleka od wszelkiego samolubstwa, nikt nie może się ani odrobiny gorszyć, że poeta ujął się za swym przedmiotem. Gorszymy się jednak tém, że działalność stronnicza członka *centrum* ma służyć poecie za podnóżek do wzniesienia się po nad ludzi tak samo i lepiéj uzdolnionych. Gdyby Weber nie był zarazem przedstawicielem wpływowéj partyi, to utwór jego epiczny nie byłby nigdy doznał tak ogromnego powodzenia. O mało nie postawiłbym nawet paradoksalnego twierdzenia, że dla zyskania takiego poklasku, bez pobudek ubocznych, poezya ta jest za dobrą i nie dość dobrą. Nie jest ona dość dobrą, jeżeli naprzeciw niéj postawimy takie utwory epiczne, jak „Trębacz“ i „Otton-strzelec“, jak „Ostatnie dni Huttena“ przez Konrada Ferd. Meyera i „Plejady“ Schacka; jest za dobrą, jeżeli ją zestawimy z banalnemi, spekulującemi na smak modny rymowaniami Wolffa i Grossege. No, co do Juliusza Wolffa, jego „*Minnesang'u*“ i ugrupowanego niezręcznie obok tych pieśni opowiadania, to w krytyce panuje tylko jedna nieprzychylna opinia; przeciwnie Juliusz Grosse, członek monachijskiego grona poetów, zebrał najobfitsze pochwały za swoję „Pieśń Volkrama“ (*Volkramslied, ein Sang aus unsern Tagen.* 1889); sądząc z zapału niektórych krytyków, możnaby przypuszczać, że wpływowy sekretarz generalny niemieckiego Zakładu Schillera, wypełnił lukę, pozostawioną przez Schillera w zakresie eposu. Na pochwałach i powodzeniu „Pieśni Volkrama“ mamy dotykalny przykład, ile rozsądku i stałości przekonań można się spodziéwać po naszéj krytyce codziennéj. Gdy w imię zbawczego naturalizmu chciałoby się samego Schillera ogłosić za przestarzałego, chwali się, jako prawdziwie pochwyconą z teraźniejszości, taką historyę, wobec któréj przeciwko „*Monte Christo*“ Dumasa, człowiek nie śmié występować z zarzutem nieprawdopodobieństwa. Hrabia Schack w pierwszéj i lepszéj z pomiędzy swoich epopei komicznych („*Durch alle Wetter*“ i „*Ebenbürtig*“) wyśmiał romans sensasyjny. Pewnego *attaché* poselstwa wraz z jego kochanką, śpiewaczką opery, w stanzach, odznaczających się niesłychaną biegłością rymowania, oprowadza po Europie i wszystkich częściach Ameryki, od kraju Yankesów, Indyan brazylijskich i bandytów neapolitańskich aż do pobojowisk wojny niemiecko-francuskiéj. Jednakże pstra gromada awantur, pozganiana

przez Schacka w postaci karykatury, stoi daleko po za tém, czego pan Grosse żąda z całą powagą od swoich czytelników. Autorowi zbywa przytém zupełnie na fantazyi twórczéj; biegłość w rozmaitych formach lirycznych nie daje żadnego wynagrodzenia za bezkształtność i grubą niesmaczność całości. Jużciż z lirycznemi odpadkami, wtrącanemi w opowiadanie epiczne, spotykamy się w bardzo wielu utworach; zwyczaj ten, czy nieobyczaj ma za sobą głośne wzory. Goethe w opowiadanie prozaiczne swego „Powinowactwa z wyboru“, z zapasu swych maksym i refleksyi wsunął kilka rozdziałów, jako uwagi „Z dziennika Otylii“ i dogodny ten środek znalazł początkowo więcéj poklasku u piszących, niż u czytających, Szeregi zaś pieśni, wstawiowionych w „Trębacza z Säkkingen“, przyczyniły się znacznie do powodzenia tego dzieła; odtąd tylko niewielu surowo myślących poetów jak np. Schack, powstrzymało się od takiéj zewnętrznéj mieszaniny żywiołu lirycznego i epicznego. Natomiast Juliusz Wolff wszelką teoryę kompozycyi przewrócił poprostu do góry nogami; oprawa epiczna u niego jest dorobiona dopiéro późniéj, ażeby utworzone bez związku pieśni mogły się jakoś trzymać pomiędzy sobą. Moda sprzyja pieśniom w opowiadaniu epicznén, gdy tymczasem zwraca ona rzadko uwagę na zbiory czysto liryczne. Można okazywać sympatyę samemu Wolffowi, który, będąc naprzód posiadaczem, kierownikiem wielkiéj fabryki, wziął waleczny udział w wojnie niemiecko-francuskiéj, a następnie musiał się chwycić autorstwa, jako środka zarobkowania dla swojéj rodziny; niezmiernie wielki poklask, jaki znalazły jego twory poetyczne, jest niezasłużony i niepocieszający. Stoimy tu wobec osobliwego zjawiska czasu. Jak w nauce pojedyńcze gałęzie coraz bardziéj się rozdzielają, jak w poradach lekarskich ludzie coraz bardziéj zaczynają się domagać specyalistów, tak samo zdaje się, jakoby czytająca publiczność i w poezyi chciała darzyć swém zaufaniem tylko specyalistów. A jeżeli poklask publiczności wycisnął na jakimś poecie osobną etykietę, to na innéni polu czytelnicy uporczywie odmawiają mu swoich względów. Kiedy Feliks Dahn swój temat ulubiony — przeciwstawienie germańskiego pogaństwa z rzymską chytrością, opracował po raz pierwszy w ładnym eposie „Harald i Theano“ (1855), był on wtedy poetą początkującym, a nieznaczne pochwały można było wytłómaczyć. Że jednak głośny autor „Walki o Rzym“ spotkał się z taką samą nieprzychylnością dla swego eposu „*Die Amalungen*“ (1876), potrzeba to przypisać jedynie owemu kaprysowi publiczności. Podczas, gdy wydania wszystkich romansów Dahna, tak słabszych jak i najlepszych, następują jedno po drugiém, wymienione dzieło, może cenniejsze pod względem poetycznym, leży nierozprzedane. Cóż jednak,

kiedy masa czytelników chce od Dahna romansów, a od Juliusza Wolffa wierszy. Tymczasem wszakże bawarczyk Dahn, obok marchijczyka Teodora Fontane, twórcy „Archibalda Douglasa“, jest najlepszym, żyjącym w Niemczech poetą balad: „Jutrznia malborska“ (*Die Mette von Marienburg*) Dahna, wytrzymuje porównanie z najlepszemi tworami Uhlanda; Dahn okazuje i w swoich romansach przebijające z taką siłą uzdolnienie epiczne i instynktowy popęd do wierszy, prawie rozrywający opowiadanie prozaiczne, że nad jego obstawaniem przy opowiadaniu prozaicznem, starzejącem się z latami, musimy ubolewać, jako nad stratą dla poezyi niemieckiéj. Coprawda, mówiąc pewnego razu o utworach epicznych swego przyjaciela i kolegi z Monachium — M. Haushofera, Dahn odezwał się z humorem, że lubi także być czytanym i dlatego nie śmié pisać wierszami. Atoli nawet najlepszy romans nie może osiągnąć téj zwięzłéj pełni poezyi, jaka się objawia w zbiorach Dahna: „Balady“ (1872), „Balady i pieśni“ (1878) i która dopomina się stwierdzenia w trwałéj artystycznéj formie eposu.

W utworach epicznych Wolffa nie ma, coprawda, ani śladu artystycznéj formy epicznéj. Zdaje mi się, że to Heyse dla kokietujących niemiecką starożytność naśladowców Scheffla wprowadził nazwę *Butzenscheibenpoesie* [1]). W r. 1875 Wolff luźnie posprzęganemi utworami p. t. „*Till Eulenspiegel* (Sowizdrzał) *redivivus*“ wywalczył sobie pierwsze powodzenie, które się powiększyło przy zupełnie pustym „Łowcy szczurów z Hamelu“ (*Der Rattenfänger von Hameln*) i dzielniejszym „Dzikim strzelcu“ (*Der wilde Jäger*), ażeby dosięgnąć szczytu przy pieśni miłosnéj „Tannhäuser“ (1880). Ogłoszone jeszcze późniéj pieśni „Łowcy szczurów“ i utwory epiczne „Lurlei“ i „*Die Pappenheimer*“ (1889) znalazły sprawiedliwsze, to znaczy—chłodniejsze przyjęcie. Jako przedmiot badania historyczno-literackiego, przetrząsającego źródła i wpływy, Tannhäuser Wolffa byłby prawdziwą kopalnią. Jeżeli jednak poszukamy własnéj siły kształtującéj, bezpośredniego uczucia poetycznego, to ten „herbatkowy“ Tannhäuser (*Theetisch Tannhäuser*) okaże się nędzną postacią, a jego powodzenie jest ogło-

---

[1]) Nazwa ta nie da się spolszczyć. Według objaśnienia, udzielonego nam przez autora, *Butzen* lub *Butzenscheiben* oznacza małe, w ołowianéj oprawie, tafelki szklane, z jakich składały się okna w wieku XV-tym i XVI-tym. W onych czasach okna musiały się składać z takich szybek, ponieważ większych tafli szklanych nie umiano jeszcze wyrabiać. Jeżeli jednak w nowszych czasach ludzie, urządzając swe mieszkania w stylu odrodzenia, każą wprawiać takie same małe szybki, to podobnego rodzaju naśladowanie nieudolności technicznéj z czasów ubiegłych, zasługuje tylko na śmiech. Heyse tedy porównywa z tém śmieszne naśladownictwo na polu poezyi. (*Przyp. tłóm.*).

szeniem bankructwa estetycznego ze strony czytelników. Potężny, jako utwór poezyi, Tannhäuser Wagnera, romanse Gustawa Freytaga, „Trębacz“ i „Ekkehardt“ Scheffla, wystroiły tę lalkę wolffowską; po za sztukę kostiumową i dekoracyjną Wolff i w têm głównêm swojêm dziele nie wybiegł. Natomiast o wymienianym zwykle razem z Wolffem turyngijczyku Rudolfie Baumbachu, który od r. 1867 przemieszkuje w Tryeście, wydałbym sąd stanowczo przychylniejszy. Wprawdzie bez szefflowskiego „*Gaudeamus*“ (1868), śpiewanego w wesołêm akademickiêm gronie biboszów w Heidelbergu, bodaj czy byłyby tak rozebrzmiały baumbachowskie „Pieśni wędrownego towarzysza“ (*Lieder eines fahrenden Gesellen*) i „Pieśni grajka“ (*Spielmannslieder*. 1882). Jednakże odzywają się tutaj własny samorodny humor, własna odwaga młodzieńcza. Pieśń o gospodyni z pod lip, która spragnionemu chłopcu wędrownemu zabiéra w zastaw naprzód tłomoczek i surdut, a następnie pocałunkiem swoich ust czerwonych robi zajęcie i serca, nie bez słuszności stała się od kilku lat najulubieńszą pieśnią po wszystkich wszechnicach niemieckich. Tylko pieśni samego Scheffla o Rodensteinie, który czuje największe pragnienie z pośród wszystkich geniuszów knajpowych, i pieśń o nadreńskiéj, z jasnemi warkoczami, *Filia hospitalis*, która mieszkającemu u jéj ojca na komornem filologowi okazuje tak przyjazne usposobienie, mogą się poszczycić równą wziętością. Jużciż Baumbachowi brak téj pewnéj siebie śmiałości, z jaką Scheffel w swojêm „*Gaudeamus*“ wplata w humor knajpowy odkrycia przyrodoznawstwa i zjawiska cywilizacyjne (picie po wsze czasy odgrywało niemałą rolę w liryce niemieckiéj). Wysnuł on z delikatnêm poczuciem motyw poetyczny, ukryty w średnio-górno-niemieckiéj „Kudrunie“, ale z jego eposu „*Horand und Hilde*“ okazuje się, że nie posiadał siły poetycznéj do wykończenia tego motywu. Podanie słoweńskie o „Zlatorogu“ (1877) odznacza się całkiem zewnętrzną teatralnością, lecz w „Powiastkach letnich“ (*Sommermärchen*. 1891) umiał on ugodzić w filuterny ton baśni, a wspomnienie o leśnéj ojczyźnie turyngijskiéj, natchnęło go do pięknego utworu „*Frau Holde*“ (1880). Biedny górnik, którego bogini, wzywana w zachwycająco pięknéj pieśni, obdarza złotem, i wiernie kochająca dziewczyna, która dla swego, właśnie z powodu owego złota oskarżonego o kradzież i oślepionego kochanka, uzyskuje od łaskawéj bogini przywrócenie wzroku,—wszystko to jest opowiedziane prosto i porywająco; wieje stąd świéże powietrze lasów. Obok zaokrąglonéj artystycznie „*Frau Holde*“ Baumbacha, stawiam jedyny niestety, większy utwór Ferdynanda Avenariusa, p. t. „Dzieci Wohldorfu“ (*Die Kinder von Wohldorf*. 1887). Mieszkający w Dreznie, młodzieńczy jeszcze poeta przed swoją nowelą

epiczną ogłosił był zbiór wybornych poematów p. n. „*Wandern und Werden.*“ Od r. 1887 kieruje on czasopismem „*der Kunstwart,*“ które w sposób bezstronny, ogólnie zrozumiały, ale bynajmniéj nie powierzchowny, stara się na wszystkich polach popierać rozwój poczucia piękna za pomocą krytyki prac dokonanych i roztrząsania zasad. Pomiędzy wszystkiemi podobnemi czasopismami niemieckiemi, „*der Kunstwart*“ zasługuje na największe uznanie. Czynności redaktorskie wstrzymały w ostatnich latach dalszy rozwój poezyi Avenariusa. Jednakże porywająca właśnie wskutek swojéj prostoty idylla „Dzieci Wohldorfu,“ daje mu prawo do żądania, ażeby wśród żyjących poetów niemieckich, wymieniano go ze szczególnym szacunkiem; w tych rymowanych parach pięciostopowych wierszy jambicznych prawdziwy poeta opowiedział porywająco o skrytych bólach duszy, cichéj dobroci i czystém uczuciu dusz dziecięcych, wzruszającém ostatecznie nawet twarde serca wieśniacze.

„Dzieci Wohldorfu,“ choćby ze względu na ich niewielkie rozmiary, są prędzéj drobniejszém opowiadaniem epiczném, aniżeli eposem. Nowelę w wierszach opracował po mistrzowsku Paweł Heyse. Próby Ottona Roquette'a na tém polu wydają się zapewne chybionemi nawet tym, którzy znajdują niewinną przyjemność w poezyi podlotkowéj nieśmiertelnego, jak wszelka niedorzeczna miernota, eposu lirycznego: „*Waldmeisters Brautfahrt.*“ Natomiast drobniejsze opowiadanie epiczne, osnute po części na tle historyczném, tak pod względem treści jak i formy, zostało ze skończonym artyzmem wydoskonalone przez hrabiego Schacka. Jego „Epizody,“ „*Tag- und Nachtstücke*“ dowodzą, że sztuka opowiadawcza Wielanda żyje wciąż w poezyi niemieckiéj, jakkolwiek w zmienionéj, a zapewne i uszlachetnionéj postaci. Epos „*Lothario*“ zawiera w sobie obrazy własnych podróży w lekkiéj szacie bojownika za wolność, który uciekł z Niemiec i dostał się do niewoli wschodniéj. Szczyt epiki Schacka, a zarazem szczyt epiki niemieckiéj wieku XIX-go wogóle widzimy w dantejskch pieniach „Noce Wschodu czyli wieki świata“ (*die Nächte des Orients oder die Weltalter.* 1874) i w „Plejadach“ (1881), przedstawiających obraz walki pomiędzy Persami i Hellenami, górującéj w bitwie pod Salaminą. Przeciwieństwo pomiędzy czcicielami Ormuzda (przypominamy sobie, że Schackowi zawdzięczamy przekład na język niemiecki staro-irańskiego eposu Firdusiego) a kultem piękna Hellenów, pomiędzy uzbrojonym w maczugę Rustemem a ciskającym dzidę Achillem, tło i przeciwieństwo powszechnodziejowe podnosi losy pojedyńczego osobnika, ateńczyka Kalliasa, do wysokości epicznéj. Epopea, jaką roztaczają przed nami ściśle pod względem rytmicznym spojone trocheje Schacka, za-

sługuje jaknajmniéj na nazwę epopei mieszczańskiéj; pomimo to wszakże porównanie z „Hermanem i Dorotą“ było usprawiedliwione. Podobnie jak poematu Gothego, tak i „Plejad“ Schacka nie powinno było brakować w żadnym domu niemieckim. Kto chce poznać żyjącego jeszcze ducha weimarskiego okresu literatury w jego najszlachetniejszym i najmilszym przejawie, ten może podziwiać go w utworze Schacka, poruszającym się w czystych, surowych liniach piękna. Niema tutaj brzmiących głośno frazesów patryotycznych, a przecież ten klasyczny obraz walk perskich jest przenikniony ojczystym duchem niemieckim. To téż pojmujemy zarazem głęboką niechęć, jaka musi owładnąć szlachetnym człowiekiem, jak Schack, tak wysoce zasłużonym względem sztuki plastycznéj i poezyi, kiedy widzi, że „Plejady“ bywają pomijane, a taka buda reklamowa, jak „*Volkramlied*“ Grossego doznaje sławy rozgłośnéj. Ów ze wszechmiar piękny, wzruszeniem przejęty spokój i wykończenie, które podziwiamy w „Plejadach,“ samemu Schackowi, którego ostatnie utwory okazują zbyt wyraźne ślady starości, powiodło się osiągnąć tylko na ten raz. W głęboko pomyślanym, cywilizacyjno-dziejowym poemacie „Noce Wschodu,“ Schackowi nie poszczęściło się całkowicie poetyczne urzeczywistnienie idei. Znużony Europą poeta ucieka na Wschód i spotyka tajemniczego derwisza, którego moc czarodziejska spełnia życzenia poety, pragnącego przeżyć dawniejsze, szczęśliwsze wieki ludzkości. Podobną przechadzkę poetyczną po dziejach powszechnych przedsiębrali W. Jordan w „Astreusie“ („*Andachten*“ 1877), węgierski poeta E. Madach w „Tragedyi człowieka“ (1861) i młody poeta polski, tak porywająco przedstawiony w „Dajmonie“ Kraszewskiego [1]). Świat pierwotny, wiek bojowników z pod Maratonu, romantyczność średniowieczna, nowy poranek ludzkości w czasach włoskiego Odrodzenia, wszystko to, przedstawione z całym przepychem barw, w rozmaitych formach wiersza, przystosowanych z delikatném poczuciem do treści, przekonywa syna stulecia XIX-go, że żaden wiek nie urzeczywistnił wymarzonego ideału, ludzkość zaś po przez wszystkie cierpienia i błędy wdziera się po stroméj drodze do góry. Uleczony z pesymizmu, poeta, który przeszedł przez stulecia, jak Dante przez trzy państwa, chwali teraźniejszość z jéj wynalazkami i nawołuje do żywéj współwalki za swobodny rozwój ludzkości.

Jeżeli Schack, zgodnie ze swojém wykształceniem, obejmującém literaturę światową, przebył w swoim eposie myślowym kraje najodleglejsze, to natomiast Wilhelm Jordan, którego ruchy r. 1848 wyniosły

---

[1]) Autor zapomina o „Duchu od stepu“ Bohdana Zaleskiego (P. R.).

do godności pierwszego niemieckiego ministra marynarki w prowizorycznym rządzie arcyksięcia Jana, po spełznięciu na niczém narodowego boju za wolność, spróbował swój filozoficzny pogląd na świat uplastycznić w ramach wydarzeń czasowych. Trzytomowy utwór p. t. „*Demiurgos. Ein Mysterium*“ (1854), wzięty jako całość, jest chybionym; kto jednak w duchowém życiu niemieckiém umié odróżniać działające w głębi prądy od wirującéj na powierzchni piany, ten w utworze Jordana, zawierającym w dodatku mnóstwo znakomitych i udatnych szczegółów, będzie się i dziś zagłębiał więcéj, niż z czysto historyczno-literackiém zaciekawieniem. Jużciż gnostyckiéj nauce o stwórcy światów demiurgu, jako części bóstwa, przeciwległéj samemu bóstwu, niepodobna nigdy (co jednak zamierzał Jordan) nadać tak łatwo zrozumiałéj i wyrazistéj postaci, jak podaniu o Fauście. Kuglarstwo, tyczące się wcielenia demiurga w hrabi niemieckim, pozostaje dla nas nawskróś obcém, a stosunek poematu do szalonego roku, przedstawienie pojedyńczych przywódców parlamentu frankfurckiego, dla zupełnego zrozumienia, potrzebowałyby już dzisiaj szczegółowego komentarza. Jeżeli jednak poeta bezradnemu krótkowidztwu rządzących i bezkarności kierowników politycznego i społecznego przewrotu przeciwstawia bezpretensyonalną dzielność ludowego wojska pruskiego, to poezya jego przesuwa nam przed oczyma siły, które w r. 1848 rozproszyły ruch niemiecki, a w r. 1866 i 1870 doprowadziły do zwycięstwa. Nie jedno w tym utworze, liczącym więcéj niż trzy dziesięciolecia, wydaje się tak, jak gdyby było pisane z aluzyą do ruchu robotniczego naszych czasów. Jest rzeczą godną podziwu, jak Jordan rostrzygnął zadanie opracowania w eposie ludzi i wypadków współczesnych. Jordanowski obraz epiczny roku 1848 wypada porównać z opracowaniem tegoż przedmiotu przez Schacka, w formie arystofanesowskiéj komedyi p. t. „Poseł cesarski“ (*Der Kaiserbote*. 1873).

Jeżeli „Demiurgos“ nie znalazł zasłużonego (mimo znacznych słabych stron) poklasku, to inne dzieło romantyki, które się ukazało mniéj-więcéj równocześnie z utworem Jordana, pozostało wogóle obcém dla świata niemieckich czytelników. Już w pierwszém dziesięcioleciu naszego wieku również genialny jak szalony Klemens Brentano pracował nad swoją boską komedyą „Wynalezienia różańca“ (*Die Erfindung des Rosenkranzes*), dopiéro jednak r. 1852 romanze te zostały ogłoszone z jego spuścizny. Poemat ten zasługuje na szczególną wzmiankę, chociażby ze względu na swe znaczenie formalne. Opierająca się niemal językowi niemieckiemu assonancya tylko przez Brentana została użytą w takiéj rozciągłości i z takiém powodzeniem artystycznem. Chcieć zjednywać dzisiaj czytelników dla mistyki roman-

tycznéj, byłoby trudem daremnym. Z pomiędzy utworów epicznych Mikołaja Lenau „Savonarola“ (1837) i „Albigensi“ (1842), jak również opracowany po części w formie dyalogów „Faust“ (1836) i poemat dramatyczny „Don Juan“ (1851). ukazują się prawie z roku na rok w nowych wydaniach, tak iż możemy je zaliczyć do żelaznego zasobu lektury i za dni naszych. „Don Juan“ Lenau'a, nie tylko najgenialniejsze opracowanie poetyczne przedmiotu podaniowego, wsławionego tylokrotnie w poezyi i muzyce, lecz najpłomienniejszy i jeden z najpiękniejszych poematów w całéj literaturze niemieckiéj, został bardzo niedawno, dzięki symfonicznemu utworowi Ryszarda Straussa, przedmiotem nader wielkiego zaciekawienia codziennego. W „Savonaroli“ i „Albigensach“ Lenau uczcił uroczyście bohaterów i męczenników wolnéj myśli, a ich upadek złagodził w dodający otuchy sposób, wskazując na szereg następujących po nich bojowników duchowych. Jednego z najpotężniejszych i najnieszczęśliwszych ludzi opiewał Konrad Ferdynand Meyer, którego jezioro rodzinne omywa mogiłę rycerza-humanisty na wyspie Ufenau, a którego utwór, zatytułowany „Ostatnie dni Huttena“ (1872), odznacza się w równym stopniu głębokością uczucia i myśli. Sam Hutten był zarówno tęgim uczonym i walecznym rycerzem, jak i prawdziwym poetą i świadomym swych zamiarów, dzielnym patryotą. W licznych jednak nowszych poematach niemieckich, poświęconych jego sławie, zarówno poezyi, jak i patryotyzmowi powiodło się nie tęgo. Jeden Meyer umiał trafić wszędzie w ton właściwy; w nie gładkich bynajmniéj, ale jędrnych wierszach umieszcza on w pośrodku pasującego się i cierpiącego człowieka, a chociaż nie przedstawia nic tendencyjnie, to przecież w tym ranionym śmiertelnie zbiegu na jeziorze zurychskiém, poznajemy śmiałego sprzymierzeńca Lutra i Sikkingena, który mógł sobie obrać za godło wyrazy: „Odważyłem się na to“ (*Ich hab's gewagt* [1]). Kiedy rycerski bojownik reformy polityczno-religijnéj został wygnany z Niemiec, wtedy wybuchła w Monasterze religijno-społeczna rewolucya nowochrzczeńców. Z wielkiém zrozumieniem historyi i z potężną kształtującą siłą poetyczną ustęp ten z dziejów reformacyi niemieckiéj rozwinął w swoim eposie „Król Syonu“ (1869) austryak Robert Hamerling. Żaden nowszy poeta w Niemczech, poważnemi, godnemi największéj pochwały utworami epicznemi, nie osiągnął takich skutków, jak Hamerling, utalentowany uczeń romantyki, podpatrujący życie otwartemi oczyma. Jego „Ahasverus w Rzymie“ (1866), nowe opracowanie staréj i tylokrotnie wznawianéj bajki Apulejusza o „Amorze i Psysze“

[1] Od wyrazów tych rozpoczyna się „nowa pieśń“ Huttena. (Przyp. tłom.).

(1882), przeznaczony dla muzyki i przypominający szorstką wielkość Michała Anioła poemat „Siedm grzechów głównych“ (1872) zapewniają mu jako epikowi, a rozmaite zbiory poezyi, sięgające od r. 1854 do 1884, jako lirykowi, nie tylko jedno z pierwszych miejsc pomiędzy spółczesnymi poetami, ale także stałe, wybitne stanowisko w historyi literatury niemieckiéj. Co prawda, ludzie, obliczający mądrze swoje korzyści i wpływ potentatów każdodziennych, starali się śmiałemu autorowi satyry „Homunkulus. Epos nowoczesny“ (1888) zaprzeczyć prawa do trwałéj sławy pośmiertnéj, gdy tymczasem z drugiéj strony, w radości, że przecież wreszcie wynurza się przed nami pełen treści utwór satyryczny, przeceniano tak samego „Homunkulusa,“ jak i jego twórcę. Pomimo wielu szczęśliwych pomysłów i niektórych rysów znakomitych, przedewszystkiém zaś, pomimo rzeczywiście potężnéj sceny, w któréj żydzi, przybyli napowrót do Palestyny, przybijają do krzyża swego wodza Homunkulusa, ażeby módz nanowo wśród chrześcian uganiać się za łatwiejszym zyskiem, bez którego musieli się obywać w żydowskiém państwie narodowém; wreszcie pomimo moralnéj powagi i świetnego daru spostrzegawczego, zręczności formalnéj i wielostronnéj wiedzy Hamerlinga, — satyra ta działa w końcu nużąco. Cierpi ona od powtórzeń i pozbawiona jest porywającéj za sobą czytelnika siły komicznéj. Gotfryd Keller w trzynastu romanzach p. t. „Aptekarz z Chamounix,“ skierowanych przeciwko Heinemu, umiał sobie skutecznie przyswoić zalety estetyczne heinowskiéj sztuki wyszydzania, gdy tymczasem stojący zupełnie o własnych siłach Hamerling, zasługuje na pochwałę raczéj z powodu swoich usiłowań, aniżeli z powodu przeprowadzenia swojéj satyry, odzwierciadlającéj najrozmaitsze zjawiska życia nowoczesnego [1]) Z większą stanowczością można chwalić jego „Ahaswera“ i „Króla Syonu.“ W bezrymowych jambach pierwszego eposu i ulepszanych przy każdém wydaniu pod względem metrycznym, doskonałych heksametrach drugiego, Hamerling nie tylko składa dowody, że jest mistrzem w technice wierszowania, ale i układ i wykonanie samych jego poematów są godne podziwu. Żyda wiecznego tułacza w nerońskim Rzymie, występne odurzenie zmysłowe i chrześciańską naukę o wyrzeczeniu się wszystkiego, w Münsterze fanatyczną, posępną żarliwość, dziki nierozum tłuszczy, goniącéj za używaniem, i, wśród dążności do zjednoczenia piękna i religii, ginącego Jana z Lejdy, — wszystko to, tak ludzi jak i idee, poeta przedstawił naszym oczom dotykalnie i przekonywająco, z plastycz-

---

[1]) Szczegółowe sprawozdanie z Homunkulusa podał Piotr Chmielowski w „Ateneum“ 1889 t. I. str. 121—136.

ną pewnością siebie i płonącym przepychem barw. Wszędzie akcya zewnętrzna wskazuje poruszające całość idee, a przecież żadna tendencya swoją natarczywością nie czyni uszczerbku czysto poetyckiéj swobodzie i działaniu całości. [1]).

Jeżeli Hamerling z „Ahaswera“ zrobił figurę epizodyczną w wyraźnie zakreślonym obrazie świata, to Juliusz Mosen (1838) i Max Haushofer (1886) obrali sobie żyda wiecznego tułacza jako punkt środkowy przesuwających się obrazów. Szwabski poeta Schubart, już w epoce burz i zapędów przeszłego wieku, wybrał sobie za bohatera eposu — wędrowca staréj książki ludowéj; nieskończoną rapsodyę Goethego „*der ewige Jude*“ poznano dopiéro po jego śmierci (1836); Lenau wprowadzał tę ponurą postać dwukrotnie do drobniejszych poematów epicznych, przedtém zaś odgrywała ona już rolę komiczną w „Pamiętnikach szatana“ Hauff'a. Ryszard Wagner, który w „Latającym holendrze“ przedstawił dawniéj postać, pokrewną żydowi wiecznemu tułaczowi, w ostatniém swojém dziele nadał staremu motywowi podaniowemu nową przedstawicielkę w osobie Kundry-Herodyady. Haushofer znajdował się pod wrażeniem niespokojnéj wysłanniczki Grala i uwodzicielki na usługach Klingsora, kiedy w ostatnim swoim obszernym eposie „Wygnańcy“ (*die Verbannten*, 1890) obok Herodyady postawił jeszcze cały szereg istot podobnych. Dawne, tylokrotnie w poezyi opracowywane podanie o zdetronizowanych starych bogach, którzy żyją daléj jako czarodziejskie, obałamucające demony (rzecz Heinego p. t. „Bogowie na wygnaniu“ zapewne najbardziéj się przyczyniła do rozpowszechnienia téj powieści), stanowi podstawę jednéj połowy „Wygnańców.“ Że jednak stosunek śmiertelnika do takich siedmiu pozbawionych służby potęg natury, występujących jako damy nowoczesne, jest dalekim od tego, ażeby pod względem poetycznym wywierać podobną siłę przyciągającą, jak ów młodzieniec, którego obałamucił ukryty w rozwalonym zamku marmurowy posąg Wenery (Eichendorff, Prosper Merimée) [2]), — to wszystko monachijski poeta i profesor przeoczył. Owa Syrena, Viviana, Brunhilda i t. d., które według głośnego wzoru w Dekameronie, występują co noc z jedném opowiadaniem i wraz z uczestnikiem ostatniéj wojny podejmują dziwne podróże, stają się przez swe powtarzanie niesmacznemi; połączenie zwyczajnego życia codziennego z najśmielszemi wytworami fantazyi powiodło się tylko takiemu poecie jak Teodor Amadeusz Hoffmann, ale po nim —

---

[1]) Przekład polski „Ahaswera“ dał Władysław Ordon 1877.

[2]) M. Landau: „Das Heiratsversprechen“ w „Zeitschrift für vergleichende Litteraturgeschichte.“ Berlin (nakład A. Haack'a) 1887.

nikomu innemu. A już co do owego mieszkańca Syryusza, który w drugiéj połowie eposu opowiada nam swoje przygody na rozmaitych ciałach niebieskich i uprowadza ze sobą narzeczoną, gdy interesujący nas przecież bardziéj bohater indyjski dla szukania narzeczonéj zostaje zagnany do grobu, — to jestto wymysł raczéj ryzykowny, aniżeli szczęśliwy. I w tę oto nadprzyrodzoną historyę snów i strachów, dla sprawienia radości czytelnikom, wtłoczone są szeregi pieśni w guście Trębacza z Säkkingen! *Humano capiti cervicem pictor equinam Jungere si velit!* [1]). Jakże wysoko stoi nieco gładki i chłodny klasycyzm Schacka nad temi hyperromantyczno-darwinistycznemi odmętami!

Widok na dzieje świata otwiera nam tak Haushofer w „Wygnańcach,“ jak i Schack w „Nocach Wschodu.“ Jeden z przedstawicieli młodéj szkoły naturalistycznéj powziął plan przedstawienia wielkich epok historyi powszechnéj w 24 pojedyńczych utworach epicznych, które razem mają utworzyć „Pieśń ludzkości“ (*Der Lied der Menschheit*). Pierwsze dwa tomy: „Tul i Nahila,“ „Nimrod“ (1888), oba w pięciostopowych, rymowanych parami jambach, dają próbę tego, w jaki sposób Henryk Hart ujął ze swéj strony wielki utwór Wiktora Hugo „*La légende des siècles*“ i w jaki sposób zamierza ten sam przedmiot opracować. Bądźcobądź „Pieśni ludzkości“ dostało się już w udziale nadzwyczajne powodzenie. Hart jest pierwszym poetą niemieckim, który, jako taki, otrzymał od państwa pruskiego zapomogę dla prowadzenia daléj swojéj pracy. Mała Norwegia udziela swoim poetom pensyj państwowych, we Francyi dla poetów stoi otworem Akademia. W Niemczech pojedyńczy książęta, zwłaszcza Fryderyk Wilhelm IV, bawarscy królowie Maksymilian II-gi i Ludwik II i wielcy książęta weimarscy po wszystkie czasy wspierali wspaniałomyślnie poetów, przyczém protegowani nie zawsze byli najgodniejszymi tego daru. Że naród i państwo względem poezyi i sztuk plastycznych zaciągają honorowe długi i obowiązki, — o tém reprezentacye narodowe w wieku XIX-ym mają równie mało świadomości, jak rządy w wieku XVIII-ym. Przy przeglądzie dramatu i teatru wrócimy do tych budujących stosunków. Zaszczyt, jaki się dostał w udziale Hartowi, jest w każdym razie pocieszający; czy „Pieśń ludzkości“ ziści wielkie, pokładane w niéj nadzieje, pytania tego po pierwszych dwóch opowiadaniach nie śmiem rozstrzygać. Obaj przemieszkujący w Berlinie bracia Henryk i Juliusz Hartowie, odznaczyli się chlubnie surowemi i bezwzględnemi lecz zarazem bezstronnemi, światłemi i przenikliwemi kry-

---

[1]) „Gdyby malarz zechciał z głową ludzką połączyć szyję końską“ — słowa, od których się rozpoczyna „Ars poetica“ Horacego. (Przyp. tłom.).

tykami; Juliusz Hart w zakresie dramatu, obaj zaś w liryce stworzyli rzeczy godne uwagi. Uchronili się oni od przesady naturalizmu, o ile zaś w „Nemrodzie“ występuje dążność do ubiegania się o środki mocniejsze (w pierwszym tomie nie może być wcale mowy o naturalizmie szkolnym), — zasługuje on tylko na pochwałę. Poemat „Tal i Nahila,“ przedstawiający w zgoła ujmującym obrazie początki kultury u pewnéj pary na Ceylonie, odepchniętéj przez plemiona ludożercze, mógłby stać również w „Nocach Wschodu“ albo Astreusie. Tylko że Jordan byłby narzucił czytelnikowi swoje zasady przyrodoznawcze, a Schack byłby opracował wszystko z większym chłodem akademickim. W daleko mniejszym stopniu, aniżeli tomowi pierwszemu, mogę udzielić bezwzględnéj pochwały przeprowadzeniu idei, rozwiniętéj w „Nemrodzie:“ założenie mieszającego narody panowania przez wojowniczego bohatera-zdobywcę w przeciwieństwie do patryarchatu wśród ściśle odgraniczającego się szczepu koczowniczego. W sam raz tam, gdzie poeta widocznie dąży do żywéj wyrazistości, daje się zauważyć jakaś zawadzająca oschłość wewnętrzna. Pomiędzy „patryarchadami,“ naśladującemi Klopstocka, istnieje także jeden poemat bohaterski „Nemrod w 24 księgach“ (1752), który, co prawda, nie znalazł łaskawego przyjęcia nie tylko u Lessinga, ale i u innych ludzi, współczesnych Chrystyanowi Naumannowi. Jednakże pomimo niezgrabności téj staréj partaniny wolno przypomnieć ją przy „Nemrodzie“ nowoczesnego naturalisty, albowiem, pominąwszy różnicę w uzdolnieniu indywidualném, jakże się pomiędzy obu epopeami, noszącemi to samo imię, uwydatnia niemiecki język poetyczny, który się rozwinął w ciągu tego stulecia, jak się uwydatnia przeciwieństwo pomiędzy dawném, biblijném pojmowaniem rzeczy i nowszém, naukowém! Po upływie znowu stu pięćdziesięciu lat jak się též „Nemrod“ Harta czytelnikom, albo wtedy i on raczéj tylko historykom litaratury będzie wydawał? Epopee Harta możemy powitać jako dzielne wytwory prawdziwego talentu; żeby się tu jednak wspaniale i swobodnie zarysowywał tworzący z wewnętrznego popędu geniusz, tego się nikt nie dopatrzy w wymienionych pracach, zdradzających nieprzyjemnie zamiar i obliczającą sztukę autora. Jeżeli zechcemy, co nie jednemu może się wydawać kwestyą najważniejszą, w obu epopeach Harta wynaleść to, co jest w nich specyficznie nowoczesném, dojrzałém pod wpływem naturalizmu, to potrzebujemy tylko przytoczyć dla porównania głośny, dawniejszy epos historyczny, mianowicie „Wędrówkę ludów“ Hermana Lingga (1865—68). Obrazy i porównania, zabarwienie języka wykazują daleko posuniętą różnicę pomiędzy miękkiemi stanzami późniejszego romantyka a toczącemi się parami rymów naturalisty. Trzy tomy

„Wędrówki ludów“ znajdują dziś zapewne tylko niewielu czytelników. Kiedy Geibel wprowadził do literatury (1854) utwory bawarskiege lekarza wojskowego, oddawał on poetycznemu uzdolnieniu nowoodkrytego liryka niezmierne pochwały. Jakkolwiek późniéj Lingg zarówno w eposie, jak i w dramacie nie osiągnął nic więcéj po nad powodzenie, wzbudzające szacunek, to przecież jego uzdolnienie wolno nam cenić wyżéj, aniżeli jego powodzenie. Że „Wędrówka ludów,“ pomimo wielu nadzwyczaj świetnych szczegółów epicznych, a jeszcze bardziéj lirycznych, jest jako całość chybiona, odczuwała to krytyka słusznie od samego początku. Mściwa, jakkolwiek długoletnia wojna dwóch pokoleń, gniew, wywołujący walkę narodów, lub téż awanturnicze wyprawy bohatera, wielki czyn wojenny, kierowany motywami idealnemi, i t. d. — mogą w nieskończonéj rozmaitości być ukształtowane przez poetę jako dzieło jednolite. Niepodobieństwém jest jednak nadać postać eposu nazwie zbiorowéj, oznaczającéj zagmatwaną mnogość całkiem oddzielonych od siebie wypadków szczegółowych, nazwę, ustanowioną przez badania historyczne gwoli systematyzacyi naukowéj. Z pomiędzy walk narodów pewnego przeciągu czasu układacz Iliady homerowskiéj wybrał jeden ustęp, trwający stosunkowo bardzo krótko; najlepszy z pomiędzy wszystkich francuskich pieśniarzy ludowych z całego zakresu podań o czynach Karola Wielkiego, zaokrąglił w postaci eposu tylko wyprawę wojenną, która się zakończyła rzezią pod Roncesvalles. Lingg postawił sobie od początku zadanie, nierozwiązalne pod względem poetycznym; nieuszanowanie przestrogi Goethego: „dopiéro w ograniczeniu okazuje się mistrz“ (*In der Beschränkung zeigt sich erst der Meister*) zemściło się na Linggu, który zresztą, podobnie jak Klopstock, posiadał z przyrodzenia talent liryczny, a nie epiczny.

W przeciwieństwie do rozproszenia materyału historycznego u Lingga, wskazałem dopiéro na jedność epopei ludowych. Rozwiązanie najznakomitszéj, nowszéj próby epicznéj, mianowicie „Nibelungów“ Jordana, prowadzi samo przez się do często roztrząsanéj kwestyi, tyczącéj się epiki ludowéj i artystycznéj. Epos Odrodzenia, czy to w języku łacińskim, czy krajowym, znajdował się całkowicie pod oddziaływającym wpływem Wergilego. Oznaczało to nastanie nowéj epoki literatury, kiedy w wieku przeszłym z początku prawie nieśmiało estetycy szwajcarscy, a następnie ze stanowczą zapalczywością Gerstenberg i Herder postawili Homera nad Wergiliuszem. Tym sposobem mająca ważność jeszcze dla Klopstocka teorya poetyk z czasów Odrodzenia poczęła chwiać się. Pod wpływem zbioru dawniejszych ludowych pieśni angielskich, sporządzonego przez biskupa

Percy, i rzekomo odnalezionych przez Macphersona staroszkockich epickich pieśni narodowych Ossyana, Herder i Bürger z uwielbieniem postawili przeciw modnéj liryce refleksyjnéj prostą prawdę uczuciową pieśni ludowéj. *Prolegomena ad Homerum* (1795 r.) Fr. Augusta Wolfa starały się poraz pierwszy wyjaśnić, jakim sposobem wychodząca z pośród samego ludu pieśń kunsztowna powstaje historycznie w przeciwieństwie do pracy artystycznéj pojedyńczego poety epicznego; K. Lachmann, gubiący się coprawda często w dowolnych spekulacyach, prowadził daléj te badania w zastosowaniu tak do greckiego, jak i staro-niemieckiego eposu, a bracia Grimmowie rozróżnianie poezyi kunsztownéj i ludowéj postawili jako stałą zasadę wszelkiego roztrząsania historyczno-literackiego. Już na Goethego badania Wolfa oddziałały potężnie; we wstępie do „Hermana i Doroty“ wymienił on tego śmiałego męża obok Vossa. Powstanie dwóch wielkich utworów epicznych: „Amelungi“ Karola Simrocka, jako samoistne części składowe przekładów i przeróbek jego sześciotomowéj „Niemieckiéj księgi bohatérskiéj“ (1843—1850), i „Nibelungi“ Wilhelma Jordana (1868 i 1874)—stoi w najściślejszym, nierozerwalnym związku z poszukiwaniami nad historyą homerowskiego i romańsko-germańskiego eposu.

Wśród radości z powodu pierwszych odkryć średnio-górno-niemieckie ujęcie pieśni o Nibelungach, postawiono bez wszelkich zachodów obok Homera, a w nader nieusprawiedliwionéj wyniosłości narodowéj, odmawiano Francuzom zdolności do eposu narodowego. Stopniowo okazało się, że właśnie naodwrót, z pośród wszystkich ludów europejskich, Francuzi w swoich *Chansons de geste* posiadają epos, rozwinięty najwspanialéj, i że nasze średniowieczne kunsztowne utwory epiczne, są w znacznie przeważającéj większości przekładami z francuskiego. Na nieprzejrzane cykle epiczne Indusów wskazał był już Fryderyk Schlegel, które przedsięwziął także niemieckie opracowanie podań francuskich o Rolandzie. Rückert i Schack, obaj wielcy pośrednicy pomiędzy poezyą wschodnią a niemiecką, dali nam próby z indyjskiego, a nadto Schack obdarzył nas przedziwnie wykończonym przekładem staro-irańskich podań bohatérskich Firdusiego. Jeżeli Herder znał i z największém powodzeniem przełożył na język niemiecki tylko romanse francuskie o Cydzie, to Jakób Grimm i inni roztworzyli przed nami niezmierne skarby w romansach, jakie posiadają Hiszpanie. Poznano epos ludowy w największym stylu, odkryty w Finlandyi. Wobec takiego bogactwa średnio-górno-niemieckie ujęcie pieśni o Nibelungach wydało się cokolwiek marném, a przy rozpowszechniającéj się coraz bardziéj znajomości podań germańskich o bogach i bohatérach, w średnio-górno-niemieckich poematach ludowych

mogliśmy widzieć tylko stosunkowo silnie zmodernizowane i pod wpływem dworskiéj poezyi francuskiéj zmodyfikowane ułamki epiki staro-germańskiéj. Już poeci średnio-górno-niemieccy odważyli się na próbę, podjętą, coprawda, z niewielką zręcznością, — połączenia w poezyi rozmaitych podań, lub przynajmniéj skupienia zewnętrznie bohatérów rozmaitych cyklów podaniowych. Simrock, który stopniowo przełożył wszystkie znaczniejsze epopee średnio-górno-niemieckie i dopiéro w Wilhelmie Hertzu znalazł wyżéj na tém polu stojącego mistrza (Hertza *Tristan und Isolde*, 1878 r.; *Bruder Rausch*, 1882 r.), starał się istniejące pojedyncze podania i resztki podań, odnoszących się do Dytrycha z Berna, owego wielkiego króla gotów z rodu Amalungów, zajmującego punkt środkowy w pierwszéj księdze „Walki o Rzym“ Dahna, połączyć razem w jeden epos jednolity. Posługiwał się on przytém strofą Nibelungów, tak jak ją był przystosował szczęśliwie do języka nowo-górno-niemieckiego już Uhland w jedynéj swojéj większéj próbie epicznéj p. t. *Graf Eberhardt der Rauschebart* (1815 r.); to téż odtworzony nanowo przez Simrocka poemat (nie jestto bynajmniéj prosty przekład) byłby przyniósł zaszczyt nawet wsławionemu szwabskiemu balladotwórcy. Jużciż, nie jestto tak genialne wznowienie staréj powieści, jakie stworzył W. Hertz w „Wyprawie Hugdietricha po narzeczoną“ (1863 r.), jednakże tę prostą, szorstką wielkość, małomówną w wyrażaniu swych uczuć, a przecież wzruszającą do głębi duszy, Simrock oddał wybornie. Jestto księga tak pełna prawdziwéj, jędrnéj poezyi, że chciałoby się spotkać ją u wszystkich stanów, w rękach starców i młodzieży. W obszernéj np. historyi literatury Henryka Kurza, która, coprawda, pomija śmiertelném milczeniem i Grillparzera, nie widzę, ażeby ta księga była choćby z imienia wyszczególniona czy to pomiędzy poezyami, czy téż pomiędzy przekładami Simrocka. Pomimo zaś trzech wydań „Amalungi“ Simrocka dla masy czytelników nie istnieją. Częstokroć chciałoby się obiegające przysłowie o Austryi zastosować i do nowszéj literatury niemieckiéj, to jest określić ją jako państwo, w którém rzeczy najnieprawdopodobniejsze są najprawdopodobniejszemi.

Simrock strzegł się od ustępstw dla „nowoczesnych;“ Jordan wielkie swoje i całkowicie zasłużone powodzenie zawdzięcza w niemałym stopniu nowoczesnemu, poczęści nie koniecznie smacznemu rysowi swoich tworów epicznych. Jeżeli słyszymy, jak Jordan wygłasza swoje „*Stabreimy*“, to uderza nas silna wiara rapsoda w samego siebie i zadanie, które sobie postawił do rozwiązania w eposie. Czuje się on zupełnie jako równy, a może i stojący wyżéj towarzysz i kontynuator owych piewców starych, którzy na agorze i na placu wiejskim pod

lipą, podczas uczty książęcéj i w przysłuchującém się gronie wojowników i ich drużyny uświetniali w swojéj pieśni dawne powieści i czyny najnowsze. Jeżeli obchodził wszędzie, jako rapsod własnych utworów, to deklamacye jego poetyczne tworzyły swoistą mieszaninę najnowocześniejszych recytacyi i reklam ze wspomnieniami o wędrownym pieśniarzu ludowym dawnych czasów helleńskich i germańsko-romańskich. Jak przez współzawodnictwo z Simrockiem, Jordan pokusił się niedawno o zaprawiony niepięknie żywiołem nowoczesnym przekład „Eddy“ (1889 r.), tak również w sposób, mogący ulegać nie mniejszym zaczepkom, chciał był tłómaczenie „Odyssei“ Vossa zastąpić własnym przekładem téj epopei na język niemiecki (1876 r.). Studyom przyrodoznawczym oddawał się on w jednym kierunku z taką powagą, że w pewnym poemacie mógł powiedzieć żartem, że nie on jest darwinistą, lecz Darwin jest jordanistą. Trzy zbiory jego poezyi lirycznych: „Fantazye ziemskie“ (1842 r.), *Strophen und Stäbe* (1871), *Andachten* (1877 r.), zajmują się wszystkie kwestyami filozoficzno-przyrodoznawczemi i opowiadają o walkach, jakie musiał przebyć pewien przeznaczony na teologa potomek staréj rodziny pastorskiéj, ażeby zdobyć sobie zupełną wolność duchową. Otóż ten darwinistyczny pogląd na świat, podwójnie drogi dla niego, ponieważ go wywalczył ofiarami, wnosi on, nie oglądając się na nic, do dawnych mytów natury i podań dziejowych — często ze skutkiem pomyślnym, częściéj jednak z niepojętym brakiem smaku. Jordan napisał w wierszach rymowanych małą komedyę „Przez ucho“ (*Durch's Ohr*), która się odgrywa z takim ponętnym wdziękiem, lekkością i delikatnością, że tego samego poety nie chciałoby się uważać za zdolnego do onéj obrażającéj natarczywości, z jaką wysuwa wszędzie na pierwszy plan w poezyi słuszną zapewne pod względem naukowym teoryę doboru naturalnego. Wpadł on na taki pomysł, że z Hadubranda, syna wsławionego w podaniach Dytrychowego mistrza zbroi i z córki Zygfryda, zrobił protoplastów domu Hohenzollernów, a staremu Hadubrandowi kazał przepowiadać wielkie powodzenia z roku 1870/71: zdania o tym pomyśle są zapewne bardzo niezgodne. Co do mnie, to przy takiém tendencyjném przystrojeniu podania narodowego przychodzi mi na myśl wyrażająca oburzenie nagana Goethego, tycząca się „złego obyczaju szpikowania słoniny“ (*die böse Art den Speck zu spicken*). Takim potężnym postaciom podaniowym, jak Zygfryd i Dytrych, przyczepia się tylko coś małostkowego, jeżeli ktoś sądzi, że potrzeba im dopiéro nalepić etykietę nowoczesnego patryotzmu. Coprawda, w „Podaniu o Zygfrydzie i „Powrocie Hildebranta“ Jordan zbyt często swéj starannie malującéj poezyi dodawał zawadzające

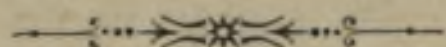
drobnostkowe przymieszki. Podobnie jak robił głębokie studya nad germańskim „*Stabreimem*“, którego używał z zadziwiającą potęgą i zręcznością słowa, i nad istotą eposu („Listy epiczne“, 1876 r.), tak samo wszystkie podania i ułomki podań w ich sprzecznem częstokroć ujęciu, przejrzał on jaknajdokładniéj i mozolił się dla złożenia z nich swéj pysznéj mozaikowéj budowy. Ażeby się takie dzieło udało, do tego potrzeba było, obok odtwarzającéj fantazyi, niezmiernéj pracy i sztuki. Częstokroć spojenia jeszcze od siebie odstają, a porządkujący rozum, zakrawający tu i owdzie na trzeźwy racyonalizm, daje się zbytnio uczuwać. Sztuczna kreacya Jordana nie dosięga nieporównanéj świeżości naturalnéj i wielkości, w jakiéj wcześniejszy od Jordanowskiego utworu „Pierścień Nibelunga“ Ryszarda Wagnera, czterema swojemi częściami wyrósł z jednego korzenia — w genialnéj prostocie i zwartości. Wogóle, wznowienie i ulepszone wykończenie podania epicznego, jak je, według własnego mniemania, uskutecznił Jordan, było niemożebne. A jednak, pomimo wszystkich przygan, z jakiemiśmy dopiéro co wystąpili, stworzył on potężny i porywający epos artystyczny, utwór, który w całéj poezyi niemieckiéj XIX-go wieku będzie górował jako nieporuszalny kamień graniczny—swojemu twórcy na chwałę. „Nibelungi“ Jordana i „Walka o Rzym“ Dahna, są szczytem nowszéj sztuki niemieckiéj, opowiadania w wierszu i prozie; w nich jest wcielone to, co najlepszéj części czytelników niemieckich w ostatniém trzydziestoleciu naszego wieku wystarcza, jako wytwór poetyczny własnych czasów, i choćby wskutek tego dostąpią one trwałego znaczenia w historyi literatury.

(*C. d. n.*) *Maks Koch.*





„Nie ma wojny."



Pod tym tytułem przed czterema laty wyszła broszura byłego ministra austryackiego, znanego powszechnie ekonomisty i socyologa, długo za socyalistę uważanego, Alberta Schaeffle. Czy pan Schaeffle chciał wmówić Europie, że wojny nie ma, o czém wszyscy wiedzieli; czy że wojny tak rychło nie będzie, o czém także świat był i jest przekonany, jeżeli chodzi o krótki, jednoroczny lub może nawet kilkoletni termin; czy też że wojny być nie może? Wcale nie. Zanadto jest badaczem myślącym, doświadczonym, a dzieje, ludzkość, naturę i charakter, tak narodów jak i rozmaitych rządów, znającym, by nie wiedział, że w tym naszym najlepszym ze światów, wiele rzeczy zawsze jest możebnych i że pomiędzy niemi niepoślednie miejsce zajmuje wojna. Czy przypuszczał, że kongresy przyjaciół pokoju, jak np. mający się odbyć niezadługo w Rzymie, peryodycznie powtarzające się prawie rokrocznie, potrafią kazaniami swemi i teoryami nawrócić i rządy i narody, wykorzenić w nich dawne nienawiści, skłonić do wyrzeczenia się wiekowych planów, które swoją opatrznościową misyą nazywają, wytłómaczyć im, że tak zwany punkt honoru państwowego bywa często następstwem prostego zaślepienia i fałszywéj ambicyi? I to nie. Czy chciał i rządy i ludy europejskie nawrócić do rzeczywistego poszanowania prawa narodów, do wyrzeczenia się prawa mocniejszego, które jest tamtego pierwszego przeczeniem? Także nie. Wié on, że gadałby napróżno, że gdyby przemawiał wszystkiemi językami, z apostolskiém natchnieniem, z przekonaniem Piotra Pustelnika, on pustelnik w Kanstadt pod

Stuttgardem, przemawiałby napróżno, że słowa jego padałyby jak groch na ścianę.

Chciał tylko dowieść cyframi trzech rzeczy: 1) że wielka wojna sprowadziłaby ostateczną ruinę Europy pod względem finansowym i ekonomicznym, a nawet społecznym; 2) że ta wojna staje się coraz trudniejszą, im więcéj się państwa Europy do niéj przygotowują, i tém mniéj prawdopodobną, im dłużéj odkładaną będzie; 3) że zatém trzeba się zbroić bez końca wszystkim, by wojny uniknąć. W takim razie może wojna sama zjé wojnę, czyli że sama wielkość przygotowań wojennych, sam ich, niesłychany w historyi, ogrom stanie się dla wojny przeszkodą. *Similia similibus.* Lekarstwo pomyślane przez p. Schaefflego należy do homeopatyi; tylko dozy nie są minimalne, a zabójczo silne. Broszura wydana w 1887 r. miała na celu skłonić Niemcy do zatwierdzenia słynnego septennatu i do udzielenia bez targu rządowi tyle pieniędzy, ile zażąda. Bo lepiéj wyrzucać pieniądze na uzbrojenia, aniżeli je wydawać na wojnę. Cel broszury wypowiedziany jest w drugiéj części tytułu, która tak brzmi: „przyszła wojna ze stanowiska cyfr, badanie wojskowe, finansowe i statystyczne z powodu powiększenia składu pokojowego armii niemieckiéj.“ Wojskowości jest tam mało, ale cyfry są dość ścisłe, umiejętnie zestawione, wnioski zaś i rozumowania ciekawe. Do argumentów ówczesnych p. Schaefflego, przybyło zresztą dziś kilka nowych, jak niezmierne udoskonalenie broni, zwłaszcza karabinów i dział, proch bezdymny, nowe powiększenia rozmaitych wojsk, świeże kombinacye dyplomatyczne, kwestya głodowa w Europie i wzmożenie się wielkie demokracyi socyalnéj na zachodzie, tak pod względem liczby, jak organizacyi i skupienia.

Na początku 1887 r. istotnie obawy wojny między Francyą i Rosyą z jednéj, a Niemcami i Austryą z drugiéj strony bardzo trapiły Europę, nieskończenie bardziéj jak dziś, chociaż dziś zbliżenie Rosyi z Francyą jest ściślejsze aniżeli wówczas, może nawet, jak w Niemczech przypuszczają, zamieniło się w stanowcze przymierze. Za powód wybuchu uważano Bułgaryę i jéj stosunki, któreby sprowadzić mogły wojnę wschodnią z zupełną zmianą frontu w Europie zachodniéj. W roku 1854 i 1855 Francuzi przelewali swą krew szczodrze w wojnie, która im żadnéj korzyści nie przyniosła, a tylko Anglikom. Tym razem Niemcy i Austryacy mieli dla Anglii wyciągać kasztany z tego, strasznie rozpalonego, wschodniego pieca.

Już przed czterema laty Schaeffle pisał, że Francya niezmiernie umizga się do Rosyi i że francuski minister wojny (wówczas słynny demagog Boulanger) chce podnieść stopę pokoju armii na całą porę

roku, w któréjby Francya mogła być zaatakowana, do 600,000 żołnierzy. To znaczy, że chce wyrobić wojskowo tak wielką ilość ludzi, że kraj jego miałby przewagę liczebną. Ponieważ zaś Austrya i Niemcy także wówczas powiększały swe armie, chociaż w mniejszym rozmiarze, Schaeffle przypuszczał, że fatalność pcha owe cztery wielkie mocarstwa do wojny. Według niego jednak, wojna byłaby nieuniknioną tylko wówczas, gdyby namiętność, zaślepienie, brak rozumu wzięły górę nad rozsądkiem. Wojna bowiem o sprawy wschodnie jest przeciwną interesowi każdego z tych państw, groziłaby im ruiną, popierałaby wyłącznie interes Anglii.

Przemawiając tedy do owego rozsądku, Schaeffle wykazuje najprzód, co kosztują dzisiejsze wojny. Znany statystyk Kolb obliczył, że wojna francusko-niemiecka kosztowała Francyę, nie jako kraj ale jako państwo, 10 miliardów franków. Istotnie, francuski minister skarbu, Bodet, podaje cyfrę tych kosztów na 9,287 milionów, a p. Magne, także były minister skarbu, na 9,820 milionów. W tych cyfrach jednak nie zamieszczono ani kosztów sprawienia nowego materyału wojennego, ani strat, jakie ponieśli prywatni. Jeżeli te koszta wliczonemi zostaną, to, według Schaefflego, straty pieniężne poniesione przez naród francuski w téj wojnie, wynoszą przeszło 15 miliardów franków. Przed wojną dług Francyi wymagał rocznie 490 mil. fr. wydatku na opłacenie procentów, a w kapitale obliczał się na 12 miliardów; w 1884 r. wymagał na procenta 1,267 milionów, co odpowiada kapitałowi 32 miliardów (dziś ten dług obliczają w budżecie na rok 1890-ty w procentach 1,318,248,408, w kapitale 29,514,000,000, nie wliczając skapitalizowania wypłat i pensyi dożywotnich). Wprawdzie na powiększenie tego tak kolosalnego długu wpłynęły także rozmaite wydatki cywilne w sumie bardzo znacznéj, w każdym razie jednak, obliczają, że koszta wojny i koszta przygotowań do przyszłéj wojny powiększyły ten dług o 600 milionów w procencie, czyli, po 4%, o 15 miliardów w kapitale.

Ile to kosztują dzisiejsze wojny, świadczy o tém także druga wielka rzeczpospolita, Stany Zjednoczone Ameryki północnéj. Na wojnę domową z stanami południowemi, stany północne wydały 12 miliardów franków, nie licząc w to ani wydatków poniesionych na tę wojnę przez stany południowe, ani strat, poniesionych przez prywatnych. Sumę tę zyskano za pomocą pożyczek i wypuszczenia asygnat, które chwilowo tak były zdyskredytowane, że za dolara złotem musiano płacić 2½ dolara w asygnatach. W r. 1868-ym, czyli w trzy lata po ukończeniu wojny, dług Stanów Zjednoczonych wynosił 2,374,406,389 dolarów, od któréj to sumy płacono procentu 588,213,359

dolarów asygnatów. W r. 1887 dług płacący procent wynosił już tylko 1,021,692,000 dolarów (dolar równa się pięciu frankom) i umarzał się corocznie o 100 milionów przeszło, tak, że przed końcem bieżącego stulecia zniknie zupełnie. Ale Stany Zjednoczone nie znają co to wydatki na wojsko, mają go bowiem ledwo 27,000 dla pilnowania Indyan, a zwłaszcza nie mają kochanych i potężnych sąsiadów. Wprawdzie płacą jeszcze 80,288,509 dolarów pensyi wysłużonym z ostatniéj wojny żołnierzom, co równa się 400 milionom franków, ale z tych znaczna część podobno na gorszących opiéra się nadużyciach. I tu więc mamy wskazówkę, co może kosztować przyszła wielka wojna.

Schaeffle bardzo skromnie ocenia, że wojna, pomiędzy Niemcami i Francyą tylko, kosztowałaby 20 miliardów franków, wojna zaś pomiędzy czterema mocarstwami kontynentalnemi kosztowałaby 37½ miliardów. Te zaś straty ponieśćby musiała całkowicie strona zwyciężona, w razie gdyby jéj przegrana była stanowcza. Gdyby zaś zwycięstwo nie było stanowczém, na każdą ze stron walczących spadłaby połowa tego ciężaru.

Pierwszém następstwem zaciągnięcia podobnie kolosalnéj pożyczki państwowéj, byłoby podwyższenie na czas długi i w rozmiarach niesłychanych stopy procentowéj od długów hypotecznych, coby ostatecznie i doszczętnie zrujnowało rolnictwo. Drugiém następstwem byłoby niezmierne podwyższenie podatków. By zaciągnąć 20 miliardów franków na 4 od sta tylko (Francya w r. 1872 i następnym dla zapłacenia 5 miliardów zaciągała pożyczki rzeczywiście po 6 od sta) potrzeba mieć 800 milionów franków, a dla 10 miliardów 400 milionów, na spłacenie rocznego procentu. Z pewnością jednak przez długi czas musianoby płacić nie 4 ale 5 a nawet 6 od sta. W takim razie procent od 20 miliardów wzrósłby do miliarda lub 1200 milionów rocznie. Żaden monopol gorzałczany lub tytuniowy, żaden podatek od spadków na to by nie wystarczył, potrzebaby się uciec do podatku od dochodu, nałożyć go na kraj zrujnowany wojną i zrobić go niezmiernie wysokim a prawie powszechnym, bez wyłączania drobnych nawet dochodów. Szczególnie mocarstwa, które już przed wojną pompowały ze wszystkich źródeł podatkowych, by swój budżet w jakiéj takiéj równowadze utrzymać, w których, za pomocą śruby podatkowéj, wyciskano wszystko, cokolwiek wycisnąć się dało, znalazłyby się nie tylko w bardzo nieprzyjemném, ale nawet w nader niebezpieczném na wewnątrz położeniu.

Według bardzo pracowitych i bezstronnych obliczeń Gerstfelda wypada na głowę ludności podatków państwowych (miejskich, gmin-

nych i innych nie licząc) w Niemczech 18 marek, w Austryi 23 marki, we Francyi 52, w Rosyi 15. Tak więc z trzech mocarstw zachodnich Niemiec ponosi najmniejszy ciężar, a jednak szemrze, Austryak pod średnim upada i jęczy, Francuz swój największy bez oporu i z większą od tamtych łatwością dźwiga. Że tak jest, oprócz kolosalnego nagromadzenia kapitałów rozporządzalnych we Francyi i wzrastającego kursu 3 procentowéj renty, który w téj chwili jest już bardzo bliski *pari*, świadczy najdobitniéj niezmierne i bardzo szybkie wzrastanie składek w kasach oszczędności, w których złożony kapitał klas ubogich podsuwa się już pod cztery miliardy (ściśléj mówiąc, wynosi 3600 milionów fr.). Na pozór więc, Niemcy mogłyby najłatwiéj znieść następstwa wojny, bo gdyby nawet ta wojna nie wypadła stanowczo zwycięsko, gdyby musiała pozostać nierozstrzygniętą, gdyby na jéj koszta potrzeba było zaciągnąć wyżéj wskazaną pożyczkę, od któréj procent wynosiłby 600 milionów marek; ciężar podatków państwowych podwyższyłby się tylko o 12 marek na głowę.

Ale to pozory tylko, bo w Niemczech podatki gminne, a zwłaszcza miejskie, są bardzo ciężkie; w miastach często przewyższają o wiele ciężar podatków państwowych. W tych sprawach, zresztą cyfry oderwane jeszcze wszystkiego nie mówią; należy je porównać ze stanem mienia i bogactwa narodowego. Wyrzucenie rubla dla zamożnego nic nie znaczy, dla ubogiego o dziesięć kopiejek trudno. W porównaniu z nami Niemcy są krajem bogatym, w porównaniu z Anglią a nawet z Francyą są ledwie zamożnym, Austryę zaś do ubogich zwykle zaliczają.

Dlatego Austrya wrazie wojny niefortunnéj, lub nawet nierozstrzygniętéj, prawdopodobnie musiałaby zwalić część nowych ciężarów nie na opodatkowanych ale na wierzycieli państwa, dekretując narodowe bankructwo. Nawet dla Francyi podobne podwyższenie ciężarów byłoby bardzo trudne do zniesienia, tam bowiem wyzyskują już wszystkie źródła podatkowe, oprócz jednego, co prawda, i to niezmiernie ważnego, oprócz podatku od dochodu. Możeby nawet Francya w takim razie nie cofnęła się przed zaprowadzeniem państwowego monopolu wódczanego. Istnieje już tam państwowy monopol wyrobu i sprzedaży tytuniu i zapałek, przynoszący 398 milionów franków. Ale czy to w Austryi cy we Francyi, bankructwo narodowe pociągnęłoby za sobą najprzód ruinę powszechną, za którą mogłyby pójść bardzo niebezpieczne wewnętrzne zawichrzenia. Monopole zaś, robiące państwo jedynym dla danego przedmiotu fabrykantem i kupcem, bardzo praktykowane niegdyś, gdy jeszcze nic marzono o socyalizmie i ekonomicznego zadania państwa nie rozumiano należycie, nie tylko

są przeciwne stwierdzonym przez doświadczenia zasadom ekonomicznym, ale, jak dziś rzeczy stoją, prostują drogę do demokracyi socyalnéj, jéj rozumowania i dążenia popierając.

We Francyi zresztą już i dziś podatek od alkoholu jest bardzo znaczny, równie jak i inne podatki pośrednie. Według wspomnianego wyżéj Gerstfeldta, hektolitr alkoholu 100° płaci podatku: w Niemczech 17,27 marek, we Francyi 61,54 marek, w Astryi 20 marek, w Rosyi 125 marek; piwo, tytuń, cukier równie ciężko są opodatkowane, cyfry podatkowe w każdém z czterech mocarstw, idąc porządkiem powyższym, tak się przedstawiają: od hektolitra piwa w Niemczech 1,26 marek, we Francyi 3,50 marek, w Austryi 2 marki, w Rosyi 3,50; od cetnaru celnego, czyli 50 kilogramów tytuniu: w Niemczech 28,50; we Francyi 3,50; w Austryi (także rządowy monopol) 1,10 w Rosyi 54,62 marek. Od cukru za taką samą wagę w Niemczech 10,12 marek, we Francyi 16,38 marek, w Austryi 10 marek, w Rosyi 13,67 marek.

Widzimy więc, że podatki wszędzie, w stosunku do zamożności ludów, są już niepomiernie wyciągnięte. Jakie może być położenie ludności wrazie wojny i po wojnie, albo przegranéj albo nierozstrzygniętéj? Na co te podatki dzisiejsze są obracane? Naprzód na procenta od długów państwowych, zaciągniętych więcéj aniżeli w połowie na wojny i na cele wojenne, następnie na utrzymanie wielkich armii stałych, nieustannie powiększanych. Jaka jest ludność czterech głównych mocarstw kontynentalnych? Francya (nie licząc kolonii) ma w okrągłéj cyfrze ludności 39 milionów, Austrya do 40, Rosya w Europie do 100, Niemcy do 49 milionów. Jak się przedstawiają ich armie w stosunku do téj ludności? Obliczenie ścisłe jest dość trudne. Najprzód bowiem trzeba jeszcze z rachunku wyłączać pospolite ruszenie czyli *landszturm*, tak pod względem jakościowym jak nawet i ilościowym, czyli pod względem liczby użytecznéj i moralnéj wartości. Naprawdę landszturm jest to jeszcze wielka niewiadoma, bo nie jest wypróbowany i właściwie tylko na papiérze istnieje. We Francyi w roku przyszłym mają odbywać wielkie manewra z armią terytoryalną, ale armia ta nie jest landszturmem. Odpowiada ona więcéj landwerze niemiekiéj pierwszego powołania, albo honwedom węgierskim; ma swoje stałe, wcale silne kadry dla 144 pułków piechoty po 3 bataliony, 172 szwadrony jazdy, 18 pułków artyleryi, 18 batalionów inżynieryi etc. Landszturmowi niemieckiemu, uorganizowanemu prawem z 1888 roku, odpowiada we Francyi rezerwa armii terytoryalnéj. Mieszając i łącząc te rozmaite formacye, już w r. 1887 dowodzono, że Francya wrazie wojny wystawi 3,750,000 zbrojnych, Niemcy zaś, wedle obliczeń rozmaitych autorów, 3 miliony. Schaeffle

z swych obliczeń słusznie wyłącza ów landszturm. Więc siły wojenne czterech mocarstw tak się wówczas przedstawiały: Niemcy na stopie pokoju armia stała 449,355 (dziś znacznie więcéj, mianowicie 19,457 oficerów, 468,409 szeregowych, a z dodatkiem jednorocznych ochotników 478,000, razem więc do 500,000, koni 81,283), na stopie wojny 1,900,000; Francya przed czterema laty na stopie pokoju 523,283 (dziś oficerów 26,763, szeregowych 534,100, koni 135,259), na stopie wojny 1,750,000; Austrya na stopie pokoju 287,000 (dziś oficerów 16,080 szeregowych 298,677, koni 61,720); Rosya europejska na stopie pokoju w 1884 r. 890,000 (dziś według kalendarzyka gotajskiego cyfra ta jest nieco miejsza, bo z wojskami rezerwowemi, miejscowemi i kozackiemi 799,937), na stopie wojny według Schaefflego 2,000,000, według kalendarzyka gotajskiego za r. 1890 1,715,350 zbrojnych, 447,750 koni, 5292 dział; dziś cyfra ta prawdopodobnie jest większa z powodu nowych formacyi i zbliża się (albo może i przewyższa) do dwóch milionów, nie licząc wcale pospolitego ruszenia. Austryacki minister wojny w 1886 r. przy obronie prawa o landszturmie takie wojenne cyfry podawał:

Niemcy	landszturm	3,000,000,	armia	czynna i	marynarka	2,140,000,	landwera	565,000
Francya	„	718,000	„	„	„	1,917,000	„	945,600
Austrya	„	146,000	„	„	„	881,786	„	396,898
Rosya	„	7,568,000	„	„	„	2,187,000	„	737,000

Według tych cyfr, usuwając na bok landszturm, Austrya i Niemcy razem, na wypadek wojny, będą rozporządzały armią z 4,084,684 żołnierzy, Rosyą zaś łącznie z Francyą wystawią 5,762,400 Według obliczeń Perthesa, połączone armie Austryi i Niemiec na stopie pokoju są mniejsze o 1,400,000 od połączonych takichże armii Rosyi i Francyi. To objaśnia, dlaczego tak usilnie wciągano Włochy do przymierza. I tak jeszcze przewyżka jest znaczna po stronie Rosyi i Francyi, bo armia włoska na stopie pokoju liczy tylko 14,593 oficerów i 240,845 szeregowych, na stopie wojny dochodzi do miliona (bez milicyi terytoryalnéj czyli landszturmu) ale organizacya jéj wiele do życzenia pozostawia.

Jest więc o czém myśléć i nic dziwnego, że podatki są ciężkie. Te cyfry jednak, nie już Schaefflego ale dzisiejsze, znacznie się podwyższą nowemi formacyami, organizacyami lub reorganizacyami. Francya podobno myśli o utworzeniu dwóch nowych korpusów. W Niemczech coraz więcéj mówią o zaprowadzeniu dwuletniéj służby w piechocie i artyleryi, by można powiększyć pobór ludzi i armię stałą. W Austryi armię stałą na stopie pokoju mają powiększyć o 40 do 50,000 ludzi. Wszystko to pociągnie za sobą zwiększenie wydatków, nie jednorazowo ale przez długie lata. Nie ma téż wcale pewno-

ści, by to powiększanie się wydatków, z każdym niemal rokiem rosnących, kiedykolwiek ustało. Lada nowy wynalazek w udoskonaleniu broni pociąga za sobą nowy, na miliony obliczony, wydatek; na lada uznane lub pozorne wzmocnienie sąsiada, trzeba inném podobném odpowiadać. Przed kilku jeszcze laty podobne odpowiedzi drażniły i trwożyły; dziś uważają je za rzecz naturalną, zaznaczają i swoje daléj robią, to jest, starają się znowu przegonić sąsiada.

Co rok odbywają się kongresy przyjaciół pokoju. Jest to niewinne akademickie ćwiczenie dobrych i humanitarnych chęci. Od czasu do czasu rozchodzą się téż pogłoski o projektach powszechnego rozbrojenia, mających wyjść od tego lub owego rządu ale, obiegłszy dzienniki, cichną. W rozbrojenie w dosłownėm znaczeniu tego wyrazu nikt nie wierzy i każdy uważa je za niemożebne. Jak to rozbrojenie rozumiéć? Na jakiéj idei praktycznéj projekt ten opiérać się może? Kto go wniesie? Kto zacznie? Niemcy twierdzą, że powinni je zacząć Francuzi i Rosyanie, ci znowu wkładają ten obowiązek na Niemców i ich sprzymierzeńców. O zmuszaniu do rozbrojenia mowy być nie może, bo to znaczyłoby wojnę, a téj strasznéj odpowiedzialności nikt brać na siebie nie chce, każdy się wojny lęka, znając jéj przerażające następstwa, niepewności i trudności.

Idąc za Schaefflem, naszkicowaliśmy zgubne ekonomiczne i finansowe następstwa wojny, za któremi mogą pójść podobneż zmiany społeczne, które już tyle razy w historyi następowały po ekonomicznych przesileniach. Ileż to razy ekonomiczna, a chociażby tylko finansowa ruina państwa wywoływała rewolucye. Dziś te dwa rodzaje przewrotów mogą być jeszcze ściśléj ze sobą skojarzone aniżeli dawniéj. W tych obawach, tak dobrze jak w dzisiejszéj równowadze sił, spoczywają rękojmie przeciw wojnie, które z czasem mogą nawet rosnąć w miarę wzrostu trudności prowadzenia wojen i przypuszczalnéj tych wojen morderczości. O tych rękojmiach Schaeffle nie wspomina, bo to nie zgadzało się z praktycznym celem jego broszury.

Trudności te leżą w samym ogromie armii, które się zetrzéć między sobą mają. Miliony przeciw milionom, milion ludzi mających wymordować milion innych ludzi, albo być przez niego wymordowanemi. Nigdy takich walk nie widziała historya. Herodot wprawdzie pisze, że Kserkses prowadził na mały kraik grecki 2,141,610 wojowników, a mianowicie 80,000 jazdy, 1,700,000 perskiéj, 20,000 Arabów i Libijców na wielbłądach i wozach wojennych, 300,000 żołnierzy z Tracyi i Macedonii; że liczba ciurów obozowych, masztalerzy, pociągów, kobiét, eunuchów i rozmaitéj czeladzi, ciągnącéj za wojskiem, była jeszcze większa, że zatém pod Termopilami stawał w jakie cztery miliony

ludzi. Ale dziś w tę wędrówkę narodów nikt nie wierzy. Sam Herodot dodaje, iż to cud, że dla takiéj ilości ludzi po drodze żywność znajdowano i zarazem zaznacza, że o tém wié z opowiadania i że nie wszystkim opowiadaniom wierzyć należy.

Dziś krytyka historyczna dowodzi, że Grecy, którzy nigdy nie odznaczali się prawdomównością, zwłaszcza, gdy o ich sławę chodziło, i tu dopuścili się wielkiéj przesady. Ponieważ wojska perskie z azyatyckiego brzegu na europejski przechodziły przez dwa dni na dwóch mostach na Bosforze, obliczają teraz, że wojsk tych mogło być conajwięcéj 260,000. Bo po tak długich mostach, przez dzień jeden, zwykłym krokiem i bez zamieszania, ledwo 60,000 wojska przejść może Ile liczyły hordy Alaryka lub Atylli, pewności nie ma, zdaje się jednak, że nie dochodziły połowy albo i trzeciéj części miliona. Bo, nawet idąc dwoma lnb trzema szlakami w większéj liczbie, jeszczeby mogły z głodu wyginąć przed spotkaniem się na Katalauńskich polach z Aeciuszem. Głód jest strasznym wrogiem wielkich armii, trudniejszym do pokonania aniżeli inne przeszkody. Wprawdzie dzisiejsze środki komunikacyi pozwalają walczyć z nim i walczyć zwycięsko, ale tylko przy sprzyjających warunkach, przy słabéj naprzykład obronie napadniętego nieprzyjaciela, przy braku śmiałości w jego ruchach, przy martwocie i obojętności ludności najechanéj, wreszcie przy stosunkowo krótkich do przewozu odległościach. Dziś już wojna nie jest w stanie wyżywić wojny, jak dawniéj przy małych armiach bywało. Żadne rekwizycye, groźby i gwałty nie wyciągną z kraju, przez zwycięską armię zajętego, tych milionów pudów mięsa, mąki albo ziarna, potrzebnych dla ludzi, a zwłaszcza tych milionów pudów owsa, siana, słomy, potrzebnych dla setek tysięcy koni, idących za temi milionami ludzi, gdy tego ziarna i tego siana na miejscu nie ma, gdy sami mieszkańcy do zbytku go nie mają. Jakiéj ilości pożywienia potrzebuje codziennie taki zbrojny milionowy potwór, ciągle do zmiany miejsca zmuszony, mało kto ma wyobrażenia z tych, co o wojnie przy piwie lub herbacie rozprawiać lubią, zadając innym rozdrażnione i zniecierpliwione pytania: kiedyż ona nareszcie przyjdzie.

By dać jaśniejsze wyobrażenie trudności, jakie przedstawia wyżywienie dzisiejszych milionowych armii w czasie wojny, przedstawimy w skróceniu cyfry, jakie niedawno spotkaliśmy w petersburskim „Siewiernym Wiestniku.“ Artykuł ten, wyszły z pod pióra wojskowego i to bardzo pracowitego, zwrócił na siebie uwagę dzienników niemieckich, które wprawdzie, przyznając ścisłość cyfr w nim podanych i obliczeń, robiły zastrzeżenie, że na te trudności sztaby interesowane dawno zwróciły uwagę i zapewne obmyślały środki odpowiednie, do-

dają zarazem, że ów traktat wojskowy bardzo dobrze jest napisany. Za podstawę swych obliczeń autor bierze przypuszczenie, że Niemcy i Austrya zechcą wypowiedzieć wojnę Rosyi. Otóż Niemcy nie produkują dość zboża na wyżywienie i muszą je z zagranicy sprowadzać. Ale w trudniejszém jeszcze położeniu, w razie podobnéj wojny, mogą się znaléźć pod względem mięsa i siana dla wojska. Autor ruski przypuszcza, że Niemcy wkroczyłyby do Rosyi w sile 960,000 ludzi armii czynnéj i 220.000 koni, za którémi w parę tygodni poszłoby jeszcze 440,000 ludzi i 20,000 lub więcéj koni landwery. Reszta armii i landwery musiałaby być odkomenderowana na granicę francuską. Owa więc wschodnia armia wynosiłaby około 1,400,000 ludzi i do 250,000 koni. Wedle regulaminów niemieckich o żywieniu żołnierza i konia w czasie wojny, dla téj armii potrzeba dziennie: 63,000 pudów chleba, 25,560 pudów mięsa, 10,416 pudów kaszy, 2,100 pudów soli i 1,440 pudów kawy. Zapasy, jakie mogą się znaleźć w pobliżu podstawy działań, wystarczyć w żaden sposób nie mogą. Przypuszczając np., że wojna rozpocznie się w czerwcu i że w zapasowych magazynach znajdzie się jeszcze zboża na miejscową potrzebę na dziesięć miesięcy, to zboże to wystarczy dla ludzi na 25 a dla koni na 23 dni, bo liczba wojsk do wojny skoncentrowanych, będzie dziesięć razy większa od stale w tych pogranicznych prowincyach (Prusy wschodnie, Prusy zachodnie, Poznańskie, Szląsk) trzymanych. Gorzéj jeszcze będzie z mięsem, owsem i sianem. Prowincye te owsa i siana produkują przeciętnie, rocznie 51,8 milionów pudów owsa i 200 mil. pudów siana; potrzebują zaś same 68 mil. pudów owsa i 340 mil. pudów siana rocznie Niedobór, bardzo znaczny, trzeba z innych stron sprowadzać. Armia zaś owa potrzebować będzie dziennie 80 tysięcy pudów owsa, 22,800 pudów siana i 4,200 pudów słomy. Co do mięsa, armia potrzebować będzie 2,130 wołów dziennie. W owych zaś pogranicznych prowincyach liczą bydła rogatego sztuk 2,254,000; w sto dni zatem armia zjé dziesiątą część téj liczby i już wówczas niedostatek musi się dać uczuć.

Austrya, znajduje się w położeniu nieco lepszém od Niemiec, bo produkcya zboża nie tylko wystarcza na wyżywienie ludności, ale nawet znaczna jego ilość wychodzi zagranicę. Za to inne warunki są gorsze. Autor przypuszcza, że Austrya może wojnę rozpocząć z armią z 1,070,000 ludzi i 220,000 koni. Dla takiéj liczby wojsk potrzeba dziennie, według regulanimu żywnościowego austryackiego, 61,520 pudów chleba, 23,375 pudów mięsa, 8,025 pudów kaszy, 1,672 pudy soli, 1,672 pudy kawy, 71,000 pudów owsa i 2,200 pudów siana. Jeżeli w chwili uruchomienia magazyny przygraniczne, austryackie, będą opatrzone w te zapasy dla miejscowéj potrzeby na dziesięć miesięcy,

to zapasy owe wystarczą dla armii na 39 dni ludzkich i 20 dni końskich. Austrya więc jeszcze prędzéj od Niemiec wyczerpałaby zapasy nagromadzone, co tém dla niéj przykrzejsze, że ściąganie wojsk na linię bojową będzie trwało dłużéj. Autor je oblicza na 30 dni. Więc ruchome magazyny będą musiały chyba odrazu iść za wojskiem. Na Galicyę nie można wiele liczyć, zwłaszcza na zachodnią, rolnictwo stoi dość nizko, a prowincya ledwo sobie wystarcza. Najgorzéj jest z sianem, które intendentura z daleka sprowadzać musi. Spichlerzem Austryi są Węgry i Karyntya, przy normalnych stosunkach dowóz jest szybki i łatwy. Dwanaście pociągów kolejowych może przewieść jednodzienny zapas żywności dla armii potrzebnéj; koleje zaś austryackie, idące w tym kierunku, mogą, ale przy wytężeniu wszystkich sił, wyprawić 120 pociągów dziennie. W trzy dni zatém możnaby przewieść zapas żywności, wystarczający armii na miesiąc. Autor jednak wykazuje, że na to potrzeba będzie nie trzy ale dwadzieścia dni, z powodu braku dostatecznego taboru i innych warunków kolejowych, o których nie będziemy się rozpisywać. W pogranicznych prowincyach ruskich, armie te nie pożywią się. Teatrem wojny, jak pisze publicysta ruski, byłyby następne gubernie: 10 gub. Królestwa Polskiego, 4 gub. litewskie i białoruskie, 2 południowo-zachodnie (wołyńska i podolska). Królestwo Polskie jest wprawdzie krajem bardzo rolniczym, ale téż i bardzo zaludnionym, a z jego produkcyi ledwo jedną piątą możnaby liczyć na wywóz; tę zaś część zakupią potężne masy wojsk, kraj zajmujące. Na wiosnę już żadnych zapasów zboża w Królestwie nie ma. Bydła jest stosunkowo tak mało, że Królestwo na własną potrzebę nie wystarcza. Na Litwie i Białorusi stosunek jeszcze gorszy. Chów bydła nędznie rozwinięty, konie liche, siana tak mało, że ledwo na czas pokoju wystarcza, owsa jedynie dostatek. Tylko południowo-zachodnie gubernie przedstawiają się pod względem zapasów żywnościowych korzystniéj. Tak rzeczy przedstawiają specyalni znawcy, dodając, że wojna ta conajmniéj trwaćby musiała lat dwa. Nie mogąc znaleść na miejscu dostatecznéj ilości pożywienia dla siebie i dla swoich koni, często bardzo nie znajdując nic, armia atakująca musi przeważną część zapasów sprowadzać kolejami żelaznemi z własnego kraju, z przygotowanych zawczasu magazynów. Koleje nie wszędzie dochodzą, więc furgonami i podwodami trzeba rozwozić tę żywność oddziałom, może nawet korpusom, zdala od tych kolei działającym, trzeba wszystko dostarczać na czas, licząc jaknajmniéj na rekwizycyę, przy któréj żołnierz zwykle pożywi się za jednego a zniszczenia sprawi za trzech, a przytem narowi się i z karbów karności wyjść może. Nauka i przemysł wprawdzie ułatwiają dzisiaj rzeczy za pomocą sucharów, kon-

serw z mięsa, z jarzyn, kawy nawet; ale samemi konserwami żołnierza karmić ciągle nie można z obawy skorbutu, biegunki i innych chorób. Koniecznem jest dlań mięso świeże, chleb, kartofle. Konserwy służą tylko na zapas rezerwowy, w razie chwilowego braku, każdy żołnierz dźwiga ich trzechdniową racyę w tornistrze, co jego obciążenie o jaki kilogram powiększa. Żołnierze zresztą nie lubią tych specyałów. Świadczą o tém wszystkie ostatnie manewra, na których i téj strawy wyprobować chciano. W dniach, naznaczonych do spożywania tak zwanego, żelaznego czy tornistrowego zapasu, woleli, gdzie to było możebnem, za swój ubogi grosz kupować świeży chleb i kartofle, aniżeli otwierać owe puszki. Wielu wolało nawet pościć, gdy świeżego pożywienia brakło.

Znakomity pisarz wojskowy niemiecki, v. d. Goltz obliczał jeszcze 1883 r., że samo utrzymanie armii wielkiego mocarstwa (Niemiec) na stopie wojennéj kosztuje dziennie pięć do sześciu milionów marek (około 3 milonów rubli), dziś zapewneby dodał jaki milion marek lub więcéj. I to ową armię oblicza bez landszturmu i tylko na półtora miliona. O kwestyi zaś wyżywienia tych dzisiejszych armii pisze, że jest niesłychanie trudną, że zależy ona głównie od ilości pieniędzy, jakie na raz wydać można, a następnie od kredytu. Z kraju nieprzyjacielskiego już dzisiaj żyć niepodobna.

„Zwiększenie ludności w pogranicznych prowincyach za napływem armii jest tak kolosalne, że żadne zjazdy w czasie pokoju, porównać się z niém nie dają. Pomimo największego zapasu pieniędzy, kwestya żywności jest i pozostanie trudniejszą aniżeli się zdaje idealistom, których fantazya lubi się bawić w śmiałe pochody na karcie geograficznéj. Już Clausewitz, (za którego czasów nie marzono o takich, jak dzisiejsze, armiach) pisze: „Wyżywienie wojsk, bez względu na sposób, w jaki przeprowadzone będzie, przedstawia zawsze tak kolosalne trudności, że musi mieć bardzo stanowczy głos przy wyborze środków; bardzo często staje ono na zawadze najskuteczniejszym kombinacyom, zmusza do chodzenia za chlebem wówczas, gdy można było gonić za zwycięstwem, za stanowczą wygraną.“ Wojna niemiecko-francuska prowadzoną była w kraju niezmiernie bogatym, zarząd wojskowy rozwijał niezrównaną czynność; działał bez wahań i pedanteryi, używając najskuteczniejszych środków, a jednak zdarzały się chwile, krótkie wprawdzie, w których wojska cierpiały wielki niedostatek. Już to był wielki tryumf w téj wojnie, że niedostatek w 1870 r. nigdy nie doszedł do takich rozmiarów, któreby działalność wojsk wstrzymały“. Szczegóły i objaśnienia, jakie v. d. Goltz o trudnościach wyżywienia i dostaw w wojnie r. 1870 podaje, są bardzo ciekawe

i pouczające, a jednak armia niemiecka we Francyi w największéj swéj sile, nie liczyła na raz więcéj nad 800,000, może nawet nigdy do téj cyfry nie dochodziła z powodu ciągłych i koniecznych ubytków. W dodatku, połowa téj armii stała na miejscu, pod Paryżem. Francya po Sedanie nie miała na prawdę armii, dopóki jéj nie zaimprowizował Gambetta, nie miała wyrobionych i śmiałych generałów, którzyby zuchwałemi zagonami jazdy umieli zagrażać komunikacyom wroga, co zajmował całą najbogatszą część Francyi od Renu do Loary i cieśniny Kaletańskiéj.

Mówiliśmy o ludziach, a konie?

„Wielka armia w dzisiejszym stylu, — pisze Goltz — licząca 800,000 ludzi i 300,000 koni, potrzebuje na trzy tygodnie, oprócz słomy i siana, których konsumcya jest wielka, przeszło dwa miliony centnarów wszelakiego rodzaju żywności.“ I Goltz także widzi jedyny ratunek w konserwach, których w roku 1870-ym rozdano armii „na żądanie“ 40 milionów porcyi, chociaż wówczas jeszcze ich wyrób był bardzo niedokładny, ale dodaje: „Konserwy jednak są bardzo kosztowne, a nieco dłużéj używane budzą wstręt. Nie łatwo téż o nie. Prywatny przemysł nie może się ich wyrobem zajmować w czasie pokoju, nie może téż być tak uorganizowany, by mógł na zawołanie dostawić kolosalne tych konserw ilości, dla armii potrzebne. Ale wyłączne posługiwanie się konserwami byłoby zgubnym błędem; świeżéj żywności nie można niczém, zwłaszcza na nieco dłuższy czas, zastąpić. Konserwy jednak mają wartość w pierwszych dniach szybkiego skupiania się wojsk na granicy, następnie w wojnie przy stanowczo rozstrzygających przesileniach. Cóżby dał za to Napoleon, gdyby posiadał ten środek żywienia wojsk w r. 1812-ym, albo w krytycznych chwilach w r. 1814-ym.“ Słowem, Goltz uważa konserwy za środek pomocniczy, chwilowy, w wyjątkowych okolicznościach; jest za tém, by żołnierz miał zawsze w tornistrze trzydniową ich żelazną porcyę, która waży 630 gramów (funt i 20 łutów); kiedy takaż porcya tychże środków pożywienia świeżych waży 855 gramów i wiele miejsca zabiera, ale świeże pożywienie, podobnie jak żołnierz, za jedynie dobre uważa. Wiemy zaś, ile téj świeżéj żywności dla owych milionów potrzeba i jak o nią trudno. Jak o nią zwłaszcza trudno w latach nieurodzaju dzisiejszemu podobnych, kiedy ludność miejscowa wszędzie nie bardzo wié, czém się żywić będzie do przednówka. Téj sprawy żywnościowéj, wogóle dość mało pojmowanéj, nie dotknął Schaeffle, pisząc, że wojny nie ma!

Zaznaczywszy tę trudność, o którą się nie jedno zachcenie wojenne rozbić może, przechodzimy do innéj. Tą trudnością jest

przypuszczalna niezmierna morderczość przyszłych wojen. Mówimy „przypuszczalna“, bo o skuteczności nowéj broni, zwłaszcza karabinów małokalibrowych, szybkostrzelnych, repetierowych i bardzo dalekonośnych, z prochem bezdymnym i mało huku dającym, dopiéro bitwy daćby mogły świadectwo. Do téj pory tylko w jednéj bitwie odbyła się ta próba i to w Ameryce, w Chili, a o niéj mało mamy wiadomości, chociaż wszystkie się zgadzają, że działanie tych najnowszych karabinów pod względem morderczości przewyższało wszystko, co dotąd widziano. Szybkości, z jaką dziś, zwłaszcza w ostatnich dziesięciu latach, wielkie mocarstwa, nie zważając na ogrom kosztów, zmieniają broń, niekiedy po kilka razy (Niemcy w ciągu lat dziesięciu trzeci raz karabiny zmieniają), nasi ojcowie nie mieli wyobrażenia. Karabiny skałkowe, z któremi Napoleon świat podbijał i tak krwawe staczał bitwy, trwały bez żadnéj zmiany od 1717 do 1822 r., bo dopiéro w tym roku zaczęły je wypierać karabiny pistonowe z lufą gładką. Z owych skałkówek strzelano do nieprzyjaciela na 300 kroków, czyli przeszło na 160 metrów, ale strzał ten uważany był za bardzo niepewny. Gwintówkami w wielkich armiach nie posługiwano się. W artyleryi trzymano się systemu Gribeauvala, generała Ludwika XVI-go, z drobnemi zmianami. Dopiéro w r. 1822-im Paixhans wystąpił z swoją teoryą. Napoleon III-ci gwintowane armaty dopiéro w r. 1859-ym światu pokazał w wojnie włoskiéj. Pierwszy raz użyte zostały w bitwie pod Montebello 19 maja 1859 r., następnie pod Solferino ta baterya, bo więcéj nie było, dziesiątkowała rezerwy austryackie na odległość, którą uważano za zupełnie od wszelkich strzałów bezpieczną. Armaty owe, nabijane z przodu, niosły na 4,500 metrów, czyli 4 ½ wiorsty. Dawnych armat skuteczny strzał obliczano na 600 metrów przy większym kalibrze. Celnością też gwintowane przewyższały niezmiernie dawne gładkie działa. W roku 1866-ym świat się zatrząsł od huku pruskich iglicówek. Nabijanie z tyłu już w r. 1836 Dreyse obmyślił. W r. 1841 Prusy przyjęły tę broń, w roku 1848 na rozmaitych powstaniach wypróbowały. W roku 1864-ym już nawet landwera była nią uzbrojona. Inne rządy znały dobrze ten wynalazek, ale nie poszły za przykładem Prus, tak przez niedowierzanie w jego doskonałość, jak z powodu owego konserwatyzmu i ducha rutyny, jaki w zarządach wojskowych, zwłaszcza teoretycznie i naukowo niedość wykształconych, zwykle przemaga. Po roku 1870-ym przyszła era wynalazków, najrozmaitszych nowych systematów karabinowych, z których lepiéj znanych jest blisko sto. Historyi tych zmian wcale tutaj pisać nie myślimy; sądzimy jednak, że dla wyjaśnienia naszych poglądów możemy przytoczyć artykuł jednego z dzienników petersburskich, napisany z powodu przyjęcia przez Rosyę w ro-

ku bieżącym nowego karabina małokalibrowego i repetierowego. Ów dziennik „Niediela“ tak pisze:

„Nie wielu bezwątpienia zwróciło uwagę na ogłoszony niedawno rozkaz do ministra wojny, zaprowadzający w armii ruskiéj nowy karabin, nazwany skromnie „trzylinijną gwintówką typu 1891 r.“ Prócz specyalistów mało kto wié o tém, że pod tą skromniutką nazwą kryje się straszna broń wojenna, wzmacniająca kilkakroć siłę bojową armii. Zewnętrznie nowy karabin wygląda raczéj na eleganckie cacko, niż na broń groźną. Waży on zaledwie 10 funtów, ale niklowany pocisk jego o 400 kroków przebija na wskroś bal 27 calowy. Celność strzału jest zadziwiająca. Najważniejszém to, że nowy karabin, będąc magazynówką specyalnego systemu, może bez przerwy dawać strzał po strzale, aż do wyczerpania ładunków danych żołnierzowi. Taki sam karabin z małemi odmianami posiadają już i inne armie europejskie. Nowy karabin niemiecki bije na 3,800 metrów (bez mała 4 wiorsty). Pocisk z niego przebija o 100 metrów bal sosnowy grubości 80 centymetrów, na 1,800 metrów deskę grubą na 5 centymetrów, na 30 metrów blachę żelazną grubości 7 milimetrów. W wał ziemny z odległości 180 metrów wchodzi ten pocisk na 90 centymetrów, a o 400 metrów na 50 centymetrów, o 1,200 metrów (przeszło wiorsta) jeszcze się zagłębia na centymetr. Tak więc tylko mury forteczne mogą się oprzéć działaniu nowéj broni; lżejsze zaś zasłony, nie wyłączając szańców ziemnych, które jeszcze niedawno odgrywały tak ważną rolę na polach bitew, tracą znaczenie. Karabiny francuskie, tak systemu Lebela jak Giffarda, mają nawet podobuo pewną wyższość nad karabinami niemieckiemi; ale chyba pozostaną w tyle wobec nowego e l e k t r y c z n e g o (?) karabina, którego próby odbywają się we Włoszech. Najnowszy ten karabin, jak słychać, może zadać śmierć na odległość 4,700 m. (4½ wiorsty). Daléj już chyba zajść nie możua w udoskonaleniu broni. O ile zapasy na białą broń na polach bitew przeszły już prawie w krainę legend, o tyle dzisiaj podobny los zdaje się czekać tę formę walki, w któréj żołnierze brali na cel nieprzyjaciela. Bitwy toczyć się będą na taką odległość, że człowiek będzie się przedstawiał jak drobny punkt, a strzały dawane będą całkiem na oślep. Śmiałek który się podsunie bliżéj ku szeregom wroga zginie pod gradem ołowiu, wyrzucanego z dzisiejszych magazynówek.

„Artylerya téż nie zostaje w tyle za bronią ręczną. Doskonalą się i metody walki flot wojennych. Niemcy np. wprowadzają do artyleryi działa osłaniane pewnego rodzaju puklerzami, mającemi bronić i żołnierzy i armaty od pocisków wroga. Zastanawiając się nad temi wynalazkami i udoskonaleniami, zaprowadzonemi ostatniemi czasy

w sztuce zabijania ludzi, zaprawdę myśl truchleje. Co czeka ludzkość w razie wojny europejskiéj? Zważmy jeszcze, że armie europejskie bez rezerw liczą na stopie wojennéj 12,830,000 ludzi, 1,320,000 koni, 20,243 dział polowych. Co się stanie, gdy olbrzymie te tłumy rzucą się na siebie, posługując się tak wydoskonalonemi narzędziami zagłady? Włosy stają dębem, gdy się o tém pomyśli. Mimowoli w duszy rodzi się gorące życzenie, aby jak najprędzéj sprawdziły się przepowiednie ludzi, dowodzących: „iż wojna sama zabije wojnę.“

Takież samo życzenie i przypuszczenie objawia Schaeffle, rozmyślając nad ruiną ekonomiczną ludów, finansową rządów. Ale życzenia mogą pozostać życzeniami, a przypuszczenia się nie sprawdzić. Jedno tylko zdaje się pewném, że im dłużéj pokój trwa, im dłużéj wojna się odwleka, tém groźniejszą, ale tém trudniejszą, się staje. Ofiary z ludzi możeby jednak tak bardzo nie przerażały. Bywały one straszliwe i za starych skałkówek i przy mniéj licznych armiach. W bitwie pod Borodinem Napoleon miał 86,000 piechoty, 28,000 jazdy i 587 dział. Kutuzow 72,000 piechoty, 18,000 jazdy regularnéj, 7,000 kozaków, 10,000 opołczeńców i 640 dział, razem 131,000. Siły były równe prawie. W bitwie Francuzi stracili 30,000, Rosyanie 40,000, zatém blisko trzecia część walczących została na placu. Z rannych nawet nie wielu ocalało, bo gdy po wojnie wydano rozkaz naczelnikowi powiatu możajskiego, Astafiewowi, by pochował niepogrzebane trupy, na przestrzeni dwóch mil kwadratowych naliczył trupów ludzkich 50,000, końskich zaś 33,000. Wprawdzie armie przyszłości będą od owych borodyńskich co najmniéj dwa lub trzy razy liczniejsze, uzbrojone będą środkami zabójczemi o sile niezrównanéj, nie pojętéj dla dawnych bohatérów, którzy ze skałkowym karabinem śmierci lub tryumfu szukali, ale pod względem morderczości boju, już chyba i w przyszłości nie będzie gorzéj aniżeli pod Borodinem. Więc na ten wzgląd, chociaż i on nie mało znaczy, nie trzeba tak bardzo liczyć. W człowieku zawsze zwierz tkwi, a od czasu do czasu rykiem swym inne, czysto ludzkie, głosy zagłusza.

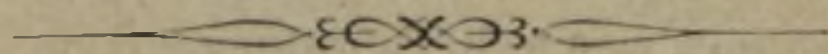
To tylko jest rzeczą pewną, że te wszystkie zmiany karabinów, te wszystkie nowe wynalazki opóźniają wojnę, o któréj od lat dziesięciu tyle mówią i piszą, i do któréj tak się wszyscy przygotowują. Francya wyrób swych karabinów Lebela rozpoczęła w r. 1886-ym, a skończy go dopiéro w roku przyszłym. Pomimo pośpiechu, liczby i doskonałości fabryk swoich, potrzebowała na tę zmianę lat sześciu. Dowiadujemy się o tém z świeżo ogłoszonego rozporządzenia ministra, wstrzymującego wyrób rezerwowych karabinów Grasa, ponieważ w roku 1892-im już cała armia i wszystkie jéj bronie będą posiadać

dostateczną do wojennéj potrzeby ilość karabinów Lebela. Toż samo widzimy w Austryi. Proch téż bezdymny, który tak bardzo wpłynie na zmianę taktyki bitew, także potrzebuje wypróbowania. Pomimo teoretycznego wykładu o doniosłości jego broni, żołnierz nie pojmuje dotąd jeszcze, że może być zabity przez niewidzialnego nieprzyjaciela, bo wié, że sam zabija dopiéro wówczas, gdy widzi. Wszystkie więc manewra z prochem bezdymnym mniéj go zajmują, aniżeli strzelanie do tarczy. Tu bowiem sprawdza wypadek. Żołnierz wszędzie chce włożyć palec w dziurę i dopiéro wierzy. O zmianie taktyki bitew i przyszłym jéj rozwoju wiele piszą, ale podobno pożytek z tego do téj pory nie wielki. Spodziéwano się, że tegoroczne manewry francuskie rzucą jakieś ważniejsze światło, ale nadzieja, zdaje się, zawiodła, ilości niewiadome pozostały niewiadomemi. Jeden ze sprawozdawców wojskowych twierdzi, prawdopodobnie słusznie, że dopiéro wojna owe zagadki rozwiąże, że dopiéro jakiś genialny wódz z pola bitew wyniesie podstawy nowéj taktyki. W każdym razie badania bezkrwawe są konieczne, by, o ile można, jak najmniéj macać w ciemności, gdy uderzy fatalna godzina. To wszystko wymaga czasu, lat, więc odracza wojnę, któréj wszyscy się lękają, pojmując straszną jéj doniosłość i ogrom zmian politycznych, jakie za sobą pociągnąć musi.

Tymczasem wzrasta szybko w siłę nowy, tym razem tylko społeczny czynnik, z którym może przyjdzie więcéj się liczyć w téj sprawie, aniżeli jeszcze niedawno, niż jeszcze dziś przypuszczają. Kapitan von Funcke, agent wojskowy, przy ambasadzie niemieckiéj, rozmowę z pewnym dziennikarzem paryskim o ostatnich manewrach, wychwaliwszy postępy armii francuskiéj, tak zakończył: „Ważniejszą nad to wszystko jest kwestya socyalna.“ Zdanie to można rozmaicie tłómaczyć. Albo pan Funcke poprostu uznawał, że sprawa społeczna jest ważniejszą od kwestyi politycznych, do których rozwiązywania służy wojna, jako *ultima ratio.* Albo też przypuszcza, że socyaliści niemieccy, wzrósłszy jeszcze bardziéj w siłę i jeszcze ściśléj zjednoczywszy się z socyalistami innych narodów, mogą wszelkim zachceniom wojny zaczepnéj wielkie a skuteczne stawić przeszkody. Ku temu nie potrzebują dopuszczać się otwartego buntu, stawiać np. oporu braniu ich do wojska, w którym już dziś dosyć się ich znajduje, a za lat kilka znajdować się będzie nieskończenie więcéj. Wystarczy np. może urządzenie, w chwili dobrze wybranéj, powszechnego w Niemczech bezrobocia w kopalniach węgla pracujących. Próbowano już podobnego bezrobocia niedawno, wprawdzie nie powszechnego, ale na wielką skalę, bo w Westfalii całéj, i to dla zwykłego sporu o płacę i godziny roboty. Próbowano go i w Anglii w roku zeszłym, czy w końcu po-

przedniego. Te próby wystarczyły do wykazania niezmiernéj doniosłości podobnego wystąpienia. Do prowadzenia wojny węgiel dziś jest tak potrzebnym, jak proch. Świadczą o tém niektóre z powyżéj podanych cyfr. Węgla wielkich zapasów, na długo wystarczyć mogących, robić nie można. Bezrobocie podobne, trwające tylko z jakie sześć tygodni, a na to pieniądze nie trudno byłoby znaleść, oddziałałyby paraliżująco na wojenne zamiary. Socyaliści wogóle są przeciwnikami wojny i militaryzmu, wyznają to otwarcie i publicznie. Mówili o tém wiele na niedawno odbytym międzynarodowym kongresie w Brukselli. Socyaliści niemieccy wprawdzie głoszą, że są patryotami, że ojczyzny swéj bronić będą do ostatniéj kropli krwi, gdyby została napadnięta, ale w programie swym, który był rozbierany w zeszłym miesiącu w Erfurcie, stawiają żądanie, by wojna zależała od wyroku ludu, występują z potępieniem militaryzmu i chcą, by armie stałe zastąpione były przez system milicyi, na wzór amerykański i szwajcarski. Przedewszystkiém ich naczelnicy głoszą, że wojnę zaczepną Niemiec przeciw Francyi, uważać należy za zbrodnię przeciw człowieczeństwu. Tak samo socyaliści francuscy odzywają się o wojnie zaczepnéj, którąby Francya wypowiedziała. Nigdzie zaś pono niebezpieczeństwo wojny nie było tak groźném, jak za Renem. Siły socyalistów niemieckich, oraz ich organicyę, czytelnicy nasi znają z dawniejszych artykułów. Siły te rosnąć dotąd nie przestają. Jeżeli się rzeczy nie zmienią, za jaki lat dziesiątek, polityka międzynarodowa mocarstw zachodnich, zwłaszcza Niemiec i Francyi, może będzie potrzebowała bardzo się liczyć z tym żywiołem. Już dziś armia, jeżeli zwłaszcza do niéj dodamy landszturm, ogarnia połowę zdolnéj do pracy ludności męskiéj, może bowiem dla celów wojennych powołać wszystkich mężczyzn zdrowych od 18 do 40 lub 45-go roku życia, i z tego socyaliści niemieccy bardzo w swych mowach i pismach korzystają. Lat temu cztery sprawy te jeszcze tak nie stały, jak dziś, pomimo to Schaeffle napisał swoje „Nie ma wojny.“ Mniéj gorąco, nie tak natarczywie, ale za to z większém prawdopodobieństwem, można obecnie powiedzieć: wojna dziś z każdym rokiem staje się trudniejsza, tak trudna, że przy utrzymaniu dzisiejszych międzynarodowych, czy międzypaństwowych związków i stosunków, staje się prawie niemożebną. Gdyby się jednak owe stosunki w pewnym danym kierunku zmieniły, to, pomimo wszystkich trudności, stałaby się ona na nowo przypuszczalną.

J. Kenig.





HERMAN HELMHOLTZ.

Pomimo że epoka, w któréj żyjemy, słusznie rościć może pretensye do nazwy epoki nauk przyrodniczych, to jednakże w szerokich kołach ogółu brak jeszcze w wysokim stopniu takiego zrozumienia doniosłości badań nad przyrodą, jakiém cieszą się inne dziedziny współczesnéj pracy umysłowej. „W tych ostatnich — powiada Helmholtz — przykuwa nas do siebie człowiek w najrozmaitszych kierunkach swéj działalności duchowéj. Każdy wielki czyn, o którym opowiada nam historya, każda potężna namiętność, którą sztuka odtwarza, każdy opis obyczajów, urządzeń państwowych, urabiania się narodów dalekich krajów, lub dawno minionych czasów — wszystko to porywa nas i interesuje. Znajdujemy w tém zawsze momenty, które powiązać i porównać możemy z własnemi naszemi wyobrażeniami i uczuciami; poznajemy przytém utajone zdolności i popędy własnéj naszéj duszy, które w zwykłym, spokojnym przebiegu życia pozostają uśpione. Trzeba przyznać, że rezultaty badań przyrodniczych nie wzbudzają takiego rodzaju zainteresowania.“

Słowa te jednego z największych olbrzymów wiedzy, bezwątpienia tłómaczą przyczyny owego na pierwszy rzut oka osobliwego zjawiska, lecz może nieco jednostronnie. Pomyślmy tylko, że nauki przyrodnicze w obecnéj fazie swego rozwoju, uwolnione z krępujących je więzów bezpłodnego, apryorystycznego filozofowania, kroczące po szerokich, jasno wytkniętych gościńcach, świadome swych celów i walczące przy pomocy doskonale poznanego i wypróbowanego oręża, że nauki przyrodnicze, tak jak dziś są pojmowane, mają za sobą ledwie kilka dziesiątków lat istnienia. A pomimo wysławianéj i właśnie

przez nauki przyrodnicze przedewszystkiém zrozumianéj jedności zjawisk we wszechświecie, trzeźwe poglądy na tę jedność zjawisk i wynikającą stąd jedność wszech nauk niedość głęboko jeszcze zapuściły korzenie w umysłach spółczesnych. I jeszcze jedno. W dziejach wiedzy szybko następują po sobie okresy wielkiego zapału i względnego spokoju. Musimy zaś przyznać, że od jakich dwu dziesiątków lat przez naukę o przyrodzie nie przebiegła żadna wielka fala, która siłą swą porwaćby mogła wszystkie myślące głowy. Nieśmiertelni ojcowie nowoczesnéj wiedzy przyrodniczéj tyle następcom swym wskazali zadań, tyle zdrowych i płodnych rzucili ziarn na nową niwę badań, że przez długie lata trwać musi praca zbierania po nich owoców i spożytkowywania ich na korzyść myśli ludzkiéj. Lecz bezwątpienia w dziejach nauki zaświta znów nie mniéj jasny dzień, niż ten, który widział prace Galileuszów i Darwinów, a wówczas w promieniach nowego słońca prawdy kąpać się będą wszyscy bez wyjątku. Bo nierozwiązanych zadań, wysokich celów naukowych pozostała moc nieprzebrana, a duch ludzki nigdy nie wyrzecze się swych podniosłych wzlotów i nic go nie powstrzyma w zwycięskim na téj drodze pochodzie. Tymczasem wszakże nie powinna odstraszać obojętność mas wielkich, raczéj ze wszystkich sił starać się należy przygotowywać je do tych wielkich wydarzeń, które je czekają; badacz ani na chwilę nie ma prawa ustawać w pracy nad użyznianiem gruntu, od którego oczekiwać winien współczucia dla tryumfów myśli ludzkiéj i współdziałania w jéj pochodzie bez końca.

Gdy nadarza się sposobność rzadka uczczenia pracy naukowéj człowieka, którego na wszystkich krańcach cywilizowanego świata nie wahają się dziś sławić, jako najpotężniejszego uczonego współczesnego, myśli powyższe z rozmaitych nasuwają się powodów. Przedewszystkiém sądzę, że nienajgorszą metodą pedagogiczną jest przed stawiać postępy wiedzy w związku z życiem tych, którzy do postępów tych najdzielniéj pomogli. Z drugiéj wszakże strony jubilat tegoroczny, Herman Helmholtz, będąc głębokim i najwielostronniejszym z uczonych naszego stulecia, zarazem żywym jest przykładem pojmowania doniosłości szerzenia wiedzy. Wreszcie każdy, kto zabiera się do opisywania zasług właśnie tego męża, widzi przed sobą niezmierne trudności w sprostaniu swemu zadaniu. W Helmholtzu bowiem zespoliło się kilku naraz uczonych; a dla zupełnego zrozumienia i ocenia tego, czém Helmholtz naukę obdarzył, należałoby jednocześnie być fizykiem i fizyologiem, matematykiem, psychologiem i filozofem. Biografa takiego trudno dziś znaleść wobec niebywałego dotąd rozrostu wiedzy i rozpadnięcia się jéj na poszczególne części. Mimo to wszak-

że należy się postarać wyznaczyć największe zasługi Helmholtza, a wobec wspomnianych trudności pozostaje tylko liczyć na pobłażanie tych, którzy trudności te pojmują.

* * *

Dnia 31 sierpnia obchodził Helmholtz siedmdziesiątą rocznicę urodzin. Dnia 2 listopada mija lat 49 od czasu, kiedy otrzymał stopień doktora medycyny. Na ten téż dzień w roku bieżącym liczni przyjaciele, uczniowie i wielbiciele jego przygotowują w Berlinie uroczystość i ustanawiają na przyszłość nagrodę w postaci medalu, który w pewnych okresach czasu ma być udzielany temu, co w dziedzinach przez Helmholtza uprawianych największe położy dla nauki zasługi.

Urodzony w Potsdamie, po ukończeniu tamże gimnazyum, wstąpił Helmholtz w Berlinie do instytutu lekarsko-chirurgicznego Fryderyka Wilhelma. Jakkolwiek bowiem skłonności jego umysłu ciągnęły go w stronę badań fizycznych, to jednakże wobec skąpych środków materyalnych winien był oddać się medycynie, studyować na koszt państwa, za co w następstwie winien był lat ośm odsłużyć, jako lekarz wojskowy. Mając lat 20, zachorował na tyfus i wakacye jesienne przeleżał w szpitalu; że zaś tutaj żywiony był i pielęgnowany darmo, mógł przeto za zaoszczędzoną przez ten czas małą sumkę kupić mikroskop, który podówczas rzadkim był jeszcze przyrządem w rękach studyujących. W r. 1842-im napisał rozprawę doktorską p. t. „*De fabrica systematis nervosi evertebratorum*“ („O budowie układu nerwowego zwierząt bezkręgowych“), pracę czysto anatonomicznéj treści, która wprawdzie niknie wobec prac jego następnych, lecz bądźcobądź zawiera ważne na owe czasy odkrycie, mianowicie wykazuje związek pomiędzy komórkami węzłów (*ganglia*) nerwowych a włóknami nerwów.

Jako chirurg korpusu czerwonych huzarów, dwudziestoletni Helmholtz, mało przez kogo znany, szuka możności wydrukowania rozprawy naukowéj o zachowaniu siły. Lecz wśród ówczesnéj generacyi uczonych rozprawa ta nie znalazła na razie dobrego przyjęcia. Znakomity fizyk Poggendorff nie chciał jéj przyjąć do swoich „*Annalen der Physik*“. Dove oświadczył, że nic w niéj nie ma nowego, inni zachowali się zupełnie obojętnie, a podobno był i taki, który wprost orzekł, że to „śmiecie.“ Jeden tylko, wielki matematyk Jacobi zainteresował się tą pracą prawdziwie, a dzięki znanemu już podówczas dobrze Du Bois-Reymondowi, który zalecił ją księgarzowi (Reimerowi), została ona wreszcie na świat wydana.

Niedługo po ukazaniu się téj pracy zwrócono uwagę powszechną na uczonego. Aleksander Humboldt na skutek prośby Du Bois-Reymonda wstawił się za Helmholtzem u króla i wyjednał dla niego uwolnienie od wysłużenia całych ośmiu lat w wojsku. Zrobiono go lekarzem asystentem w szpitalu *Charité* i powierzono mu wykłady anatomii dla artystów. W roku 1849-ym Brücke opuścił profesurę fizyologii w Królewcu i wskazał Helmholtza, jako swego następcę. Tutaj prócz fizyologii obowiązany był Helmholtz także wykładać ogólną patologię. W r. 1855 powołany został do Bonn, w r. 1859 udał się do Heidelberga, gdzie już tylko fizyologię miał do wykładania, w roku 1871-ym wreszcie, po śmierci fizyka Magnusa, obejmuje katedrę fizyki i kierownictwo instytutu fizycznego w uniwersytecie berlińskim. Dnia 1 kwietnia 1888 r. zarząd instytutem fizycznym zamienił Helmholtz na dyrekcyą założonego właśnie fizyczno-technicznego zakładu państwowego, pozostając wszakże nadal profesorem uniwersytetu i wykładając fizykę teoretyczną.

Przez ciąg ostatnich lat pięćdziesięciu nietylko że nie zawiódł Helmholtz nadziei, jakie pokładano w nim po należytém ocenieniu pierwszéj wiekopomnéj pracy o zachowaniu siły, lecz w każdéj dziedzinie, któréj się dotknął, tak wielkie zyskał zasługi, tak pewne założył podwaliny istotnéj, rzetelnéj nauki, że mógłby pracami swemi kilku obdzielić uczonych i każdemu zosobna zapewniłby na zawsze w dziejach wiedzy trwały pomik.

* *
*

Prace naukowe Helmholtza, ogłoszone w czasopismach i broszurach aż do roku 1881-go, zebrane zostały późniéj w dwu wielkich tomach i uporządkowane są tu nie chronologicznie, lecz według przedmiotów, które traktują. Dość przytoczyć tytuły poszczególnych działów w tych dwu tomach, aby dać pojęcie o wielostronności umysłu ich autora. Tytuły te brzmią: „Przyczynki do nauki o energii“ (*Zur Lehre von der Energie*), „Hydrodynamika“, „Ruchy dźwiękowe“ (*Schallbewegung*), „Elektrodynamika“, „Galwanizm“, „Fizykalna optyka“, „Fizyologiczna optyka“, „Fizyologiczna akustyka“, „Teorya poznania“, „Fizyologia“. Prócz tego w roku 1862-im ukazało się dzieło „*Die Lehre von den Tonempfindungen*“, a w roku 1856 — 66 „*Handbuch der physiologischen Optik*“. Oddzielne dwa tomy p. t. „*Vorträge und Reden*“ wypełnione są odczytami i wykładami publicznemi Helmohltza. Od roku zaś 1881-go przybyła jeszcze duża liczba prac z ogólnéj mechaniki, teoryi ciepła i meteorologii.

Prawo zachowania siły, lub, jak je dziś ogólnie nazywać zwykliśmy, prawo zachowania energii — pojmując pod energią wszelką zdolność do wykonywania mechanicznéj pracy — stanowi jeden z najsilniejszych fundamentów wiedzy. Orzeka ono, że nie ma siły, któraby w naturze ginęła. Uderzam młotem w kowadło dzięki sile ramienia; siła ta nie ginie z chwilą, gdy młot opuściłem, zamieniła się ona na ciepło i rozgrzała żelazo. Słońce wysyła w przestrzeń ciepło promieniste, które, padając w pewnéj części na ziemię, przeobraża się w ruch mechaniczny i chemiczny. Tą siłą słońca, przy pośrednictwie ruchów powietrza, poruszamy wiatraki i żaglowce, ta sama siła produkuje w roślinie żywą materyą, wykonywając zmiany chemiczne, wytwarzając mączkę z części składowych powietrza. Elektryczność przekształca się w światło, światło w ciepło, ciepło w pracę mechaniczną. Wszystkie rodzaje energii mogą się w ściśle określonych ilościach wzajemnie zrównoważać, jeden rodzaj energii zamieniony być może na inny, lecz nie zauważono nigdy, ażeby choć najdrobniejsza ilość energii kiedykolwiek została zniszczoną, podobnie jak nie jesteśmy w stanie stworzyć ani najmniejszéj ilości siły. Energia jest wieczną, niezniszczalną; wszelkie siły są rozmaitemi tylko objawami jednéj jedynéj wszechenergii.

Juliusz Robert Mayer, lekarz w Heilbronnie, już w r. 1842-im w rozprawie p. t. „*Ueber die Kräfte der unbelebten Natur*“ obliczył równoważność ciepła i mechanicznéj pracy. Około tego też czasu fizyk angielski James Prescott Joule wykonał kilka zasadniczych doświadczeń, które pozwoliły mu określić z większą, niż to uczynił Mayer, dokładnością t. zw. mechaniczny równoważnik ciepła. Nie przecząc wcale wielkich zasług tych dwu badaczów, dziś zgadzają się wszyscy na to, że w pracy Helmholtza (1847 r.) prawo zachowania energii po raz pierwszy jasno i ściśle było sformułowane. Helmholtz nie poprzestaje tu na rozpatrywaniu stosunku, zachodzącego pomiędzy ciepłem a pracą mechaniczną, lecz uogólnia wysnute prawo, obejmując niém cały świat zjawisk fizycznych. Najbieglejszy znawca dziejów wiedzy nie wskaże chyba dokładnie, kiedy rozpoczęły się domysły, że w nieskończonéj różnorodności zjawisk prócz materyi istnieje coś jeszcze niepochwytnego, niemateryalnego, co obdarzano już to nazwą ilości ruchu, już też siły, a co musi być trwałe, wieczne, co nie może być ani stworzone, ani zniweczone. W tym chaosie dociekań i niejasnych poglądów, Helmholtz pierwszy rozgraniczył zjawiska, wprowadził ściste pojęcia, wskazał stałe stosunki wzajemne. Zasada zachowania energii pozwoliła naraz objąć wzrokiem wspaniałe obrazy przeszłości i przyszłości naszego układu planetarnego, a stosowana

w badaniu poszczególnych zjawisk otaczającego nas świata wykazała swą płodność i niewzruszoność.

„Pomyślmy o układzie ciał przyrody, znajdujących się względem siebie w pewnych stosunkach przestrzeniowych i poruszających się pod wpływem właściwych im wzajemnie sił, aż do chwili gdy dojdą do oznaczonych innych położeń, w takim razie możemy nabyte przez te ciała prędkości pojmować jako pewną mechaniczną pracę i także na pracę tę zamienić. Otóż gdy te same siły chcemy po raz drugi wprawić w działanie, aby znów tę samę otrzymać pracę, wówczas musimy owe ciała w jakikolwiek sposób znów do pierwotnych sprowadzić warunków, posługując się innemi siłami, któremi rozporządzamy; w tym celu zużyjemy więc pewną ilość pracy tych ostatnich.

„W wypadku, o którym mowa, zasada nasza wymaga, ażeby ilość pracy, którą otrzymujemy, gdy ciała naszego układu z pierwotnego położenia przechodzą do drugiego, a która ginie, gdy przechodzą one z drugiego do pierwszego, była zawsze jednakową, niezależnie od tego, w jaki sposób, po jakiéj drodze i z jaką szybkością przemiana ta się odbywa. Gdyby bowiem na któréjkolwiek drodze ta praca była większą niż w innéj, bylibyśmy w stanie w ten sposób zyskiwać siłę mechaniczną, zbudować byśmy mogli *perpetuum mobile*, które nietylko samo utrzymywałoby się w ruchu, lecz nadto byłoby w stanie oddawać siłę na zewnątrz“.

W pracy o zachowaniu siły w powyższych słowach streszcza niejako Helmholtz samą zasadę, a po rozpatrzeniu czysto mechanicznych zjawisk, stosuje ją do zjawisk ciepła, elektryczności, magnetyzmu i elektromagnetyzmu, w końcu zaś ogólnie jeszcze przedstawia zjawiska świata organicznego w świetle téj nowéj prawdy. Zasada, szeroko rozwinięta, matematycznie uzasadniona i dowodami z rozległego świata zjawisk poparta w owéj rozprawie Helmholtza, nie napotkała przez lat 44 ani jednego zarzutu; nikt dotąd nie stworzył i nigdy nie stworzy *perpetuum mobile*. Cała fizyka składa się ze świadectw przemawiających za słusznością poglądów Helmholtza, wygłoszonych prawie pół wieku temu.

Pracę swą o zachowaniu energii wyłożył Helmholtz w lipcu 1847 r. na posiedzeniu towarzystwa fizycznego w Berlinie. Towarzystwo to założone dwa lata przedtém przez ówczesnych młodych przedstawicieli wiedzy, a istniejące do dnia dzisiejszego, liczyło podówczas w szeregu swych członków ludzi takich jak: Emil Du Bois-Reymond, Ernest Brücke, Herman Helmholtz, Karol Ludwig, Werner Siemens. Tego samego roku fizyolog Brücke odczytał na posiedzeniu rozprawę o świeceniu oka ludzkiego. Wykazał on, że gdy

przez źrenicę żywego oka prześlemy światło, można je dostrzedz odbite od siatkówki. W tém odbitém świetle siatkówka ukazuje się świecącą czerwono. W doświadczeniu wszakże Brückego wyraźnie saméj siatkówki dostrzedz nie było można. Do owego czasu sądzono. że wnętrze żywego oka jest niedostępne rozglądaniu. Wogóle o własnościach fizycznych oka nie zapełnie dokładne miano pojęcie, anatomię oka zbudowano według spostrzeżeń na martwym organie i znano lepiéj tylko łamliwość światła w rogówce i soczewce oka.

Lecz oto w 1851 r. Helmholtz zwraca się ku temu przedmiotowi. Dobrze obeznany z prawami optyki, wychodzi z zasady, że gdy promień światła pada prostopadle na załamującą powierzchnię, musi tą samą drogą powrócić, jaką w pierwszym kierunku przebiegł. Jeśli przeto obserwator chce coś widzieć we wnętrzu oka innéj osoby, musi koniecznie wysłać światło z własnego oka do oka badanego. Lecz stoją temu na przeszkodzie zewnętrzne trudności, które Helmholtz pokonywa w niezmiernie pomysłowy sposób: z boku swéj głowy ustawia lampę, chroniąc się zasłoną od jéj promieni, a pomiędzy sobą a badaném okiem umieszcza małą tarczę szklaną, nachyloną ukośnie ku przodowi i zarazem ku lampie, tak, że sam może przez tarczę widzieć badane oko, a jednocześnie wskutek nachylenia, przednia płaszczyzna tarczy odbija światło lampy, wysyłając promienie do badanego oka. Odbite promienie powracają tą samą drogą przez tarczę i dochodzą do oka badacza. Tym sposobem dojrzal Helmholtz wnętrze oka, lecz na razie nie otrzymał wyraźnych obrazów. Dopiéro przez umieszczenie odpowiednich soczewek i skombinowanie ich z tarczą i lampą zbudował przyrząd, zwany zwierciadłem ocznem (oftalmoskop), który pozwolił mu osiągnąć zamierzony cel i który dziś w uproszczonéj formie stanowi przyrząd niezbędny przy badaniu i leczeniu chorób oczu.

Nie trzeba chyba rozwodzić się nad tém, jakie skutki pociągnęło za sobą w oftalmologii zbudowanie zwierciadła ocznego. Naraz pozyskano możność zbadania własności zdrowego, normalnego oka i przekonywania się w każdym poszczególnym wypadku, na czém polegają chorobliwe zboczenia tego tak drogiego człowiekowi organu. „Wynalazek oftalmoskopu jest, jak szczepienie ospy, antyseptyczne leczenie ran, sterylizowanie pokarmu dla dzieci, jednym z owych wielkich darów, które nie odebrane nikomu, na korzyść wszystkich ludzi są przeznaczone; jest jednym z owych postępów, które bezwarunkowo w równéj mierze przez całą ludzkość są uznawane i które utrzymują w nas wiarę, że wogóle postęp istnieje“.

W tym darze, złożonym ludzkości, staje się Hemlholtz ogólnie

zrozumiałym. Gdyby nic nad to nie stworzył w swém życiu, wystarczyłoby to do zapewnienia mu sławy na wszystkie czasy.

Lecz jakże dalecy jeszcze jesteśmy od wyczerpania tu wszystkich zasług tego męża. Jeżeli mowy być nie może o tém, aby w tym szkicu przedstawić doniosłość wszystkich jego prac, to jednakże starać się musimy, by nie pominąć najwybitniejszych momentów jego działalności naukowéj. Lecz i w tém trudności mieszczą się niezwykłe, bo czegokolwiek Helmholtz dotknął się w swych pracach, natychmiast stawał się badaczem fundamentalnym, już to stwarzając całe dziedziny nauki, już też w dziedzinach dawno opracowywanych, zakładając nowe kamienie węgielne i wyznaczając na długie lata kierunek pracom swych następców. A słusznie jeden z jego biografów stosuje doń słowa: „*und wo er's packt, da ist's interessant*“.

Znakomity fizyolog Jan Müller, nauczyciel Helmholtza, w swym podręczniku fizyologii, mówiąc o mechanice nerwów, powiada: „Żadna z prób podjętych w celu mierzenia szybkości działania nerwów, nie opiéra się na doświadczalnie pewnéj podstawie... Zapewne téż nigdy nie zdobędziemy sposobu wyznaczenia szybkości działania nerwów, gdyż nie jesteśmy w stanie porównywać owych olbrzymich odległości, z jakich można było obliczyć szybkość działania światła, analogiczną w tym względzie ze zjawiskami zachodzącemi w nerwach“. W saméj rzeczy, ogólném było mniemanie, że szybkość, z jaką zachodzą zjawiska nerwowe, jest olbrzymią. I Du Bois-Reymond podzielał w części zdanie J. Müllera. Lecz o to w roku 1850 i 1852 ukazują się dwie prace Helmholtza, w których obok innych ważnych wyników z zakresu fizyologii mięśni i nerwów, znajduje się rezultat, który w zdumienie wprawił najśmielszych badaczów. Helmholtz określa tu szybkość, z jaką podrażnienie przebiega w nerwach ruchowych, mierzy czas upływający od pobudzenia nerwu żaby do chwili drgnięcia odpowiedniego mięśnia; znajduje nadto, że szybkość ta bynajmniéj nie jest tak znaczna, jak sądzono, że nawet porównaną być nie może z szybkością światła; wynosi bowiem zaledwie trzydzieści kilka metrów na sekundę. Doświadczenia, które w ten sposób pierwszy wskazał Helmholtz, a w których występuje on jako prawdziwy mistrz sztuki doświadczalnéj, prowadzono następnie daléj w najrozmaitszych warunkach. Szybkość, z jaką wzdłuż nerwów biegną rozmaite bodźce, jest zmienna w dość szerokich granicach, jak się daléj okazało, lecz zawsze pozostaje stosunkowo nieznaczną. Udało się zbadać téż tę szybkość na żywym człowieku; wynosi tutaj około 60 metrów na sekundę. A zatém upływa pewien czas, doskonale dający się zmierzyć, od chwili kiedy zacinamy sobie nogę

do chwili kiedy noga drgnie z bólu; obadwa zjawiska — zacięcia i drgania—nie zachodzą jednocześnie, jak się to zwykle zdaje. Drgnięcie mięśnia nogi w tym razie nastąpi dopiéro po $^1/_{20}$ sekundy, tyle bowiem czasu upłynąć musi, nim z mózgu odpowiedni „rozkaz“ przebiegnie przez nerw ruchowy do mięśnia nogi.

Helmholtz nie zadawalnia się rozstrzygnięciem jednego ważnego pytania w obranym zakresie badań, lecz przy zaborczym kierunku swego umysłu powoływa do życia całe obszary wiedzy, rozgałęziając coraz bardziéj swe pierwsze studya. Dowodem tego są jego optyka fizyologiczna i akustyka fizyologiczna. Łącząc w sobie głęboką wiedzę matematyczną, daleko sięgający wzrok fizyka i fizyologa, doskonałą sztukę eksperymentatora, szeroki pogląd filozoficzny oraz zmysł estetyka, opracowuje Helmholtz działy optyki i akustyki tak sumiennie i wielostronnie, że niemal przekształca je zupełnie, wydając dzieła, które stały się nierozłącznymi towarzyszami wszystkich pracowników na tych polach. Obowiązek, jaki sobie za cel postawił „wybadać lub uzasadnić wszystkie istotne punkty przez własne spostrzeżenia i doświadczenia“, wypełnia Helmholtz znakomicie w tych dwu dziełach. Optykę fizyologiczną w obecnym jéj stanie głównie on do życia powołał, w nauce zaś „o wrażeniach dźwiękowych“ najistotniejsze fundamenty założył.

„W świadomości naszéj znajduje się wewnętrzny, duchowy świat wyobrażeń i pojęć; po za świadomością rozpościéra się obcy nam, zimny świat istotnych rzeczy. Pomiędzy zaś obiedwiema temi krainami, jako wąski pas graniczny, ciągnie się pole wrażeń zmysłowych. Wymiana pomiędzy obudwoma światami możliwa jest jedynie tylko przy pośrednictwie tego właśnie pasa; nie możemy żadnéj dostrzedz zmiany w świecie zewnętrznym, jeśli nie działa ona na organ zmysłu, zapożyczając szatę i barwę tego zmysłu; nie możemy sobie w świecie zewnętrznym wyobrazić żadnych przyczyn zmiany naszych uczuć, jeśli nie obdarzymy ich atrybutami zmysłowemi. Wszelkie przeto zrozumienie świata i wewnętrznéj naszéj istoty wymaga nieodzownie, abyśmy doskonale poznali ów pas graniczny, moglibyśmy, bowiem w przeciwnym razie to, co doń należy, poczytywać za właściwość tego lub owego z dwóch oddzielanych przezeń światów. Kiedy Helmholtz wstąpił w tę dziedzinę badań, nie była ona, co prawda, zupełnie nieuprawianą, lecz źle z obydwu stron odgraniczoną, bujnie zarosłą błędnemi pojęciami, a najżyźniejsze jéj łany leżały odłogiem. Opuszczając zaś ją, pozostawiając ściśle wytknięte granice, w części zamieniając ją na kwitnący ogród“.

Odwieczną zagadkę o istocie współdźwięku (*consonans*) i roz-

dźwięku (*dyssonans*), o ile dostępną jest ona wogóle naszemu umysłowi, wyjaśnił Helmholtz, analizując ją za pomocą długiego szeregu teoretycznych i doświadczalnych badań; na inne zaś pytania, od dawien dawna zajmujące akustykę — jak np. co na zewnątrz nas odpowiada tonowi muzycznemu, barwie dźwięku, śpiewowi ludzkiemu, brzmieniom mowy — dał wyjaśnienie tak dokładne, że podstawy, na jakich opiérają się odnośne badania tego uczonego, pozostały niezachwiane i kierują wszelkiemi rozważaniami współczesnego fizyka i muzyka.

Wysokość tonu zależy od liczby drgań, jaką dźwięczące ciało wykonywa w sekundę; siła tonu zależy od amplitudy drgań, t. j. od wielkości przestrzeni, na jaką drgająca cząstka oddala się od położenia równowagi. Gdy wszakże jeden i ten sam ton z jednakową siłą z rozmaitych pochodzi instrumentów, ucho nasze doskonale odróżnia otrzymane za każdym razem wrażenia. Któż się pomyli w odróżnieniu tonu fortepianu od dźwięku głosu ludzkiego, piszczałki od dętego instrumentu? Helmholtz dowiódł doświadczalnie, że te rozmaite jakości tonów, które nazywamy barwą ich dźwięku, têm są fizycznie uwarunkowane, że obok tonu zasadniczego, oznaczającego wysokość, jednocześnie odzywa się zawsze szereg t. zw. nadtonów (*Obertöne*). Nie ma muzycznego tonu bez nadtonów, liczba zaś tych ostatnich i ich siła, składa się na charakter tonu zasadniczego. Posługując się rezonatorami, t. j. odgraniczonemi objętościami powietrza, nastrojonemi na określone tony, udało się Helmholtzowi zanalizować barwę instrumentów, wyróżnić słuchem rozmaite nadtony. Tą drogą także doszedł Helmholtz do zbadania istoty samogłosek mowy ludzkiéj, a zanalizowawszy je, potrafił przez sztuczne złożenie odpowiednich tonów zasadniczych z nadtonami znów otrzymać dźwięki ludzkiéj mowy.

W komórkach t. zw. organu Cortiego w uchu ludzkiém poznał Helmholtz owe elementy, które połączone będąc z włóknami nerwu słuchowego i nastrojone na poszczególne tony, zostają wprawione w drgania przy pośrednictwie błony bębenkowéj i kosteczek usznych, gdy zewnątrz odpowiednie do wysokości ich tonu drganie ciała dźwięczącego zachodzi. Można powiedziéć, że cała praca nad wrażeniami dźwiękowemi, jest jedynie konsekwentném przeprowadzeniem jednego twierdzenia Szymona Ohma, mianowicie, że ucho istotnie przejmuje tylko proste, pojedyncze drgania, a wszystkie dźwięki złożone rozkłada na proste. Zdanie to wszakże w opracowaniu Helmholtza do tak dalekich doprowadziło wniosków, tyle w wysnutych zeń badaniach objaśniło niezrozumiałych przedtém zjawisk, że pozwoliło stworzyć

cały dział wiedzy, odrazu przez Helmholtza doprowadzony do wyżyn ścisłego matematycznego wykładu.

Zrozumiałém jest, że umysł taki, jak Helmholtza, nie mógł zatrzymać się w tych pracach na fizycznêm wyłącznie tłómaczeniu faktów. Nie dość mu było wskazać, w jaki sposób powstają wrażenia słuchowe i wzrokowe, lecz sięgnął on daléj, aby zrozumiéć, jak te wrażenia stają się wyobrażeniami, jak przerabiają się na fakty naszéj świadomości, jak składają się na treść naszego wewnętrznego świata. Tak więc widzimy go na polu badań filozoficznych śród dociekań nad źródłami myśli. Wychodzi on z założeń nauki Kanta, powiadającéj, że nie dostrzegamy rzeczy samych w sobie, lecz przejmujemy tylko wrażenia doznawane przez zmysły nasze przy pośrednictwie czegoś bliżéj nieznanego. Helmholtz analizuje na téj podstawie wrażenia zmysłowe. „Wrażenie świetlne nie jest jeszcze widzeniem. Widzeniem staje się ono wówczas dopiéro, gdy za jego pośrednictwem dochodzimy do poznania przedmiotów świata zewnętrznego; widzenie polega przeto na zrozumieniu wrażenia świetlnego.“ I opierając swe rozumowanie zawsze na istotnych faktach, na ścisłych doświadczeniach, przyczyniając się tym sposobem do założenia podwalin dzisiejszéj psycho-fizyologii, odbiega w wielu punktach od Kanta, przypisuje ćwiczeniu i doświadczeniu to znaczenie, jakie filozofowie szkoły natywistycznéj upatrywali w przyrodzonych zdolnościach umysłu. Pozostaje on w zgodzie z idealistyczną filozofią, przyznając, że umysły nie dają nam odbicia świata zewnętrznego, lecz tylko znaki czegoś, co po za nami istnieje. Jedynie pewnemi są prawa, jakie w znakach tych odkrywamy. Nawet „przypuszczenie nasze o istnieniu świata zewnętrznego jest tylko hypotezą przyrodniczą, któréj nie potrafimy odróżnić od snu; lecz jest-to jedyna droga, która w sposób niezawodny i praktyczny informuje nas o têm, czego oczekiwać winniśmy, jedyna droga, z którą się liczymy, z któréj przyszłość wysnuć możemy.“ W swéj optyce fizyologicznéj broni Helmholtz twierdzenia empirystycznéj teoryi poznania: „wrażenia zmysłowe są dla świadomości naszéj znakami, których znaczenie pozostawionêm jest zrozumiéć umysłowi naszemu.“ I do dnia dzisiejszego teorya ta zwycięsko — rzec można — walczy z teoryami natywistów, którzy lokalizacyę wrażeń w polu widzenia wyprowadzają z przyrodzonego daru.

W szeregu rozmaitych naukowych, oraz mniéj lub więcéj popularnych wykładów, wyświetla Helmholtz swe stanowisko filozoficzne, i zwłaszcza także w poglądach na pojęcia o czasie i przestrzeni broni teoryi empirystycznéj.

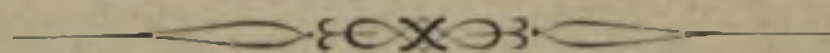
Każda, najmniejsza choćby praca Helmholtza, stanowićby mogła przedmiot obszerniejszego studyum. Lecz wielka prac tych liczba i różnorodność nie pozwala na znaczniejsze jeszcze rozszerzenie ram tego szkicu. W każdéj niemal pracy Helmholtz tak jest oryginalnym i samodzielnym badaczem, tyle wnosi do nauki nowych, płodnych myśli, że nie chciałoby się żadnéj pracy pominąć z obawy niedostatecznego ocenienia jego zasług. Dość będzie wszakże, gdy powiemy, że niezależnie od tego, iż opanował on tak wielkie obszary wiedzy, rzadko w jakiéj dziedzinie pracę zarzucił, nie zaszedłszy w niéj do możliwie dalekich szczegółów. Za charakterystyczny w tym względzie fakt posłużyć może drobna napozór okoliczność następująca: ze 40 lat temu ogłosił rozprawę, w któréj starał się oznaczyć, jakie substancye chemiczne tworzą się, a jakie znikają przy fizycznéj pracy mięśni. W rozprawie téj udało mu się tylko najogólniéj na pytanie to odpowiedzieć, a w następstwie już — jak widać z pism jego — pytania tego daléj nie poruszał. I nie dziw, żaden inny fizyolog dotychczas jeszcze znacznie dokładniéj na nie nie odpowiedział.

Badania czysto matematyczno-fizyczne, dotyczące hydrodynamiki, nauki o ruchach cieczy, traktujące o ruchach i kierowaniu balonów, o wewnętrzném tarciu cieczy, o rozmaitych zadaniach elektrodynamiki, daléj o ruchach wirowych, o termodynamice zjawisk chemicznych i t. d. stanowią — zdaniem specyalistów — prawdziwe perły w szeregu współczesnych prac z mechaniki i fizyki teoretycznéj.

* * *

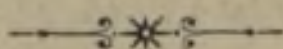
Uznanie, jakiém w całym czywilizowanym świecie cieszy się Helmholtz, najdosadniéj może widać z tego, że jest on jedynym dotychczas uczonym niemieckim, którego Francya obdarzyła wielkim krzyżem legii honorowéj. Gdy zaś w roku ubiegłym obecny był na uroczystości jubileuszowéj 600-lecia uniwersytetu w Montpellier, profesorowie francuscy wręczyli mu adres, w którym znajdują się słowa: „Znakomity Mistrzu, zebrani tu profesorowie fizyki składają Ci hołd, witając w Tobie wielkiego uczonego, któremu rzadka przypadła w udziale zasługa powiązania swego imienia z wszystkiemi wielkiemi teoryami wiedzy fizycznéj i fizyologicznéj.“

Maksymilian Flaum.





Z BELETRYSTYKI ZACHODU.



V.

(Jerzy Meredith i jego rola w powieściopisarstwie angielskiém).

Nieraz już w pogadankach o współczesném powieściopisarstwie angielskiém imię Jerzego Meredith'a, znalazło się pod naszém piórem. Gdy się wyraża ubolewanie, że powieść w Anglii, po upływie jakich lat kilkunastu po zgonie genialnych pisarzy, co ją wsławili, popadła w kądziel, wyrodziła się i skarłowaciała, to zawsze i nieuniknienie wyklucza się tego jednego pisarza z ujemnego sądu i stawia w zaszczytném odosobnieniu. Niepodobna istotnie wpisać go do żadnéj z grup i kategoryi, na które się beletrystyka angielska rozpada a każdy, nawet najpowierzchowniejszy czytelnik, po przeczytaniu choćby kilku stronic z pod jego pióra wyszłych, czuje, że ma tu z umysłem innego pokroju do czynienia. Zazwyczaj się zdarzało, niestety, że ów czytelnik, nie przywykły do czytania tego rodzaju powieści, nie zdolny do umysłowego wysiłku, lubujący się w utworach tego piśmiennictwa, które Carlyle tak obrazowo napiętnował nazwą *„pap and treacle fiction“*, nie zasmakował w piórze Meredith'a i odrzucając go na bok, przyznawał, żego nie rozumié. Kiedy tuzinkowe miernoty cieszą się wielką popularnością i pochłaniane są przez masy, ten powieściopisarz zostawał mało znany i ceniły go przez całe lat dziesiątki tylko umysły wyborowe.

Ale i dla niego nareszcie wybiła godzina sprawiedliwości. Nie podobna, ażeby w epoce wysokiéj kultury umysłowéj i wśród społeczeństwa tak wykształconego, tak rozmiłowanego w piśmiennictwie, jakiém jest angielskie, prawdziwa wielkość zduszona została pod kojcem. Gdy krytyka przez organy najznakomitszych swych przedsta-

wicieli nie przestawała utrzymywać, że w całéj beletrystyce współczesnéj nie można znaleść ani jednego pisarza, któregoby można z większą słusznością postawić obok Dickensa o demokratycznych tendencyach, obok Thackeray'a, nieporównanego satyryka, i obok George Eliota, najgłębszego z psychologów, to nakoniec nawoływanie to odniosło skutek i publiczność, ta która w ostatniéj instancyi rzuca laury zielone pod stopy tryumfatorów, zapaliła pochodnie na cześć Jerzego Meredith'a. Pierwszym owocem téj rozbudzonéj ciekawości było nowe wydanie wszystkich jego powieści w jednotomowéj formie: jest to w Anglii, gdzie pierwsza edycya ma zawsze obowiązkowe trzy tomy, niezaprzeczonym dowodem poczytności. Chapman i Hall, którzy tę popularną edycyę przedsięwzięli, nie mają powodu jéj żałować, gdyż kilka nakładów zostało w krótkim czasie rozchwytanych. Sukces nie ograniczył się na tych mnożących się wydaniach: trzy monografie krytyczne, poświęcone wyłącznie Meredith'owi, wyszły w ciągu dwóch lat ostatnich w oddzielnych tomach, z pod pióra p. Gilmana, p. R. le Gallienne i pani Greew. Oprócz tego w Ameryce wydano zbiór aforyzmów i maksym z powieści jego wyciągniętych: zaszczyt taki nie wielu pisarzom dostał się dotąd w udziale.

Reakcya na korzyść Meredith'a takie obecnie przybrała rozmiary, że po kilkakroć rozeszły się pogłoski, iż królowa, na przedstawienie pierwszego ministra lorda Salisbury, ma ofiarować mu godność baroneta, chcąc przez takie uszlachcenie udowodnić, że miejsce wielkiego pisarza jest pomiędzy wybrańcami narodu. Nawet gdyby się ta pogłoska nie sprawdziła, wystarcza już sama przez się za dowód wyjątkowego stanowiska, jakie głos ogólny przyznaje obecnie Jerzemu Meredith'owi.

Przez długi czas mało popularny wśród swego własnego społeczeństwa, Meredith, jak się samo przez się rozumié, mniéj jeszcze był znany po za jego obrębem. We Francyi dotąd przetłómaczono tylko jedną i to pośledniejszą jego powieść. U nas, nie wiemy, czy choćby jedna jest spolszczona. Nie zdaje się nam tedy od rzeczy podać tu o tym wysoce oryginalnym talencie szczegółowe sprawozdanie.

Biograficzne wiadomości, przy braku wszelkich publicznych funkcyi i obowiązków, ograniczają się do drobnéj liczby danych. Urodził się w Hampshire w 1828 roku, liczy zatém 63 rok życia. Rodzice odumarli go w dzieciństwie; posłany do szkół w Niemczech, zostawał tam do 15-go roku życia. Niektórzy krytycy przypisują niejasny i zawikłany styl jego temu wczesnemu wpływowi Niemców a pierwsze jego płody, fantastyczne powieści, jak *Shaving of Shagpat* i *Farina*, noszą niezaprzeczone ślady, naśladownictwa Jana Pawła

Richtera. Opiekun chciał mu narzucić zawód prawniczy, ale Meredith gdy doszedł do pełnoletności, odrazu stanowczo i raz na zawsze poświęcił się literaturze. Rzucił się do niéj z zapałem, a jakie były téj pracy wczesne owoce, dowodzi znakomita powieść „Próby Ryszarda Faverel“, którą napisał licząc 27 lat życia. Życie szło mu po grudzie, gdyż nie posiadał żadnego majątku, i nieraz głód cierpiéć mu przyszło. Wcześnie ożeniony był z córką humorysty angielskiego Tomasza Peacock a żona jego, słynna z piękności i dowcipu, odumarła go wcześnie. Druga żona dała mu dwoje dzieci i umarła także po bardzo krótkiém pożyciu. Od wielu lat mieszka George Meredith w powabnym domu wiejskim w Boxhill, niedaleko od Londynu, w miejscowości słynnéj ze swéj malowniczości. Chociaż zamożność rozsiadła się u jego ogniska oddawna, sam jest skromny, z konieczności tylko bierze udział w zabawach wielkiego świata, a nie przestaje pracować. Podróżował dużo, czas jakiś zamieszkiwał we Włoszech. Ten dowcip błyszczący i świetny, który jest cechą jego talentu, wyrobił się w osamotnieniu, rozmyślaniu i obcowaniu nieustanném z najznakomitszymi myślicielami wszystkich literatur. W rozmowie jest pełen ożywienia i barwistości, a sama wiadomość, że pewnego dnia obiaduje w londyńskim Garrick Club, sprowadza tam wszystkie znakomitości literackie i towarzyskie. Silnéj budowy, o pięknéj, wyrazistéj twarzy, ma już Meredith biały włos i wygląda zgnębiony wiekiem przedwcześnie.

Do téj zewnętrznéj fizyognomii należałoby dodać wewnętrzną, duchową. Ta jednak, jak Meredith nie przestaje powtarzać napastującym go obecnie reporterom, nie ma w sobie nic odrębnego od jego dzieł, i najlepszą część swéj osobistości, powiada, złożył w swych pracach. Publiczność nie ma prawa zresztą szukać jéj gdzieindziéj. Autor tylu dzieł kalejdoskopowéj rozmaitości, dotykających wszystkich stron życia, choćby dokładał wszelkich możliwych starań do utrzymania się w sferze bezinteresownéj neutralności, musi zawsze zdradzić swe wewnętrzne sympatye, swoje *Wahlverwandschaften*. Nie mamy powodu zapytywać do jakiego stronnictwa politycznego, do jakiego obozu Meredith należy, gdyż w całym zastępie powieściopisarzy niepodobna znaléść ani jednego, który rozglądając się w ustroju społecznym, nie poślubiłby sprawy ulepszeń, reform, postępu, zwiększonego światła, spotęgowanego dobrobytu wśród mas. Nawet Beniamin Disraeli ma demokratyczne zachcianki w swych politycznych powieściach. Ci co znają „*Beechamps Career*“ albo „*Rhoda Fleming*“, dwie powieści Mereditha, gdzie zagadnienia polityczne i stosunek wzajemny niższych klas społeczeństwa do wyższych są pośrednio do-

tknięte, nie będą wątpić, że nietylko całe ciepło jego serca, ale wszystkie siły jego umysłu są po stronie ludowéj.

Ale ani w tych kwestyach, ani w żadnych innych z dziedziny moralnéj, nie można oczekiwać od Meredith'a ani patetycznéj deklamacyi, ani ckliwego sentymentalizmu. Są to struny w jego gęśli nieznane, a nawet naturze jego wstrętne. Nastrój jego umysłowy jest satyryczny, a im głębiéj jest poruszony, im żywiéj czuje, tém dotkliwiéj kąsa, tém jawniéj się jego zmysł krytyczny uwidocznia. Nazywano go nieraz dawniéj, gdy go jeszcze nie rozumiano, cynikiem, tak samo, jak o cynizm oskarżano Thackeray'a, chociaż nikt cynizmu nie potępił jaskrawiéj, chociaż nikt nie posiada głębszéj od niego wiary w ludzkość, w pełnię życiowéj działalności. „*Sacred Reality*“, oto co jest w jego oczach najwyższą potęgą i najwyższym ideałem, i nie pozwala otumanić się żadnemi szumnobrzmiącemi frazesami, zdążając do osiągnięcia téj poważnéj całkowitéj rzeczywistości. Natura we wszystkich swych objawach, życie społeczne we wszystkich swych powikłanych węzłach pochłania jego zmysł spostrzegawczy i pozwala mu uważać wycieczki w inne dziedziny mytu, hypotezy, albo religijnego dogmatyzmu, za rzeczy, jeżeli nie zbyteczne, to przynajmniéj poboczne. W tém to znaczeniu nazwano go panteistą, i ów entuzyazm dla przyrody, który dźwięczy zawsze pod jego piórem, gdy pisze poezye, nie da się pogodzić z wyżéj wzmiankowanym zarzutem cynizmu.

Chociaż tylko o Meredith'ie powieściopisarzu mówimy obecnie, niepodobna przemilczéć, że jest on także poetą i to poetą wysoce kunsztownym. Jego zbiory „Balad i liryków“, „Radość ziemi“, „Miłość dzisiejsza“ i nakoniec „Czytanie ziemi“, są dobrze znane miłośnikom muzy angielskiéj. Jeżeli powiedziano o nim, że jako powieściopisarz, pisze jedynie dla swych braci po piórze, gdyż wielka publiczność nie jest dość wykształcona, aby w utworach jego smakować, to daleko sprawiedliwiéj da się zastosować to orzeczenie do jego poezyi, mówiąc, że pieśń jego może być zrozumiana jedynie przez poetów, czyli innemi słowy, przez wyborowe dusze. Że poeci, i to najpierwsi z poetów krajowych, uważają go za mistrza, wiadomém jest z oświadczeń Browninga, Tennysona i Swinburna. Gdy w roku 1862, jakiś podrzędny krytyk obsypał jego poemat „*Modern Love*“ gradem lekceważących pocisków, Swinburne napisał wymowną protestacyę, która nietylko o wysokiéj wartości Meredith'a, jako poety, ale jednocześnie o moralnéj zacności Swinburna świadczyć będzie przed potomnością. Inny poeta, estetyk i prerafaelista, Dante Gabryel Rosetti, nietylko malował go jako model do postaci Zbawiciela, ale pisał o nim, jak o duchu wybranym. Największe podobieństwo na-

stroju istnieje pomiędzy nim a Robertem Browningiem. U obudwu myśl głęboka a jędrna nie znajduje słowa dość posłusznego, dość giętkiego dla wypowiedzenia się w całości i forma nie posiada dość kryształowéj przezroczystości, aby można było ją sobie z łatwością przyswoić. Trzeba każdy jego sonet rozważać, rozbiérać i roztrząsać, a wtedy zajaśnieje jak brylant; samo się przez się rozumié, że przeciętna masa czytelników podobnéj pracy podejmywać nie myśli i że dla niéj złoty kruszec pokryty jest popiołem lawy.

Zamykamy ten nawias o poezyach Meredith'a, których rozbiór zaprowadziłby nas na inne całkiem pole. Uczyniliśmy poprostu wzmiankę o nich, aby ukazać w oddali nową stronę jego umysłu i podniosły ducha jego nastrój. Nie ma wątpienia, że gdy powieściopisarz, dojrzały, czuje potrzebę od czasu do czasu, dla wytchnienia, wziąć się do poezyi, poddać swą twórczą fantazyę pod rygor mowy wiązanéj, to nietylko forma jego powieści na tém obcowaniu z muzą zyskuje, ale i cała inostronna jego działalność piśmiennicza nosi następnie na sobie niezatarte ślady tego chrztu ponownego. Choćby już z tego jednego względu niepodobna Jerzego Meredith'a stawiać w téj saméj kategoryi, co mnóstwo fabrykantów powieściowych.

Stary, oklepany aksyomat, że styl to człowiek, nigdzie lepszego nie otrzymuje stwierdzenia, jak na Meredith'ie. Wystarcza przeczytać jedną stronicę jego prozy, ażeby spostrzedz, że się ma do czynienia z umysłem niezwykłéj oryginalności. Ogromnie oczytany, obznajmiony ze wszystkiemi zagadnieniami i prądami społecznemi, nie popisuje się swą wiedzą, a jeszcze mniéj erudycyą i stwierdza, że można mimo szkoły nie zatracić swéj indywidualności. Jest widocznie przeładowany treścią tego, co ma do powiedzenia, a obdarzony nadzwyczajną potęgą wyobraźni, znajdując się wobec natłoku porównań, analogii i metafor, chwyta je jedne po drugich, a nieraz kilka na raz. Chropowaty, często nieforemny, nieokiełznany frazes pędzi po krzemienistéj drodze i krzesze błyskawiczne ognie. Sypią się jak z rogu obfitości spostrzeżenia, maksymy, epigramaty. Czytelnik czuje się olśniony, ogłuszony temi fajerwerkami; nie ma chwili wytchnienia; umysł nasz musi być ciągle naprężony, aby te lakoniczne, pokiereszowane zdania zespolić, i wyciągnąć z nich mlecz pożywną. Gdy się do stylu tego przywykło, albo gdy się powraca do ustępów bardziéj uderzających, przestaje ta kunsztowność i ta nieustanna błyskawiczność razić, ale dla niewtajemniczonego w metodę autora, nie dziwota, że się ona męczącą staje i że się skarżą pospolicie czytelnicy na afektacyę, na brak prostoty. Ta biesiada z jaskółczych gniazd i truflowanych jarząbków złożona, nie do wszystkich przypada organizmów.

Jest niezaprzeczoną wadą Meredith'a, że ani na chwilę nie wyprzęga ze swego rydwanu. Ambrozya, bezwątpienia to przysmak bogów, ale i czysta woda kryniczna nie jest do pogardzenia.

Na warsztacie swoim kuje tedy Meredith bez ustanku frazesy błyszczące jak klejnoty, wypukłe, jak medale. Każdy z tych frazesów zaostrza się w satyryczny epigramat. Powiedziano o epigramatach, że zamykają one myśli zwyczajne, pospolite w formy zagadkowe, wyszukane i że brakuje im istotnéj wartości. Nie można powiedzieć, ażeby aforyzmy i maksymy, które on stworzył, były tak podrzędnéj natury. Przypominają one nieśmiertelne wzory ks. Larochefoucault, Pascala, a pomiędzy nowszymi Jouberta. Pomiędzy pisarzami angielskimi nie można pod tym względem znaleść dlań pierwowzoru, ani poprzednika. Sheridan i Addison, słynący z werwy i dowcipu, inną całkiem nadawali im formę. Dowcip taki, jaki posiada Meredith, nie jest szczepu angielskiego. Są w jego powieściach całe rozdziały, jak np. słynny obiad literacki w „*Diana of the Crossways*“, gdzie zdania i odpowiedzi, uwagi i wykrzykniki krzyżują się, jak uderzające o się miecze, gdzie paradoksy najmniejspodziewane wypowiadane są jak spowszedniałe oklepanki, gdzie wszyscy biorący udział w rozmowie posiadają dowcip Rivarola i Champfort'a a wykwintność Brumela. Autor jest zbyt szczodrobliwy dla swych bohaterów i nie ma ani jednéj jego powieści, gdzieby jedna z występujących w niéj osób nie miała zawsze kołczanu, najeżonego strzałami dowcipu. Nawet u francuskich pisarzy o taki przykład nie łatwo, a w każdym razie umieją oni tak mistrzowsko powieści swoje budować, że nie znać przeładowania pod tym względem. Anglicy, których *humour* jest daleko naturalniejszy, jowialniejszy, nie mogą się oswoić z taką wynarodowioną jego formą; jeden naiwny krytyk powiedział, że taki potwór dowcipu przestrasza i odstręcza.

W takiéj to skrzącéj i epigramatycznéj szacie stają powieści Meredith'a i jak z góry już przewidzieć można, nie są one anegdotami kilkotomowemi, ale psychologicznemi studyami charakterów. Całe usiłowanie autora zdąża do subtelnéj analizy organizmów duchowych. Nie fakta jako takie, ale ich wewnętrzne motywa, są przedmiotem jego badań. Bez żadnych apryorycznych uprzedzeń i teoretycznych okularów na nosie, autor staje przed obranemi przez się typami i postawiwszy je w danych okolicznościach i otoczeniu, maluje stopniowe przekształcenia i zmiany, jakim ich charaktery ulegają. Często obiera sobie bohatérów w pierwszych latach młodzieńczych i idzie w ślad za ich rozwojem aż do ostatecznéj krystalizacyi ich indywidualności. Nie ma drobiazgu, któryby pomijał, i dla tego studya jego nie są ze-

schłemi listkami w zielniku, ale organizmem drgającym życiem. Umysł jego nie posiada w sobie na szczęście ani źdźbła dogmatyzmu, a badania, spostrzeżenia nad charakterami nie mają żadnéj cechy pedagogicznéj. Przez swą niespodzianość wydają się nawet często igraszką subtelnego i paradoksalnego umysłu. Naturalnie, że pisarz, który tak całkowicie zerwał z konwencyonalizmem, musiał i pod względem rysowania swych postaci działających, zadrasnąć przyzwyczajenia i sympatye masy czytającéj. Nie ma u niego tych nieskazitelnych bohatérów, tych kobiét z piany morskiéj, nie zaś z krwi i ciała złożonych, w których się pospolici pisarze lubują i których typy narzucili płytkim czytelnikom. Popełniają oni błędy, ba nawet występki i podłości, nie przestając być sympatycznymi, gdy ich takimi chce miéć autor; zawód ich życiowy, nie zawsze dla zadowolenia sentymentalizmu kończy się szczęśliwém małżeństwem. Łatwo zrozumiéć, że takie nieuwzględnienie formularza powieściowego wystarczyło do odstręczenia odeń wielu tych, co powieść czytają jedynie dla jéj zajmującéj osnowy. Ale dla tych, co przy jéj pomocy chcą wniknąć w tajniki ludzkiéj natury, zbadać człowieka działającego wpośród społeczeństwa i zrozumiéć wzajemne na siebie wpływy osobnika i towarzystwa, nic bardziéj interesującego, bardziéj pouczającego, jak powieści Mereditha, tém bardziéj, że jak powiedziane było wyżéj, ich forma zewnętrzna, sama przez się, ma wysoką artystyczną wartość.

John Lane ogłosił przed kilku miesiącami dokładną bibliografią prac Jerzego Meredith'a. Nic łatwiejszego jak po jéj nici iść w ślad za twórczością jego, ale nawet przy pomocy tych chronologicznych wskazówek nie można zdać sobie sprawy dla czego takie a nie inne przedmioty rozbudzały fantazyą twórczą Meredith'a. Ten brak systematyczności, przeskakiwanie od jednych do drugich typów i sfer towarzyskich przy zachowaniu zawsze téj saméj metody pisarskiéj i tego samego stylu, może świadczyć o artystycznéj naturze autora. Że czytelnicy na takiéj rozmaitości zyskują, byłoby zbyteczném dodawać.

Nie starczyłoby nam miejsca do szczegółowego rozbioru wszystkich dziewięciu czy dziesięciu powieści, które dotąd autorowi temu zawdzięczamy, a zmuszeni do czynienia wyboru pomiędzy niemi, nie potrzebujemy iść chronologicznym porządkiem, ale zatrzymać się nad temi, które z tych lub innych powodów przedewszystkiém na uwagę zasługują.

Typową powieścią, tą, która uważana jest przez wielu wyborowych krytyków za arcydzieło jest „*The Egoist*; datuje się ona z 1879 i pojawiła się już w kilku następnych edycyach. Autor nazwał ją

komedyą w rozdziałach i istotnie zaprzeczyć nie można, że komicznych charakterów w niéj nie braknie. Byłoby jednak błędem przypuszczać, że Meredith zadawalnia się komizmem niższym; przeciwnie, ideałem jego jest komizm molierowski, który przez głębię swych spostrzeżeń nad naturą ludzką jest tragicznego nieledwie nastroju i wątpimy, ażeby spragnieni śmiechu znaleźli w „Egoiście“ karm spodziewaną. Jeżeli najwyższą zasługą pisarza jest stworzyć typ nieśmiertelny, który wchodzi raz na zawsze do skarbnicy ludzkości i służy jako chrzestne imię dla Hamletów i Don Quichotów, Harpagonów i Tartufów, Celimen i Juliet, to można powinszować Meredith'owi, że i on stworzył taką postać w bohaterze téj powieści. Sir Willoughby jest tak doskonałym, tak wystudyowanym, tak skończonym typem egoizmu, że imię jego służy w Anglii jako jednoznaczne z takowym. Najznakomitsi krytycy, a między innymi W. E. Henley, w całym repertoarze szekspirowskim nie znaleźli równie całkowitego typu. Wadą jest w naszych oczach właśnie ta nazwa egoisty, która czego innego spodziéwać się pozwala. Sir Willoughby jest nietylko egoistą, jest on pyszałkiem zadowolonym z siebie pod każdym względem, gotowym do składania codziennie dzięków Opatrzności, że go takim a nie innym uczyniła. Uwielbia swoją doskonałość, używa wszystkich darów, jakie mu natura i społeczny ustrój hojnie nadały, i uważa się naturalnie za środkowy punkt świata swojego. Nie pojmuje, ażeby mu się ktokolwiek chciał i mógł opiérać. Dla tych, co jego hegemonii nie uznają, czuje rodzaj zasmuconéj litości. Depcząc niemiłosiernie tych, którzy się do jego rydwanu nie zaprzęgają, nie podejrzéwa swego okrucieństwa. Jest to egoizm, prawda, ale egoizm *sui generis* nie zaś ten powszedni, odpowiadający ogólnie znanemu pojęciu. Nietylko w téj nazwie jest wada, ale widzimy ją jeszcze i w tém, że autor okazuje nam tylko jedną stronę egoizmu, tę, która dotyczy miłości. Wprawdzie około téj jednéjześrodkowuje się wiele dodatkowych, drugorzędnych i autorowi nie zabrakło treści do trzech grubych tomów, lecz pochodzi to z jego właściwości, z przeładowywania opowiadania epizodycznemi scenami, i szczodrobliwéj siejby spostrzeżeń, aforyzmów i ironicznych wybryków. Gdyby się był umiał od nich powstrzymać, dałoby mu to bezwątpienia możność wystudyowania innych rysów egoisty w pełni jego życiowego rozwoju. Niepodobna także uważać tego znakomitego utworu za obiektywne studyum nad egoizmem, gdyż jest to w całém słowa tego znaczeniu podmiotowy dramat.

Raz uczyniwszy te zastrzeżenia i uprzedziwszy czytelnika czego w „Egoiście“ nie znajdą, przyznajemy ochotnie, że powieść ta przez

studya nad charakterami działających w niéj osób i głębię psychicznéj analizy przewyższa wszystko, czego się od utworu beletrystycznego spodziéwać tylko wolno. Osnowę powieści opowiedziéć można w kilku słowach i w téj prostocie leży w oczach naszych nowa jeszcze jéj zaleta. Sir Willoughby Pattern, baronet posiadający i wielką fortunę, i piękność, i talenta i wykształcenie, ubóstwiany przez matkę i ciotki, żyje w ciągłém odurzeniu palonych na jego cześć kadzideł, i przyjmuje jako rzecz naturalną swoje nad resztą świata przodownictwo. Jak dla Ludwika XIV, słońce może być tylko jego emblematem. Pomiędzy obracającemi się w jego promieniach osobistościami jest dziewczyna śliczna i poetycznie w nim rozkochana, Letycya Dale, ale chociaż zna tę cześć jéj nieograniczoną dla siebie, nie ma zamiaru oddać jéj swego serca. Gdy go opuszcza jedna narzeczona, wtedy dla oddalenia od siebie pozorów porażki, okazuje Letycyi nadzwyczajną sympatyę, ale gdy znajduje niebawem w Klarze Middleton gwiazdę godną zająć miejsce na jego horyzoncie, odsuwa tamtą na bok bez ceremonii. Ale nakoniec, opuszczony i przez tę Klarę, która oceniła go i nad niego przełożyła podrzędnego krewnego sir Willoughby'ego, Vernona Whitford, powraca do owéj Letycyi i żebrze jéj ręki. W silnéj i znakomicie wystudyowanéj scenie autor pokazuje, że się i Letycyi otwarły oczy, że chłód wiejący od egoisty zmroził raz na zawsze jéj wytrwałą, pełną poświęcenia miłość i jeżeli go poślubia, to czyni to jedynie z litości, ze względów światowych, ale bez źdźbła owego uczucia, które dawniéj do niego żywiła.

Byłoby rzeczą łatwą — i każdy tuzinkowy autor w ten sposób sobie z egoistycznemi charakterami postępuje — przesadzić miarkę, zrobić z egoisty rodzaj ohydnego potwora, nadać mu karykaturalne znamię. Wartość wyjątkowa tego studyum i tragiczna jego groza w tém leży, iż sir Willoughby jest właśnie tak powabny, tak pociągający, że jego duchowa szkarada w tak jedwabne otulona jest szaty, a każdy z nas czuje, czuć musi, że w danych okolicznościach postąpiłby sobie tak samo! Z nadzwyczajną delikatnością autor pokazał brak logiki w egoizmie przez starania i usiłowania, jakie sobie sir Willoughby zadaje w celu zamaskowania swych porażek miłosnych i utrzymania wobec świata swéj wielkości nie naruszonéj.

Naokół téj osobistości, którą autor wystudyował starannie, obraca się mnóstwo figur dodatkowych, a każda z nich żyje życiem własném, a nie jest bynajmniéj ani uosobioną abstrakcyą, ani maryonetką bezduszną. Prawdziwie pięknemi są dwie postaci kobiéce Letycyi i Klary. Pierwsza jest wzruszającym typem téj kobiécości, co zagłębiając się w miłości traci samowiedzę i idzie aż do ostatnich gra-

nic poświęcenia, aż do męczeństwa; w drugiéj autor pokazał wysoce interesującą walkę uczucia z rozsądkiem i siłą charakteru. Dyagnoza tych faz przechodowych, gdy Klara spostrzega ujemne strony swego narzeczonego i utraca miłość dla niego, zarówno jak nowe uczucie, z którego sobie sama sprawy nie zdaje i które zajmuje zwycięsko miejsce dawniejszego, dyagnoza ta przeprowadzona ze zdumiewającą ścisłością. A ile postaci komicznych mimo ich powagi! Dr. Middleton, ów teolog-sybaryta, pani Mount-Stuart, żyjąca dla dowcipkowania, Crossjoy, przedziwny chłopak o prawym charakterze i kilkanaście innych zasługiwałoby na wzmiankę.

Nie można odżałować, że „Egoista“ jest przeładowany do tak wysokiego stopnia epizodami dodatkowemi i materyałem epigramatycznym, bez którego Meredith obejść się nie może. Podobną jest ta powieść, jak ktoś dowcipnie powiedział, do stogu siana, z którego za każdą garścią, inne aromatyczne ziele się wyciąga. Gdyby nie ta przywara budowy, gdyby się mogło wyciągnąć z niéj esencyę, nie wątpimy, że nietylko rzesza literacka, ale i cały świat czytający zgodziłby się na postawienie téj powieści w rzędzie niezaprzeczonych arcydzieł.

Jeżeli „Egoista“ jest owocem dojrzałego rozumu i do rozumu przedewszystkiém przemawia, to „*Ordeal of Richard Faverel*“, utwór o kilka lat wcześniejszy, jest, nie powiemy sentymentalną, uczuciową powieścią, ale przynajmniéj taką, w któréj dla strony uczuciowéj najszersze zostawione jest miejsce. Nie sądzimy, ażeby pisząc owe „Próby R. Faverela“, historyę ojca i syna, autor miał cel stanowczo wytknięty, albo jeżeli go miał, to widocznie zboczył od niego, fantazyą swoją porwany. Celem było wykazanie owoców specyalnego wychowania jedynaka syna podług pedagogicznego systematu wymyślonego przez ojca. Ojciec bogaty i szlachetny baronet, sir Austin Faverel, zlewa na Ryszarda, opuszczonego przez niegodną matkę, całe swe ojcowskie przywiązanie i wychowuje go odpowiednio do wysokiego ideału pedagogicznego. On sam i kilku uczonych krewniaków wpajają w chłopca same tylko szlachetne, podniosłe idee i zasady, a ponieważ odosobnienie i brak praktyki życiowéj nie pozwalają sprawdzić ich probierzem praktycznym, wyrasta na idealistę, na Don Quichota. Wchodzi w pedagogiczny system sir Austin'a, ażeby nie stykał się z kobiétą i ma nadzieję doprowadzić go do progu małżeńskiéj komnaty nietylko duchowo, ale i fizycznie niepokalanym. Wiemy z przykładów francuskiéj literatury klasycznéj zeszłego stulecia, jak ten temat, do drwinek podatny, w sprosnych uzmysłowił się utworach. Inaczéj Meredith. Wprawdzie są i u niego sytuacye i osoby,

na które *cant* angielski brwi marszczy, ale nigdzie nietylko zewnętrzna przyzwoitość, ale najczystsza moralność nie są zadraśnięte. Samo się przez się rozumié, że młody Ryszard rozkochuje się w pierwszém dziewczęciu, które spotyka, a jest nią, na szczęście dla niego, urocza wnuczka farmera w ojcowskich włościach. Nie można znaleść w całém piśmiennictwie angielskiém poetyczniejszéj sceny, jak spotkanie się dwojga młodocianych istot nad rzeką, a ta nieświadoma siebie miłość, to rwanie się instynktowe do siebie dwóch serc wiośnianych oddane jest z maestryą, któréj równéj, jak przyznaje Stevens, nie ma w prozie angielskiéj od czasów Shakespeara. Kiedy w systemacie pedagogicznym ojca pokazuje się pierwsza szczerba i gdy spostrzega, że pojawienie się kobiéty psuje plan apryoryczny, syn, idąc za popędem natury, kocha się i w miłość tę wlewa wszystkie szlachetne, wyegzaltowane strony swego ducha. Ojciec jedzie w swaty do wielkich dam, syn wysłany jest do stolicy, ażeby się zetknął ze światem, o którym nie ma pojęcia, ale środki przezorności nie osiągają już celu; Ryszard żeni się potajemnie z Lucyą. Ojciec pogniewany tém małżeństwem nie chce go widziéć i po miodowym miesiącu, opisanym słonecznie, znajdujemy Ryszarda w Londynie, rzuconego w świat i jego rozgwar, jak w pełną falę oceanu. Jak przewidziéć było można, wpada w szpony awanturnicy, która się staje jego kochanką mimo idealnéj miłości, któréj nie przestaje czuć ani na chwilę do swojéj żony. Serce pozostało przy niéj, a tylko ciało zgrzeszyło. Ale przy ideach, jakie ma Ryszard, o obowiązkach względem żony, czuje się on jéj niegodnym i błąka się zdala od niéj. Dopiéro na wiadomość, że urodziła mu syna i że sir Austin nietylko przebaczył synowéj, ale się nią rozkoszuje, powraca do niéj, ale po to tylko, aby się z nią pożegnać przed pojedynkiem, który wywołał bezpotrzebnie. Ta pożegnalna scena i dowody nieograniczonéj miłości żony, która wzdraga się przypuścić nawet, że ma cokolwiek do przebaczenia, stoi jako godny *pendant* do sceny ich pierwszego spotkania: jest w niéj patetyczność wzruszająca i taki obraz duszy kobiécéj, jaki tylko prawdziwy poeta mógł wymarzyć. Przy łożu lekko ranionego Ryszarda złamana tylu przejściami Lucya, jak lilia burzą, umiéra, pozostawiając po sobie wspomnienie wiośnianéj jutrzenki.

Takie streszczenie „Prób Ryszarda Faverel'a“ jest największą krzywdą, jaką wyrządzić można temu przedziwnemu, kunsztownemu klejnotowi. Wartość jego leży w studyach głęboko psychologicznych, w ugrupowaniu i przeciwstawianiu najrozmaitszych, a pełnych oryginalności charakterów, w formie poetycznéj niezrównanéj i nakoniec w oślepiających błyskawicach aforyzmów i epigramatów. Sir

Austin mówi zawsze, jak delfijska wyrocznia, wpisuje coraz nowe maksymy do swéj złotéj księgi, i jest zawsze pełen optymistycznéj wiary w doskonałość swego systematu nawet w chwilach, gdy w krwawéj utonął smudze. Można przewidywać, że będzie na wnuku czynił doświadczenia tak, jak je czynił na synu. Jest delikatna, prawdziwie attycka ironia w rysunku téj postaci. Autor przeciwstawia mu w Adryanie, kuzynie i profesorze Ryszarda, umysł sceptyczny i spoglądający z obiektywnym spokojem na wypadki, które systemat pedagogiczny wywołuje w kole rodzinném. Ci dwaj składają się na przedziwny zbiór maksym i prawd życiowych, który nadaje powieści trwałą, filozoficzną wartość. *Vis comica* autora rozwija się swobodnie w wielu innych postaciach. Śliczną jest lady Blandish, przyjaciółka sir Austin'a, wierząca ślepo w jego wielkość i dochodząca powoli do przetarcia sobie oczów. Słynną jest i popularną, jak Dickensowska figura i istotnie z jego wypukłością skreślona osoba piastunki, Berry. Tutaj *humour* Meredith'a rozbujał się i są krytycy, co stawiają Berry w téj saméj wyżynie, co szekspirowskiego Falstaffa.

Powieścią, którą najmniéj cenimy wśród jego zbioru, chociaż mieści jedną przynajmniéj genialną postać, hrabinę de Saldar, jest „*Evan Harrington*". Nie można zrozumiéć ani jéj układu, ani etycznéj myśli przewodniéj. Zdawać się może, iż autor chciał napisać sarkastyczną komedyę dla sceny i że następnie nadał jéj inną formę. Inaczéj trudno zrozumiéć natłoczenia wypadków i działających osób w miejscu, gdzie tylko optyka teatralna usprawiedliwić może ich pojawienie się. Wiele niepodobnych do zrozumienia zdarzeń tu zachodzi, autor zaś nie troszczy się o wtajemniczenie nas w takowe i byle mu się udało osypać wybrykami swéj ironii charaktery ujemne, pokazać ich przywary, ułomności i komedyę, jaką odgrywają dla świata, w jaskrawém świetle, o nic innego mu nie chodzi. Osnowa powieści pozbawiona jest interesu. Krawiec wielkiego świata zostawił trzy córki, które zrobiwszy świetne małżeństwa wstydzą się procederu ojcowskiego, a jedna z nich, portugalska hrabina, dokłada nadludzkich wysiłków, aby ukryć ten grzéch pierworodny, rzucić pył w oczy świata i ocalić brata od obrania sobie tego samego zawodu. Pytanie, czy Evan zostanie lub nie zostanie krawcem i czy ocalony będzie od téj katastrofy przez bogate małżeństwo, nie może być brane na seryo przez czytelników i jak powtarzamy, nie zdaje się, aby autorowi o to chodziło. Wystarczyło mu pokazać trudności, jakie mają do zwalczenia szlachetne i prawe charaktery wśród fałszu konwencyonalnego świata i ich ostateczny tryumf; wystarczyło mu schłostać sarkazmami odwiecznych towarzystkich komedyantów. Są i tutaj rysy i postacie

prawdziwéj piękności artystycznéj. Liczymy do takich owe tyle razy cytowane słowa bohatérki, Róży Jocelyn, która, zwracając się do kuzynki kochającéj tego samego, co ona, Evana, mówi: „I właśnie dlatego bardziéj cię kocham.“ Trzeba stać na wysokim moralnym dyapazonie, aby takie słowa wypowiedziéć. Pereł takiego rodzaju jest i w téj powieści nie mało, ale nie można mimo tego dać jéj rozgrzeszenia, jako całości.

Wyborna jest za to „*Rhoda Fleming*“, ale także przyjąć jéj nie można bez zastrzeżeń. Autor obrał tu sobie nową sferę i zamiast obracać się w sferze wyrafinowanego towarzystwa, dającego łatwiejszą sposobność do epigramatycznych spostrzeżeń, w których sobie podoba, przeniósł się do bardziéj prostaczego świata, farmerów, wyższe zaś sfery społeczne, z któremi rodzina Flemingów się spotyka stoją na drugim planie. Opowiadana historya odznacza się prostotą treści. Dzierżawca folwarku w Kent, Fleming, ma dwie córki, Dahlię i Rhodę. Pierwsza jest uroczą blondynką, o gołębiém sercu i umyśle; druga podług słów autora „córą biblijnego świata, z hebrajską szorstkością, decyzyą charakteru i hebrajską egzaltacyą duszy, a piękna także, jak piękne są śniade kobiéty wschodu“: przeciwieństwo i osób i nastrojów ducha. Dahlia jest uwiedziona i opuszczona przez świetnego panicza Edwarda Blancove, a siostra, która wierzyła w nią jak w świętą, czuje się osobiście pokalana jéj upadkiem i nie chce poślubić kochającego ją prostodusznego Roberta. Z nadzwyczajnym talentem i nieubłaganą logiką autor opisał walki i cierpienia Rhody, któréj cnota i purytańskie zasady religijne sprowadzają na koło rodzinne i ukochaną przez nią siostrę prawdziwe katastrofy. Gdy bowiem uwodziciel, zdający sobie sprawę z uczynionéj krzywdy, chce poślubić Dahlię, Rhoda stawia wszelkie możliwe przeszkody temu małżeństwu. Nie rozumié ona, że siostra może kochać niemoralnego zdrajcę, widzi w nim szatana i bezmiłosiernie rozdziela kochanków raz na zawsze, wydając Dahlią za mąż za ohydnego łotra, ostatni wymiot społeczeństwa, co do którego wartości moralnéj myli się całkowicie. Potrzeba było istotniéj niezależności autora od rutyny powieściopisarskiéj i odważnego podeptania sympatyi czytelnika, ażeby takie a nie inne dać rozwiązanie swéj opowieści. Logicznie charakter Rhody jest rozwinięty w sposób nieposzlakowany, i łatwo pojąć, dlaczego autor dramat ten umieścił w ramach wiejskich prostaczych natur. Tam tylko przechowują się jeszcze przy głębi niezamąconéj religijnych przekonań, zasady moralne niezłomne, tam tylko jeszcze znaleść można osoby działające bez zapytywania,

co o tym lub owym powié świat okolny. Ciasnota pojęć sprowadzić może katastrofy jak tutaj, ale ta, co je brakiem tolerancyi wywołała, nie robi sobie nawet najlżejszych wyrzutów, i szczęście najtkliwiéj kochanéj istoty nie jest w stanie zaważyć ani atomu, gdy się na drugiéj szali stawia obowiązek i godność osobistą. Nie chcemy się powtarzać, mówiąc o świetnych stronach, o błyszczących dyalogach i wybornie naszkicowanych figurach drugorzędnych. Powieść ma etyczną wartość, która tego rodzaju zalety na drugi plan strąca.

Jedna z najoryginalniejszych ma napis: „Awantury Henryka Richmond.“ Nigdy fantazya Meredith'a nie rozbujała się bardziéj, jak w tym utworze, który widocznie pisał nietylko dla powszechnéj, ale i dla swéj własnéj zabawy. Są tam sceny komizmu takiego, że aż serce ściska i ból wyradza. Nie znamy w całéj dziedzinie fikcyi oryginalniejszéj postaci, jak Roy Richmond, ojciec bohatéra. Autor zlał nań najjaskrawsze barwy swéj palety, wystudyował go tak drobiazgowo, tak subtelnie, iż nadał mu prawie nadludzkie kształty. Z anegdot i rysów, które się do niego wiążą, nie jednego, ale cały tuzin awanturników możnaby zlepić. Roy jest przekonany, iż jest bękartem króla i okłamuje całe życie nietylko świat, lecz i siebie samego, co do swego pochodzenia i przyszłości, która go czeka. Posiadając wszystkie dary, jakie tylko zlać może natura na swego wybrańca, przechodzi przez życie, jak epikurejczyk i jak niedbający o jutro artysta. Na przemian, siedzi w więzieniu za długi i szasta milionami. Nikt nie potrafi się oprzéć magnetycznemu jego urokowi, nikt oprócz jego teścia, szlachcica starego autoramentu, wiejskiego magnata, którego córkę uczynił nieszczęśliwą. *Squire* Beltham, uosabiający zacność i praktyczny zmysł brytański, stanowi najdoskonalsze przeciwieństwo z awanturniczym Roy'em. Obaj wydzierają sobie młodego Henryka, który na przemian przebywa w zamku dziadka i dzieli awanturnicze życie swego ojca. Ten ostatni przebywając na dworze udzielnego książątka niemieckiego, ks. Ernesta Epperwelzen, postanowił ożenić z jego jedyną córką, Otylią, swego syna. Żadnych zachodów nie szczędzi i intryg, co mu z tém większą łatwością przychodzi, że młoda para, nie zwracając uwagi na socyalny przedział, kocha się. Roy intryguje, nie przebiera w środkach i nie cofa się przed skalaniem reputacyi księżniczki, ażeby ją posiąść dla syna. Kłamstwa, wymysły, niestworzone banialuki stanowią naturalną atmosferę tego człowieka, który *quand même* zachowuje gorące przywiązanie swego syna. Głównym rysem charakteru tego ostatniego jest walka

między charakterem pełnym zacności a złudzeniami, jakie żywi co do swego ojca. Potrzeba było lat całych, zwichnięcia najświetniejszego zawodu, złamania niejednego życia, stracenia milionów, ażeby go z tych złudzeń wyleczyć. Jest tragiczna nuta w tych katastrofach, które się na niewinnego syna za winy ojca zwalają. Z niesłychaną werwą i lekkością pióra oddany jest ów Roy, potwór istotny, ale potwór wyzyskujący aż do ostatniéj chwili sympatye, które budzi we wszystkich, a naturalnie przedewszystkiém w kobiétach. Pomiędzy niemi są dwie, które w galeryi portretów niewieścich Meredith'a mają prawo do najprzedniejszego miejsca. Jedna z nich jest ciotka Dorota, czująca nieprzezwyciężony pociąg do Roy'a, będąca w oddali jego opiekuńczym aniołem, poświęcająca dlań fortunę i nieżądająca najmniejszego za poświęcenie całego życia wynagrodzenia: typ nieporównanéj delikatności kobiecéj i zaparcia się saméj siebie. Drugą jest Joanna Ilchester, charakter prawy, niezachwiany, posiadający męskie strony stałości i energii a jednakowoż umiejący kochać wytrwale i ocalić kochanka, narzeczonego i męża. Nic łatwiejszego jak przewidziéć, że w zamku Rivessley nie Henryk Richmond, ale ona będzie dobrym geniuszem i przeważającą osobistością. Wielu czytelników téj powieści jest zmęczonych awanturami Roya i przygodami, w jakie jest wmieszany, wiele czytelniczek złorzeczy ojcu, który sypie na sympatycznego syna nieszczęścia i kazi jego czystość, ale te sarkania są najlepszym dowodem życia, jakie ta powieść w wysokim stopniu posiada.

Braknie nam miejsca do zatrzymania się nad dwoma znakomitemi powieściami dawniejszemi: „*Vittoria*“, osnutéj na tle lombardzkich stosunków w walce z Austryakami i „*Beachaumps Carreer*“, gdzie zagadnienia polityczne traktowane są w doskonałéj formie powieściowéj. Ale nie możemy zakończyć tego szkicu o pracach najgenialniejszego z romansopisarzy angielskich, bez zatrzymania się przed najpopularniejszą, jedyną rzec można, popularną jego powieścią „*Diana of the Crossways*“. Nieraz już zauważono, że poczytność swoją powieści zawdzięczają kobietom i że one to podsuwają krytyce ulubione przez się utwory do ostatecznéj sankcyi. Ale jest równie słuszną uwaga, że kobiéty te tylko powieści biorą pod swoją opiekę, gdzie ich płeć otoczona jest aureolą. Chociaż grały one w innych powieściach Meredith'a rolę świetną, to nie można powiedziéć, aby w nich górowały, a intelektualna potęga autora nie pozwalała mu nigdy zejść do poziomu płaczliwego sentymentalizmu, w którym się wiele czytelniczek lubuje. Stąd ostracyzm, na jaki były przez nie jego powieści ska-

zane. Uczyniły wyjątek dla „Diany“ dla tego, że jest ona bohaterką powieści, że wszystkie inne osobistości zaćmiéwa, i że autor ozdobił ją wszystkiemi skarbami dowcipu. Już nie dla profesorów psychologii i dla redaktorów dowcipkujących dzienników powieść ta jest napisana, jak to utrzymywały przedtém, ale dla całéj publiczności, aby jéj wykazać, na jakie wyżyny umysłowe zdolna jest wznieść się kobiéta.

Diana Marion jest Irlandką i we krwi swéj czerpie żywość temperamentu i zawsze świéży zdrój dowcipu. Jest wyjątkowo piękną i wyjątkowo świetnego umysłu. Wychodzi za mąż za pierwszego lepszego przyzwoitego człowieka, p. Warwick, nie z miłości, ale aby uniknąć objawów miłości męża swéj najlepszéj przyjaciółki lady Dunstane. Staje się Egeryą pierwszego ministra, a chociaż w jéj stosunku do starego męża stanu nie ma nic zdrożnego, świat ją podejrzéwa, a mąż wytacza proces rozwodowy. Zostawiona sama sobie, Diana bierze się do literatury, pisze jedną po drugiéj, kilka powieści, które sławę jéj utwierdzają i otwiéra salon, ktory słynie z dowcipu gromadzących się w nim znakomitości towarzyskich. Po między jéj czcicielami dwóch stoi na pierwszym planie: siostrzeniec zmarłego pierwszego ministra i mąż stanu o wielkiéj przyszłości sir Percy Dacier i Tomasz Redworth, wielki przedsiębiorca, który chcąc zyskać dla Diany fortunę, rzucił się w odmęt życiowy: pozyskał fortunę, ale ona o jego miłości nic nie wié, albo przynajmniéj wiedziéć nie chce. Sympatye swoje, a następnie miłość swoją daje Percemu. Jeżeli nie oddała mu się całkowicie, to wina przypadkowych tylko okoliczności. Jest genialna scena w powieści, gdy Diana dowiedziawszy się o tajemnicy gabinetowéj od swego powiernika, jedzie w nocy sprzedać ją redaktorowi dziennika. Scena ta wywołała swego czasu zgrozę i protestacye, gdyż strącała Dianę z jéj piedestału, ale jéj psychiczna prawda była taką, że się narzuciła jako konieczność chłodniejszemu sądowi publicznemu. Zerwanie stosunków z Percy'm po wykryciu popełnionéj przezeń zdrady, wycofanie się z gwaru stolicznego życia, przewrót dokonany w jéj wewnętrznéj naturze i nakoniec małżeństwo z wytrwałym pierwszych lat kochankiem, Tom. Redworthem, kończy tę powieść, pełną interesujących perypetyi od początku do końca i zostawiającą po sobie trwałe wrażenie. Nigdy charakter kobiéty żyjącéj głową, oślepiającéj blaskiem swéj inteligencyi, nie nakreślony został z większą precyzyą i większym artyzmem. W głównych rysach i w drobiazgach uderza prawda. Dopiéro gdy się w sercu Dia-

ny zbudziła miłość i gdy ją poznała w całym zakresie, dopiéro wtedy stała się kobiétą w pełném słowa tego znaczeniu. Jest w tym epilogu powieści nowy dowód zdrowego i czerstwego umysłu autora, który mimo błyskawic swego dowcipu, nigdy z wykniętéj drogi nie zbacza.

W chwili, w któréj ten szkic nad fizyognomią Meredith'a kończymy, dochodzi nas nowy jego powieściowy utwór „*One of our conquerors*“. Odkładamy do innego czasu sposobność zapoznania z nim czytelników. Spodziéwamy się, że i bez niego mogą już sobie o wyjątkowym talencie jego uczynić wyobrażenie.

T. N.





Powieści A. Konara.

Alfred Konar. Przed ślubem (Warszawa, S. Lewental, str. 345). — Afred Konar. Bankruci (Warsz. Gebethner i Wolff. 1892, str. 317).

Po sześciu latach od czasu wydania swéj „Hrabiny Sylwii" występuje p. Konar z dwoma tomami obrazków i powieści jako rezultatem swych spostrzeżeń, rozmyślań i udoskonalenia talentu. Bo talent był i w owéj pierwszéj próbie, tylko się błąkał w przedstawianiu szczegółów, należących do sfer odrębnych, jako jakiejś towarzyskiéj i psychicznéj całości. Sześć lat w życiu rozwijającego się do pełni sił młodzieńca, to ogromny kawał czasu; doświadcza się, odczuwa i przemyśla się w jego przeciągu sto razy więcéj niż w całych lat dziesiątkach późniejszego okresu. P. Konar nie zmarnował tych „lat nauki": wzbogacił i skupił swoje obserwacye, pogłębił swoje nad niemi myśli, nastrój swój doprowadził do pewnéj harmonii.

Nie tak dawno jeszcze mówiło się o potrzebie zbadania temperamentu artysty dla zrozumienia jego dzieła; dziś, gdy impresyonizm opanowuje coraz bardziéj dziedzinę sztuki, trzeba się zwrócić do rozpoznania nastroju sztukmistrza. Nie porzuca się przez to bynajmniéj metody dawniejszéj, tylko się ją rozwija i dokładniejszą czyni. Istotnie, temperament był i będzie podstawą działalności ludzkiéj a więc i twórczości artystycznéj, ale dla zrozumienia różnorodnych jego przejawów wypadnie zastanawiać się bliżéj nad jego modyfikacyami, zależnemi od rozwoju człowieka a więc i wszystkich warunków istnienia. Temperamentu przy najusilniejszych staraniach nie przemienimy z gruntu nigdy, ale na jego objawy wpływać możemy w mniejszym lub większym stopniu, stosownie do rozwiniętéj u nas siły inteligencyi i woli. Popędliwy nie stanie się flematykiem, nawet przy największém wycieńczeniu fizyczném i przy najcięższém przygnębie-

niu duchowém; ale może nad wybuchami swemi o tyle zapanować, że się wśród zwykłych normalnych stosunków może wydawać spokojnym, łagodnym, ba, nawet powolnym; i tylko ci poznają jego rzeczywiste usposobienie, którzy ujrzą go w chwili, gdy hamulec i wędzidło moralno-umysłowe nie dopiszą. Otóż objawy temperamentu pod skombinowanym wpływem warunków otoczenia i rozwoju duchowego nazywamy nastrojem, mogącym się zmieniać w miarę okoliczności zewnętrznych i wewnętrznych, będącym już nie siłą poprostu elementarną, lecz poddaną uprawie i kierunkowi cywilizacyjnemu.

P. Konar, o ile z pism jego wnieść można, ma temperament żywy, namiętny, lubiący się nietylko zastanawiać nad sobą, lecz i szperać w sobie. Widać to stąd, iż postaci złożone, subtelne, nerwowe, chorobliwe, o usposobieniu bujném, niepowszedniém, najstaranniéj i najlepiéj maluje; widać to także z powstrzymywanych wykrzykników i wybuchów, widać wreszcie ze stylu ucinkowego, dającego raczéj wiele do domyślenia się czytelnikowi, napomykającego tylko, a nie opisującego szczegółowo. Pod wpływem spółczesnego stanu filozofii i literatury europejskiéj, temperament taki oczywiście stać się musiał skłonnym do pessymizmu, do poszukiwania plamek na ludziach najczystszych, do upatrywania w ich czynnościach pobudek najmniéj szlachetnych, do widzenia w życiu saméj pospolitości, saméj nędzy, samego zepsucia i zgnilizny.

Lecz w sercu p. Konara tkwiło spółczucie dla ludzi pomimo ich pospolitości lub nędzoty. I spółczucie to zmodyfikowało jego temperament, usposobiło autora do pogodniejszego poglądu na rzeczy i osoby, do wyszukiwania wśród nich stron dodatnich, ujmujących, które każą zapominać chociaż na chwilę o ich śmiesznościach, słabości lub nawet znikczemnieniu. Nie daje mu to nastroju pogodnego, ale czyni go przynajmniéj uczuciowo zrezygnowanym. Nie znajduje on ani w sobie, ani w świecie jakiéjś zasady, jakiejś dźwigni, którąby mu pozwoliła wybuchnąć hymnem radości i uwielbienia, któraby duszę jego otworzyła na rozcierz dla wielkich idei lub wielkich namiętności; ale wśród najzwyklejszéj prozy życia wyszukuje starannie punktów błyszczących uczuciem czy fantazyą i niemi w szerokich odstępach ozłaca różnobarwne, ale po większéj części zmięte i stérane postaci ludzkie i ich niewesołe stosunki. Owe punkty błyszczące są tu wprawdzie wynikiem złudzenia, nie zaś takiéj rzeczywistości, o któréjby wszyscy jednakowe wypowiedzieli zdanie; ale dla zrezygnowanego autora i to wystarcza; więc woła — trudno twierdzić, czy nie z odrobiną łagodnéj ironii:

„A wy, Hartmany i Schopenhauery twierdzicie, iż nie ma szczęścia na świecie? Spytajcie o to ptactwo, kwiaty i dzieci!“ („Przed ślubem“, str. 137).

Z rodu zatém ludzkiego nie powołuje się na nikogo więcéj—tylko na dzieci, kiedy idzie o kwestyę szczęścia. Tak: dzieci, a co najwyżéj młodzież. Przedstawiając ojca rodziny, dla którego cała przeszłość (prócz jednéj chwili młodzieńczéj) podobną się wydawała do „popiołu wypalonego cygara, które im dłużéj palisz, tém więcéj jest gorzkie, wreszcie gaśnie i nic z niego nie pozostaje“, wkłada mu w usta te słowa pod adresem swych dzieci wypowiedziane: „Lecz niechaj wierzą, marzą, kochają przynajmniéj w swojéj młodości, bo kiedy im walka życia, troski i zawody wszystkie te skarby odbiorą, zostaną im przynajmniéj... wspomnienia“ (str. 241). Uczuciu nie pozwala się wypowiedziéć otwarcie, dobitnie, szczerze, serdecznie, może z obawy popadnięcia w sentymentalność, rozłzawienie, a może dlatego, że w ich głębię i trwałość nie wierzy i dopuszcza jedynie chwilowe ich pojawienie się wśród pospolitego, prozaicznego trybu życia. To téż bynajmniéj nie można utrzymywać, iż w utworach jego nie drga struna uczuciowa; owszem, dźwięk przez nią wydawany bywa nieraz głębokim, tam zwłaszcza, gdzie schorowany, zbiédzony, znękany mężczyzna myśli o swéj żonie i dzieciach, które będzie musiał zostawić same, w biédzie, w nieszczęściu, w rozpaczy; — ale dźwięk ten jako oderwany, nie łączący się z innemi, nie staje się akordem, któryby na dłużéj przeniknął serce i trwaléj w niém zagościł.

O wpływaniu na ludzi, o pozyskiwaniu ich serc i umysłów dla jakiéjś ukochanéj idei, lub dla sympatycznéj osoby autor nie myśli. Tylu już było ognistych apostołów, tylu wymownych kaznodziei, tylu wytrawnych moralistów, tylu dowcipnych satyryków, czy rzewnych elegików,—a przecież słowa ich snać przepadły marnie, kiedy i wczoraj i dzisiaj widzimy też same śmieszności i zbrodnie też same, co dawniéj — taki zdaje się być pogląd zrezygnowanego autora w sprawie oddziaływania słowa na ludzi. „Uwagi, nauki! — woła smutnie jedna z jego bohatérek — co to wszystko pomoże, na co się przyda? Życie to jakby prąd wody: wyżłobi kamienie, a swoją drogą iść musi. Skąd, dokąd, na co i dlaczego tak, a nie inaczéj, nikt tego nie zgadnie“ („Bankruci“, str. 315). W tym poglądzie nie nowożytny determinizm, lecz jakby stary, odwieczny fatalizm się odzywa; boć w determinizmie i owe „uwagi, nauki“ także musiałyby tworzyć jedno z ogniw przyczynowego łańcucha, chociażbyśmy je nawet jak najniżéj pod względem wpływu oceniali. Tylko fatalista mówi: rób co chcesz, stanie się, co się stać musi.

Dla autora człowiek dzisiejszy, to wynik gry nerwów, zazwyczaj chorych. Nie oburza się na to, ani się têm zachwyca; boleje zapewne, że nie jest inaczéj, że nie ma na świecie szczęścia zupełnego, szczerego, że nie ma ludzi bez plamek i piętn, ale ponieważ tak jest, godzi się z faktem, obserwuje go szczegółowo, opisuje z upodobaniem jak artysta, któremu się udało pochwycić jakiś rys natury w całéj pełni i prawdzie; nie wchodzi nawet zazwyczaj w przyczyny, dość dla niego, że to lub owo zauważył w życiu, że pewien temperament, — bo o charakterach nie ma tu prawie mowy — rozwinął konsekwentnie w jego zewnętrznych objawach, w przystosowaniu się do różnorodnych położeń, do różnych z ludźmi stosunków. Stara się być przedmiotowym, jak najmniéj domieszać swéj własnéj osoby, przytaczać jak najwięcéj faktów.

Chce np. wystawić młodzieńca porywczego, samoluba, pretensyonalnego, lubiącego imponować, który w pewnéj chwili szczególnego nastroju, podczas przechadzki po Łazienkach z córką niezamożnych profesorstwa, wpadł w liryzm, dobył skądsiś serdeczniejszych dźwięków mowy, pozyskał serce dziewczęcia, zaręczył się z niém i przez czas jakiś zachowywał się jako czuły narzeczony; ale niebawem gdy nastrój chwilowy minął i gdy zaczęły się niepowodzenia w życiu biurowém, okazywać zaczął swoje despotyczne usposobienie i dręczył narzeczoną różnemi drobiazgami. Gdy mu się profesorstwo wystarali o jakąś niepokaźną posadę, wpadł w pasyę, że go na lichy partykularz wypychają, i dopiéro łzy narzeczonéj spowodowały, że ze złością zgodził się na przyjęcie lichego, jak na niego, stanowiska. Nie potrzebował go jednak obejmować. Umarła mu matka, kobiéta nieukształcona i zła, która lichwą ogromnego dorobiła się majątku. Odziedziczywszy go, nie opuścił narzeczonéj, zasypywał ją podarkami, zmusił do wzięcia paru tysięcy na wyprawę i ożenił się z dziewczyną, która już miała się czas przekonać, że nie uczucie miłości trzyma przy niéj narzeczonego, ale tylko lenistwo, niechęć do starania się o rękę innéj kobiéty, przed którą znowu musiałby czas jakiś swoje rzeczywiste usposobienie ukrywać! Przekonała się o têm, a mimo to wyszła za człowieka, którego już kochać nie mogła, z którym prawdopodobnie szczęścia nie zazna nawet w pierwszych miesiącach pożycia. Dlaczego tak zrobiła? Od tak dawna już była narzeczoną, w domu biéda, jest jeszcze siostra starsza na wydaniu, małżeństwo jéj wszyscy nazywają świetną karyerą... czyż nie dosyć powodów?... („Przed ślubem").

To wszystko opowiada p. K. na pozór zupełnie spokojnie, zdradzając tylko stylem gorączkowym, że te stosunki go bolą. Nigdzie

nie analizuje uczuć bohatéra i bohatérki, choćby w ten sposób, w jaki naturaliści robić to zwykli, t. j. za pośrednictwem słów, napomknień, gestów w stanie pewnéj szczerości wygłaszanych i objawianych. Zestawia tylko sytuacye, rozmowy, opowiadania osób postronnych, zachowanie się ich i t. d. Stąd naturalnie można sobie i szczegóły i ogół nawet stałego usposobienia postaci tłómaczyć bardzo rozmaicie; jak zaś autor sam przed sobą je tłómaczy, na pewno wiedziéć nie możemy; przypuszczać tylko da się, że tak lub owak je rozumié. Tak np. wyjaśnienie najciekawszego w całém opowiadaniu faktu, że Stach zostawszy bogatym, nie porzucił Anielki, słyszymy z ust obcesowo-prawdomównéj mecenasowéj: „Żadna posażna panna nie zgodziłaby się zostać żoną tak świeżego dorobkiewicza, a i matka, jak się po śmierci pokazało, wielkiego zaszczytu nazwisku nie przyniosła. Aniela, choć od czasu zaręczyn zwiędła trochę i zbrzydła, jest jeszcze wcale ładną dziewczyną, mówię jéj to w oczy. A takiemu dorobkiewiczowi konieczną jest teraz żona, aby miał na kim pozawieszać brylanty i mógł kogo wozić w swoim powozie. Nie głupi on, żeby rozpoczynać nowe konkury, znosić nowe kaprysy teściowych i panny, kiedy tu pójdzie mu już teraz wszystko jak z płatka“ (str. 58). Chociaż o tém wyjaśnieniu dużoby się dało powiedziéć i trafność spostrzeżeń pani mecenasowéj zakwestyonować, autor zdaje się jéj usty własne tłómaczenie wygłaszać, gdyż dodaje, że Anielka „smutnie uśmiechnęła się, jak gdyby mecenasowa wypowiedziała myśl, wykradzioną jéj z głowy.“ Lecz po za „zdaje się“ nie można się ośmielić, boć przecież i przekonania Anielki nie są przekonaniami samego autora.

I tak jest wszędzie: czy p. Konar maluje nam zajęcia księgarskie i nudy świąteczne człowieka, nie mającego ni rodziny, ni dobrych, serdecznych znajomych („Wigilia pana Andrzeja“), czy historyę Franka, opłątanego przez lichą kokotę („Nudna niedziela“), czy chwilowe odżycie, wśród ciepłéj atmosfery, kobiéty bez nazwiska („W wagonie“), czy pocieszanie się rzekomemi sukcesami żony niełádnéj i niekochanéj („Pani Leonowa“), czy próbę wskrzeszenia w sobie uczuć czystych przez zszarganą i zbiédniałą aktorkę, próbę udaremnioną wreszcie ciążeniem całego poprzedniego życia („Aurelka“), czy miłość człowieka nieśmiałego, wyzyskiwaną na chłodno przez rodzinę niezamożną („W cukierni“), czy łudzenie się schorzałego ojca rodziny („U wód“), czy rychłe rozczarowanie zakochanéj w cudzoziemcu dziewczyny („Podróż poślubna“): — zawsze mamy dużo szczegółów interesujących, ciekawych, chociaż drobnych, wprost z najzwyklejszych stosunków życia wziętych, umiejętnie zestawionych, ale nie

zawsze dających się łatwo pod względem znaczenia psychologicznego objaśnić. Jako fakta zaobserwowane możemy je przyjąć, uznać za trafne po szczególe, lecz nieraz nie pojmujemy należycie ich genezy, nie wglądamy we wnętrze, nie odgadujemy przyczynowego związku. Im stosunki są prostsze, tém oczywiście łatwiéj je tłómaczymy sobie; więc tak np. do obrazka bardzo wdzięcznego, przedstawiającego pierwszoklasistę w święta Wielkanocne, jego wędrówki po ulicach i po kościołach („Na urlopie“), nie potrzebujemy zgoła komentarzy podobnie jak do obrazka swobodnéj zabawy na przedmieściu („Bal u mojéj teściowéj); gdzie natomiast uczucia są zawilsze, gdzie stosunki są złożone, tam dla zupełnego zadowolenia estetycznego i rozumowego, potrzebne byłyby wskazówki, rozumié się nie bezpośrednio od autora pochodzące, ale umiejętnie przez zestawienie rozmów utworzone, któreby nam uprzystępniły wejrzenie w te pracownie, gdzie się wytwarzają skłonności, nastroje i poglądy. Jak w nauce, tak i w sztuce samo zestawianie faktów nie wyczerpuje bynajmniéj zadania, dopiéro ułożenie z nich zrozumiałego we wszystkich swych częściach całokształtu jest istotném dziełem najwyższéj twórczości.

Sferę spostrzeżeń autora stanowi, jak dotychczas, miasto, a mianowicie Warszawa. Jeżeli się wychyla po za nią i dąży na prowincyę, to na chwilę tylko prowadząc tam swoje osobistości i rychło z niemi wracając. A w saméj Warszawie interesuje się głównie przedmieszczanami, aktorkami, kobiétami lekkiego życia, urzędnikami o niskiéj pensyi, subiektami księgarskimi, nauczycielami na emeryturze i tym wreszcie światkiem, który z francuska przywykło się nazywać *tout Varsovie.* Cóż to za światek „*Tout Varsovie* — powiada nasz autor sarkastycznie — to ludzie posiadający porcelanę i szkło, opatrzone monogramami z koroną lub bez korony, powóz, dwóch lokai, kamerdynera i salę bilardową w mieszkaniu. Do téj garstki ludzi należą bogaci fabrykanci, renomowani lekarze i adwokaci, zjadający do grosza swoje roczne dochody, piękne bankierowe, wypisujące ogromnemi literami na kartach wizytowych: *née comtesse X* lub *Y*, i piękne hrabiny, dyskretnie pomijające w swoich tytułach nieufonicznie brzmiące rodzinne pochodzenie, wreszcie przyjezdni artyści, sławy zagraniczne i miejscowe“ („Przed ślubem“, str. 171).

Ten światek składa się z bardzo różnorodnych żywiołów, które dawniéj chrzczono ogólnie mianem dorobkiewiczów, a które ze zmianą stosunków ekonomicznych, albo mówiąc otwarciéj, z upadkiem zamożności w warstwie szlachecko-arystokratycznéj, weszły z dawniejszą „śmietanką“ w wielorakie związki towarzyskie i rodzinne, a więc musiały się dostrajać do wyższego stopnia ich ogłady. Dostrajanie

się to nie mogło pójść łatwo i zależało oczywiście wiele od indywidualności osób pracę tę podejmujących. Co było rzeczą tresury zewnętrznéj, dało się przyswoić bez wielkich trudności; pod względem zatém stroju, umeblowania, urządzenia stosunków zewnętrznych, komfortu, manier i t. d. późniejsze pokolenia Geldhabów mało przedstawiały różnic od tych, co już wiekami mieli utorowane drogi. Ale inaczéj być musiało z subtelniejszemi zwyczajami towarzyskiemi, ze sposobem wyrażania swych uczuć i poglądów, t. j. z tém wszystkiém, co już zależy od nastroju wewnętrznego; od długoletnich a nawet długowiekowych nawyknień, dziedzicznie przekazywanych. Owe nowsze pokolenia miały témbardziéj utrudnione zadanie, że w tak zwanym salonie, czy wogóle w życiu towarzyskiém zaczęły zachodzić zmiany, polegające na wprowadzeniu większéj swobody — w ograniczeniu. Znaleść granicę pomiędzy dystynkcyą prawdziwą a sztywną wymuszonością, pomiędzy swobodną a choćby swawolną żartobliwością a wyuzdaniem mowy, pomiędzy subtelnym dowcipem a drwinami nie jest rzeczą niemożliwą, ale żeby ją umiéć zachować, żeby to zachowanie nie kosztowało żadnego wysiłku, na to potrzeba wprawy i pewnego rozwinięcia duchowego, które wcale nie jest jednoznaczném z wykształceniem szkolném lub nawet nauką biernie tylko przyswojoną. Rzecz naturalna, że ile jest odmian w usposobieniu i stosunkach ludzkich, tyleż można wyróżnić stopniowań w pojmowaniu owéj granicy i w jéj zachowaniu.

Tout Varsovie p. Konara, o ile ją dotychczas odmalował, należy do jednéj tylko kategoryi, do téj mianowicie, która nie umié zachować owéj subtelnéj różnicy, a może jéj nawet należycie nie odczuwa.

W zbiorku obrazków i nowel pod ogólnym napisem „Przed ślubem“, autor dał stosunkowo dość subtelny okaz pani Leonowéj, która nie będąc kochaną przez męża a kochając go, uprawia aż do znużenia flirt salonowy, nie dlatego, żeby znajdowała w téj zabawce szczególniejsze upodobanie, ale żeby miéć się czém popisać wobec swego światka i nie wzbudzać litości. Jest ona śmieszną, ale zarazem i godną spółczucia; autor umié nawet pozyskać dla niéj na chwilę głęboką sympatyę czytelnika, lecz gdy się dowiadujemy, że ona sama, umyślnie a zgoła niewinnie podaje w podejrzenie swoją dobrą opinię, opowiadając ludziom o przyjacielskim stosunku z mężczyzną jako o miłosnym, poprostu tylko dla popisu, to musimy sobie powiedziéć, że ta kobiéta nie ma zgoła nietylko poczucia moralnego, ale i taktu.

W osobnéj książce p. n. „Bankruci“ jeszcze jaskrawiéj występuje mieszanina pięknych pozorów i ordynarnego gruntu usposobienia. Jesteśmy tu w sferze fabrykantów i przemysłowców, o ich je-

dnakże zatrudnieniach dowiadujemy się bardzo mało, bo spotykamy ich prawie wyłącznie w stosunkach towarzyskich. Rej tu wodzą kobiéty które wydobyte z biédy przez świeżych dorobkiewiczów, ceniących w nich piękność, dobre maniery i związki rodzinne ze sferą mniéj więcéj arystokratyczną, za całe zadanie życia mają trwonić majątek zdobywany przez małżonków. Rauty, bale, widowiska i miłostki następują po sobie i łączą się ze sobą w nieustannym korowodzie. Dzieci otrzymują staranne salonowe wykształcenie; doskonale się umieją popisywać w tańcu i salonowéj rozmowie, o interesach zaś zgoła nie mają wyobrażenia. Synowie utrzymują stosunki z całą czeredą baletnic czy wogóle półświatówek; córki flirtują w salonie, matki stroją się i nie dają się pożyć starości. Życie uważają za nieustający karnawał i stosownie do tego postępują. Ich słowa, giesta, porównania, są zazwyczaj brane ze świata teatralnego; uczucia głębokiego brak, natomiast mnóstwo zachcianek. Przedstawicielki płci pięknéj prawie wszystkie tak się czasami zachowują, takie wyrażają myśli, takie robią zestawienia, jakby się wcale nie liczyły do „dobrego towarzystwa“, jakby się z lubością przejmowały gwarą kawalerską-łobuzowską, lub jakby były aktorkami.

Jest na początku powieści doskonale skreślona scena, w któréj wobec grożącéj ruiny zbiéra się towarzystwo, mające razem udać się na bal. Panuje tu maskaradowa swoboda: niby-miłosne szepty i przekomarzania się, improwizowane tańce, udawanie burczenia muchy, sapania lokomotywy, mówienie sobie *ty* przez dorosłą pannę i dorosłego mężczyznę, który ma „swobodę kuzynka“, błazeństwa i „kawały“ urzędowego bawiciela towarzyskiego i t. d. i t. d., zupełnie jakby na jakiémś tłumném a krzykliwém widowisku. Co się gdzieindziéj mówi pocichu, tu się wyraża głośno; skrupułów z moralnością się nie zachowuje. Gdy przychodzi bankructwo, nieudolność życiowa tych osób ujawnia się jaskrawo. Jerzego nudzą zajęcia w fabryce, na któréj się zgoła nie zna, woli uprawiać miłostkę z panią Klarą, brać od niéj pieniądze, podpisywać jéj męża na wekslu, a w końcu decyduje się na jedyny krok energiczny — zabija się. Kobiéty niby to chcą robić oszczędności; właściwie oczekują bezczynnie zmiłowania bożego; matka pragnie jakkolwiekbądź wydać którą z córek za mąż, byle mieć u niéj kącik. Jedna tylko Helena, zawiedziona w miłości, szuka ukojenia w pracy nauczycielskiéj.

Atmosfera moralna, w któréj przebywa towarzystwo „Bankrutów“, jest niezdrowa; nie ma w niéj stałych i trwałych zasad, są tylko chwilowe popędy i nastroje, po większéj części egoistyczne i grubo zmysłowe. Ponieważ autor nie lubi wskazywać przyczyn, trudno zro-

zumiéć, jak wśród niéj mogła się wychować choćby taka względnie dobra i uczciwa postać jak Helena. Rady na zapobieżenie zepsuciu p. Konar nie daje również; napomyka tylko pobieżnie przez usta jednéj z osób, że głównym czynnikiem rozkładowym tego światka są kobiéty, żądne blasku i użycia, czém nasuwa uwagę, iż trzebaby z gruntu zreformować ich wychowanie. Ale, że nie zdaje się wierzyć w skuteczność przestróg, wolał pozostać na stanowisku przedmiotowego malarza.

I na tém stanowisku wybornie, a w wielu miejscach świetnie się wywiązuje z tego zadania. Obserwuje bystro, kreśli figury i sceny rysami pewnemi i stwarza sytuacye, będące częstokroć zupełną a wielce zajmującą nowością w naszém powieściopisarstwie. Jedném słowém zdobył sobie w téj sferze fizyognomię odrębną.

Styl p. Konara jest jędrny, jak to mówią dzisiaj, nerwowy; język wogóle poprawny; gdzieniegdzie tylko trafi się wyrażenie nie swojskie, przez Sienkiewicza niestety upowszechnione: *zeznawać* zamiast: mieć świadomość, wiedziéć; albo téż taki obcy frazes jak: „uradowała go ta *wiadomość listów*“ (Bankruci, str. 195).





ROZBIORY I SPRAWOZDANIA.

Dr. Aleksander Semkowicz: „Walka o monarchię 1288 do 1294 r.“ ustęp z dziejów piastowskich. Lwów, 1892 r.

Mamy przed sobą rozprawę historyczną znanego krytyka Długosza, prof. A. Semkowicza, — niewielką co do objętości, ale bezwarunkowo ważną dla poznania mglistych dziejów Polski w podziałach.

Po śmierci Leszka Czarnego, dobroczyńcy zniemczonego mieszczaństwa krakowskiego, w r. 1288, nie było właściwie pewnego następcy tronu. Wprawdzie brat przyrodni zmarłego, książę Władysław Łokietek, odziedziczył Sieradz, dziedzictwo Leszkowe, ale z tego nie wynikało jeszcze, ażeby miał także objąć księstwo krakowsko-sandomierskie, gdzie potęga baronów i prałatów rozporządzała tronem, wybierając tego lub owego z grona rozrodzonych potomków Bolesława Krzywoustego. P. Semkowicz przypuszcza, że dobroczyńca mieszczan, Leszek, przyznał prawo następstwa po sobie w Krakowie — Henrykowi IV-mu wrocławskiemu, zaraz bowiem po śmierci księcia oświadczyło się za Henrykiem mieszczaństwo i część baronów za przykładem kasztelana krakowskiego Sulka, znanego przyjaciela Leszkowego; co więcej, Przemysław, możny książę wielkopolski, także przyznał, że Henryk ma prawo do sukcesyi księstw krakowskiego i sandomierskiego, czego nie mógłby był uczynić, gdyby nie istniała przypuszczalna wola zmarłego Leszka. Także inne przyczyny każą się domyślać, że ks. wrocławski był naznaczony na następcę przez Leszka, był bowiem zniemczony Szlązak zarówno, a może nawet więcej dobroczyńcą miast, niż zmarły ks. krakowski, być więc może, że doradcy Leszka sami skierowali umysł jego na łożu śmierci ku księciu

szląskiemu. Ale obok mieszczańskiego istniało w Krakowie nie mniéj potężne stronnictwo staro-szlacheckie, na którego czele stał wróg zmarłego księcia, biskup Paweł z Przemankowa, ten sam, który ongi wzywał na tron przeciw Leszkowi mazowieckiego Konrada II. Obecnie także garstka szlachty zawezwała Konrada na tron, ale Lublin nie wpuścił go do miasta, tudzież oparł się najazdowi Rusinów pod Jerzym Lwowiczem. W Krakowie wybuchła tymczasem wojna domowa. Podczas kiedy na wezwanie biskupa Pawła, obrała szlachta na zjeździe w Sandomierzu księciem brata Konradowego — Bolesława mazowieckiego, kasztelan Sulko z mieszczaństwem otworzyli bramy stolicy Henrykowi wrocławskiemu, który przecież jawnie głosił, „że w rozwoju mieszczaństwa tkwi pomyślność panującego.“ W tém miejscu powinien był—zdaniem naszém—autor choć pokrótce wyjaśnić antagonizm ówczesny cechowego mieszczaństwa ze szlachtą; antagonizm, który dawniéj znacznie obudził się na Zachodzie, w Polsce zaś przybrał ponadto charakter walki plemiennéj — słowiańskiéj szlachty z niemieckiém mieszczaństwem.

Na razie mieszczanom uśmiechnęło się powodzenie, bo ani mazowiecki Bolesław, ani drugi książę szlachecki, Łokietek, nie potrafili opanować Krakowa, który pozostał pod rządami szląskiemi, tylko Sandomierz i to dopiéro po śmierci ks. Henryka zajął Łokietek. Umierając w r. 1290, mianował ks. Henryk sukcesorem swoim w Krakowie — ks. wielkopolskiego Przemysława, posiadłości zaś szląskie przekazał ks. głogowskiemu, Henrykowi, mimo pretensyi Henryka ks. lignickiego i czeskiego króla Wacława II.

Z zupełném uznaniem możemy przyjąć za fakt dziejowy—wynik rozumowań prof. Semkowicza, że ks. Henryk w testamencie swym chciał położyć podstawy do odbudowania monarchii polskiéj, w któréj władza przeszłaby w ręce głogowskiego Henryka, przeznaczonego już przedtém na następcę po wielkopolskim Przemysławie, dziedzicu Pomorza. Nieobliczone mogłaby Polska odnieść korzyści, gdyby testament Henryka IV został wykonany. Wprawdzie z Szląska mogłaby się posunąć na Wschód germanizacya, ale germanizacya ta była, jak słusznie zaznacza autor, tylko powierzchowną, bo zresztą Szląsk był w istocie rzeczy niemniéj polskim, jak reszta Lechii.

Wielkopolski Przemysław, stosownie do woli zmarłego Henryka, został wprawdzie powołany na tron krakowski, ale sprawy Pomorza nie pozwoliły mu utrwalić tam swéj władzy — nie zdał jéj jednak na Łokietka, który opierał się na szlachcie, lecz na króla czeskiego Wacława. Także na Szląsku nie utrzymał się testament Hen-

ryka IV-go, bo nie ks. głogowski, tylko lignicki zajął wrocławską dzielnicę.

Na tém kończy się rozprawa prof. Semkowicza, napisana jasno i krytycznie; my pozwolimy sobie dodać na zakończenie słów kilka.

Wiadomo, że po śmierci Przemysława monarchia polska odżyła pod czeskim Wacławem. Było to krótkie wypełnienie testamentu Henryka w tym sensie, że miasta w Polsce zaczęły decydująco wpływać na losy kraju obok feudalnéj szlachty; niestety, równowagę tę zaprowadził nie rodzimy książę szląski, ale obcy monarcha — to téż Łokietek ze szlachtą stali się wobec tego faktu reprezentantami niezawisłości państwowéj, jako tacy zyskali ostatecznie poparcie większości narodu i po śmierci Wacława upadły próby, dążące do popchnięcia Polski na tory przeważnie zachodnie; Łokietek zbudował monarchię prałatów i baronów, — Szląsk i Pomorze odpadły od pnia rodzimego. *Kazimierz J. Gorzycki.*

NOWOŚCI NAUKOWE I LITERACKIE.

— *Zygmunt Niedźwiecki*, **Słońce.** Nowelle i szkice (Kraków, 1892, str. 209). Autor, dopiéro zawód swój rozpoczynający, zostaje widocznie pod silnym wpływem naturalizmu francuskiego, nietylko pod względem metody pisarskiéj i stylu, lecz także pod względem wyboru tematów. Ubiegając się o pochwycenie „dokumentów“ życia ludzkiego, ścieśnia zakres jego objawów, tak że wreszcie poddaje obserwacyi same tylko niemal zwierzęce właściwości i funkcye, jak dążność do zaspokojenia głodu, zadośćuczynienia popędowi płciowemu i instynktowi zachowawczemu, rozuzdania miłości własnéj, albo téż takie przymioty, które bywają wynikiem rozpasania, jak przytłumienie zdolności myślenia i panowania nad swojemi żądzami, chorobliwe rozbujanie wyobraźni, straszliwe zdenerwowanie. Nietylko zaznacza, że w każdym człowieku siedzi przyczajone zwierzę, lecz to jedynie zwierzę bierze pod uwagę, przypatruje mu się pilnie i opisuje przedmiotowo, swobodnie, lekko, jakby rzecz najzwyczajniejszą, jakby powszednie zjawisko natury. Podniosłość uczuć, ofiarność, litość, rozrzewnienie nie wchodzą w sferę jego spostrzeżeń tak samo, jak wyrzuty sumienia, walka z popędami, niepokój moralny. Mężczyźni są tu wszędzie szczęśliwymi Don-Żuanami, bo kobiéty nie myślą im stawiać oporu, przyjmując ich zaloty z taką łatwością, jak propozycyą zjedzenia ciastka, i uważając swoje zapomnienie się za równoznaczne ze spłataniem wesołego figla... mężom, za wcale nie gorszy sposób

przepędzenia czasu, jak wyjście na przechadzkę. Bo nie same kobiétki „lekkich obyczajów“ wchodzą do szkiców p. Niedźwieckiego; są tu i powabne mężateczki i córeczki poczciwych mieszczan („Pierwszy maja“, „Nowa era“), Nie można powiedzieć, żeby p. N. lubował się w szczegółowém malowaniu zmysłowością dyszących sytuacyi, on je tylko nasuwa wyobraźni czytelnika, nieraz bardzo zgrabnie i dowcipnie; ale że wybiera temata drastyczne z zamiłowaniem, świadczy o tém fakt, że przeważną część swoich obrazków na nich właśnie osnuł („Zwierzenia“, „Posag“, „Pies“, „Kłopot“, „Wybór“, „Opiekunowie“ i t. d.). Nie będę tu przedstawiał ich treści; z téj charakterystyki, jaką powyżéj podałem, łatwo ją sobie wyobrazić w ogólnych zarysach; to tylko dodam, że autor unika zazwyczaj starannie oznaczania miejscowości, w któréj rzecz się dzieje, a cech znamiennych narodowości, prócz samego języka, jest tak mało, że można przypuścić, iż autor miał na widoku ogólne stosunki towarzyskie w Europie, a nie specyalnie polskie. Pewne nawet zwroty, pewne drobne okoliczności wyglądają tak, jakby wprost były brane z powieści francuskich doby najnowszéj. Istotnie prócz obrazka „Nowa era“, gdzie wymieniona jest miejscowość „Kąt“ i scharakteryzowana gorączka naftowa, nie przypominam sobie, by gdzieindziéj stosunki miejscowe były wyraźnie odznaczone. Co jest rzeczą charakterystyczną, to fakt, że tylko te lekkomyślne, drastyczne, zmysłowe szkice jaśnieją naprawdę talentem, a mianowicie dowcipem, lekkością, przymiotami stylowemi. Inne, lubo nie są bynajmniéj niezdarnemi, nie przedstawiają owych zalet w takim stopniu rozwinięcia jak pierwsze. „Pulares“ np. ma niewątpliwie dużo trafnie zaobserwowanych rysów z życia, zachowania się, sposobu mówienia rodziny rzemieślników (nie polskich specyalnie, ale rzemieślników wogóle), która, spodziewając się odziedziczyć po ojcu znaczną sumę, widzi się jéj nagle pozbawioną, czy to dlatego, że zmarły ją zgubił, czy że go oszukano. Ale w opisie podejrzeń, poszukiwań, wymysłów i przekleństw nie ma autor téj swobody i wdzięku, co w swoich swawolnych opowiadaniach; rzecz się trochę ociężale ciągnie. Podobnie w opowiadaniu p. t. „Klucze“, obok niezłych rysów weselnych wśród rzemieślników, katastrofa spowodowana zemstą cichego i milczącego „kochanka-sieroty“, który przez czas długi był prawą ręką i opatrznością rodziny, co go przyjęła, nie jest artystycznie i psychologicznie umotywowana, i pomimo grozy faktycznéj ginie w powodzi powszedniości i trywialności. „Ojciec“-nędzarz, chcący na łożu śmierci zapewnić nazwisko swemu synowi, przedstawia się melodramatycznie. „Matka“-egoistka, rozrywająca związek swéj córki z narzeczonym, jest satyrą trochę prze-

sadną. „Mara“ prześladująca mężczyznę wskutek auto-suggestyi w wielu szczegółach przedstawia się dziwacznie i niejasno. „Słońce“— dające tytuł całemu zbiorowi — jest nieudatną próbą dowcipu, żeby w rozmyślaniu o tém ciele niebieskiém, zazwyczaj radość i życie budzącém, wynaleźć powody do pesymizmu. „Życie“ jest nagromadzeniem różnych ładnie wypowiedzianych refleksyi dla zakończenia ich dość powszednim konceptem o władzy instynktu zachowawczego. Z tego poglądu nie chcę wyprowadzać wniosku, by talent p. N. był fatalnie skazany na przebywanie w miejscach, przepełnionych zaduchem i wszelkiego rodzaju fetorami; sądzę owszem, że po przeminięciu oszołomienia tą niezdrową i wstrętną atmosferą, zwróci się on do dziedzin o czystszém względnie powietrzu, a niemniéj prawdziwych a nawet prawdziwszych niż te, w których dotychczas najczęściéj się obracał. Młodzież wiele robi rzeczy złych dla popisu; udaje apatyę, cynizm, wyżycie się, lekceważenie praw moralnych i t. p.; lecz wierzę że w głębi duszy ma ona cześć dla ideału, która i w twórczości poetyckiéj prędzéj lub późniéj przejawić się musi.

= P. *Józef Kallenbach,* obecnie profesor literatur słowiańskich w Fryburgu szwajcarskim, znany ze swych prac krytycznych nad pismami Mickiewicza, ogłosił bardzo zajmującą rozprawę o Mickiewiczu, w któréj przedstawiwszy poglądy naszego poety na twórczość dramatyczną, oraz próby stworzenia dramatu przezeń podejmowane, kreśli genezę „Dziadów“ i wykazując różnorodne wpływy, jakie na utworzenie poematu tego oddziałały, przypomina wzmiankę Odyńca, iż Mickiewicz nosił się w Rzymie z myślą napisania tragedyi „Prometeusz“ i stara się wykazać, że w postać Konrada weszły także Prometeuszowe pierwiastki i że fragment dramatyczny Goethego p. t. „Prometeusz“ mógł wpłynąć „pośrednio“ na rozwinięcie niektórych myśli improwizacyi. Przytoczone przez autora zestawienia słów bohatera Mickiewiczowskiego i Prometeusza Goethego dają istotnie dowody dość przekonywające na korzyść téj hypotezy, a odczytanie całego fragmentu Goethego stwierdza w usposobieniu do jéj przyjęcia. Uważamy tedy pracę p. K. za cenny przyczynek do poznania twórczości naszego poety. Natomiast ze zdziwieniem odczytujemy w „Miscellaneach“ podanych przez p. Kallenbacha (str. 191) wiersze Mickiewicza, znajdujące się we wszystkich edycyach jego dzieł, przedstawione tu jako nieznane. Autor postępuje z niemi jak istotny odkrywca: rzuca domysły, kiedy mogły być napisane, przypuszcza, że one nie wejdą do wydania zbiorowego dzieł

Mickiewicza ale w „Pamiętniku“ ogłoszone być winny i t. d. Odnosi je do „epoki wileńskiéj, do czasu tworzenia czwartéj części Dziadów, czuje w nich „woń młodocianą, wdzięk i czułość zachwytów Gustawa“. Cały ten wywód i te domysły są zupełnie zbyteczne, bo każdy czytelnik dzieł Mickiewicza może napewno powiedziéć, kiedy i gdzie te wiersze zostały napisane. Stanowią one zakończenie ładnéj canzony Petrarki: „O jasne, słodkie, „przeczyste wody“, przełożonéj przez Mickiewicza r. 1827 we wsi Ostafiewo pod Moskwą. Ogłoszony przez p. Kallenbacha z rękopismu tekst różni się od drukowanego w 4 głównie wierszach. Zamiast:

Ten kwiatek do nóg jéj pada,
Ten odleciał i smutny chce się w strumień rzucić,
Inny błądzi w powietrzu i zdaje się nucić:
Tu miłość włada —

w rękopiśmie, jak podaje p. K. mamy następną redakcyę, mniéj poprawną:

Ten kwiatek u nóg jéj siędzie,
Ów do wód strumienia padnie,
Inny błądzi z wietrzykiem i w rozkosznym błędzie
Zdaje się nucić: Tu miłość władnie.

Dwie inne odmianki są bardzo drobne: myśliłem (nie myślałem), którędy (nie zaś: *a* kędy). P. K. przejęty myślą, że znalazł coś nowego w rękopiśmie, nie zachował téj ostrożności, żeby wprzód zajrzéć do dzieł poety, nie spuszczając się na pamięć, która zarówno zwykłych śmiertelników jak i krytycznych zawieść może — i zamiast podać waryanty, pośpieszył z ogłoszeniem odkrycia, znanego od lat z górą sześćdziesięciu.

= *St. P.* **Beatus** (Warszawa, 1892, str. 23). Jest-to opowiadanie żebraka, wychwalającego „dobroć Pana“, chociaż złe losy pokój jego stargały. Utracił on żonę przy połogu. Syn jego wielce zdolny ukształcił się na lekarza-akuszera, wielu niewiastom oszczędził cierpień, wiele od śmierci uchronił. Ale utracił wiarę i wyśmiewał naiwne zaufanie ojca w dobroci Boga. Ożenił się i sztuka jego okazała się bezskuteczną, gdy mu własną żonę przyszło ratować,—zwaryował, bluźniąc. Ojciec zniósł i ten cios, chodzi po żebraninie i na dowód dobroci Pana dzieje swe opiewa. Nie chcemy doszukiwać się ironii w całości poematu, bo autor jéj nie uwydatnił; bierzemy poemat w jego dosłownem brzmieniu. Nie znajdujemy w nim materyału naprawdę poetycznego; uczucie nie jest wyrażone ze szczególną mocą i dobitnością; styl nie obfituje w piękno i nowe zwroty. Natomiast wpada

w oczy oryginalna budowa zwrotki ośmiowierszowéj, pierwszy raz u nas, o ile wiem, w ten sposób zbudowanéj (*abc abc dd*), którą autor włada bardzo dobrze, nigdy nie posługując się niepotrzebnemi wstawkami rymowemi, a rzadko wpadając w tautologię. Dla téj ładnéj formy poemacik wart jest poznania. Językowych błędów nie zauważyłem. Wydany jest pięknie i w pewnéj mierze oryginalnie; widać i stroną zewnętrzną zajmował się umysł, wielce dbający o formę.

— *Wacław Wolski*, **Burza** (Warszawa, 1891, str. 14). Jest-to dopiéro „śpiew 1“ jakiegoś dłuższego poematu; daje on jednak dostateczną miarę umysłowości i uzdolnienia autora. Prawdopodobnie przez tytuł swego utworu chciał wyrazić zawieruchę, panującą w swéj głowie podczas pisania i najróżnorodniejsze bowiem pomysły i uczucia, od tragicznych do trywialnych, w nieustającym galopie bez ładu i składu przesuwają się tutaj, nie tworząc nietylko żadnéj większéj całości, ale nawet w mniejszych ustępach nie przedstawiając logicznéj spójni. Autor poprostu dał się unosić wyrazom i rymom i od nich, a nie od siebie był zależnym. Następne 6 wierszy da wyobrażenie o reszcie:

Ileż piękna, światła, wody ile
Mózg zalewa i oczy i uszy
I na papiér płynie z głębi duszy,
A w białych, przez wiatr stłoczonych chmurach
Siwieją śniegiem łby stare—szczyty,
Rzekłbyś: „To śmieszne są troglodyty!“

Wyznajemy szczerze, że do dalszego ciągu nic nas nie ciągnie.

— **Krytyka krytyki i literatury.** Nieznany utwór Juliusza Słowackiego. Z autografu poety wydał dr. Bolesław Erzepki (Poznań, 1891, str. 23). W papierach po Kazimierzu Szulcu znalazł się ten rękopism, przesłany niegdyś przez Słowackiego do „Orędownika naukowego“ w końcu września 1841 r., ale nie wydrukowany. Jest-to rzecz przeważnie osobista. Poeta rozdraźniony lekceważącemi wzmiankami o dziełach swoich, pomieszczanemi w „Tygodniku literackim“, chciał wydrwić w osobnym artykule zarówno recenzentów, jak i poetów Tygodnikowych, przytém ubocznie mierzył téż w Mickiewicza, wyśmiewając niezdarnych jego naśladowców. Siebie przedstawiając jako Szekspira „obleczonego w ciało słowiańskie“, któregoś ze spółczesnych karykaturzystów, jak Hogarta „mówiącego po polsku“, kreśli scenę rozmowy pomiędzy „Orędownikiem“ a „Ty-

godnikiem", oraz udział w niéj wzięty przez siebie i Hogarta, który na paznogciu rysuje satyryczne sylwetki rozmówców. Wiele jest złośliwości w tym dyalogu, w którym nie szczędził Słowacki ani „Orędownika", ani „Tygodnika", ale mało rzeczywistego dowcipu i rozleglejszych idei, jakieby téj okolicznościowéj satyrze trwalsze mogły nadać znaczenie. Pan Erzepki we wstępie bardzo dobrze uwydatnił ważniejsze ustępy i objaśnił je odpowiedniemi zestawieniami.

— *Cezary Jellenta.* **Studya i szkice filozoficzne.** (Warszawa, 1891, str. 288). Przeważna część rozpraw tu pomieszczonych, drukowana była w „Ateneum"; zbyteczném więc byłoby rozwodzić się nad ich zaletami wobec naszych czytelników, którzy znają gruntowny, a jednak jasny, przystępny, często ozdobny sposób opracowywania tematów przez p. Jellentę. Treść tych rozpraw obraca się głównie około kwestyi etycznych i społecznych, z pilném zawsze uwzględnieniem stosunków miejscowych. Mówi tu więc autor o „Epidemii rozpaczy", jaka się przed kilku laty przejawiła w naszéj drobnej nowelistyce, następnie przechodzi do określenia „Pesymizmu i etyki", do przedstawienia i krytyki „Etyki nierogacizny", oraz„ Etyki Wundta". Z działu społecznego mamy tu dwa obszerne artykuły: „Historyozofia w najnowszém oświetleniu" i „Czy społeczeństwo jest organizmem?" W polemicznéj z p. Witkiewiczem dyskusyi p. n. „Sekta estetyczna", broni autor znaczenia myśli, tematu w utworach sztuki. Wogóle wszędzie zajmuje Jellenta podniosłe moralnie stanowisko, walcząc dzielnie i z zapałem w obronie ideału. W końcowym arkykule: „Zarys syntezy" stara się autor dotrzéć do pierwotnego źródła sądów etycznych i widzi je w kulcie woli, która, zdaniem jego, sama przez się, bez względu na to, czy jéj działalność będzie pożyteczną dla społeczeństwa, czy nie, jest miarą moralności; nie wyciąga atoli stąd wniosku, że indywidalizm wygórowany, słuchający jedynie wskazówek własnéj woli, jest ideełem etycznym, lecz, owszem utrzymuje, że „na wyższych stopniach uspołecznienia, ideał woli jako kult siły i ideał dobra powszechnego bratają się (str. 284). Zdaniem jego, każdy, „kto pragnie mieć wewnętrzne poczucie siły, ma do tego drogę jedną i prostą: słuchać powinién regół altruizmu, poświęcenia, uczynności, myśléć o sobie mniéj niż o innych" (str. 285). Argumenta na poparcie owego wywodu i tego wniosku musiałyby być gruntowniéj rozwinięte, ażeby się stać przekonywającemi.

— *Czesław Pieniążek.* **Szare godziny.** Kraków, Gebethnera i Spółki. 1891. Trudno się zdecydować na właściwą definicyę prac

które znany i ceniony w Galicyi autor, Czesław Pieniążek, zebrał w swym tomiku. Nie są to nowele, tém mniéj jakiś całokształt wypadków życiowych, przedstawiające powieści; zarubrykować by je natomiast można pod kategoryę bezpretensyonalnych gawęd, które autor snuje o „Szaréj godzinie“ z własnych bogatych wspomnień, a opowiada z talentem i prostotą. Gawęd tych jest kilkanaście różnéj treści, rozmiaru i wartości. Większość z nich osnuta jest na tle życia prowincyonalnych miasteczek galicyjskich i może stanowić cenny przyczynek do wyrobienia sobie o niém pewnego wyobrażenia, zwłaszcza że autor stosunki te zna doskonale, opisuje barwnie i trafnie, a wcielając się myślą w warunki, jakie się złożyły na wytworzenie pewnych typów, opowiadanie swe zaprawia częściéj łagodnym uśmiechem pobłażania niż uszczypliwą satyrą. „Na balu“, „Wicunia“, a zwłaszcza dowcipnie opisana „Wojna białéj i czerwonéj róży“, to doskonałe obrazy waśni, intryg i téj domowéj atmosfery małomiasteczkowéj, w któréj rozwijają się drobne ambicye, a prywata niestety, zawsze prawie tryumfuje nad sprawą powszechniejszego znaczenia. Największą prawdą i uczuciem nacechowane jest opowiadanie „Pan Antoni“, wzruszające do głębi bolesną melancholią. Przedstawia w niém autor smutną, szarą dolę młodego nauczyciela gimnazyalnego, tak zwanego w Galicyi suplenta. Kwestya niesłychanie małego uposażenia, wobec wymagań ogromnéj pracy takich suplentów, któremi rada szkolna zastępuje kosztowniejszych profesorów, podnoszoną już była w ostatnich czasach wielokrotnie w dziennikach i na zjazdach pedagogicznych, to téż powiastka p. Pieniążka, oprócz innych zalet, posiada i tę jeszcze, że omawia sprawę na czasie, niesłychanie ważną dla mnóstwa młodych pracowników. Wielu jest takich, co, jak p. Antoni, poświęcają cały swój zasób wiedzy i dobrych chęci żmudnéj pracy pedagogicznéj, targając swe siły i życie w zapasach z groźném widmem niedostatku i walki o kawałek chleba. Pozbywają się oni wszelkich ambitnych rojeń i szlachetnych aspiracyi. Życie wyczerpie się nieraz zanim los łaskawy uśmiechnie się dla tych wydziedziczonych. I bohatér opowieści, p. Antoni, czternaście lat pracował nad siły, ale że przez dwadzieścia, czekając wakansu na posadę profesora, był tylko suplentem — przeto w chwili zgonu zostawił wdowę i siéroty bez żadnego zabezpieczenia losu, żadnéj emerytury, prócz drobnego jednorazowego wsparcia. Z podania o Wilkołakach, w które przechodzą dusze niewinnie zamordowanych, stworzył p. P. ładną fantastyczną bajkę, brak jéj jednak poetycznego polotu. „Ożeniłem Wujaszka“ jest farsą, nie mającą żadnego podkładu prawdopodobieństwa... „Jak się żenić“ — to gawędzenie, już nawet nie gawęda, w którém za-

niedbanie stylu i niewykończona forma literacka razi wielokrotnie. Wogóle autor maluje dosadnie, ale grubemi rysami, nie wdając się w subtelne cieniowanie; fakta obserwuje dobrze, ale ludzi niezmiernie powierzchownie. Nie zadaje sobie téż trudu głębszéj ich obserwacyi, a może tylko wobec swéj różnorodnéj pracy nie ma na nią swobodnego czasu. *Nit.*

= *Aleksander Kraushar.* **Drobiazgi historyczne. II.** Petersburg, 1892 r. Mamy przed sobą drugi z rzędu tomik krótkich historycznych szkiców, skréślonych przez p. A. Kraushara, znanego autora „Olbrachta Łaskiego“, „Czarów na dworze Batorego“ i t. d. W 1-szym tomiku swych „drobiazgów“ skréślił autor wcale szczęśliwie kilka charakterystycznych wydarzeń z dziejów polskich — szczególnie XVII-go w.; obecnie tylko „Przygody francuza Payen'a“ odnoszą się do końca XVII-go, zaś „Notatki anglika Morisona“ do końca XVI-go w., reszta drobiazgów dotyczy bliższych nas czasów. W liczbie ostatnich uderza nas zaraz z wstępu pamiętnik Marka Reverdila, znany dobrze czytelnikom „Ateneum“. Obok tego cudzoziemca-karyerowicza na jednéj szalce można położyć krajowca-awanturnika Winiarskiego, który, jako hr. Ramzes Baltazzani kręcił się w Polsce Augusta III-go z zamiarem założenia lóż wolnomularskich, ale szlachta opiérała się mu, a władza rządowa postarała się o uprzątnięcie „proroka“. Przedrukowany w „drobiazgach“ dokument p. t. „*Nottes sur le Masque de Fer, envoyéess de Paris au Roi de Pologne*“ dorzuca kilka szczegółów do historyi, prawie legendowéj o tajemniczéj „Masce żelaznéj“. Obrazek Warszawy“ i „Wspomnienie trybunalskie“ — to już szkice bieżącego stulecia. „Obrazek“ jest przedrukiem rękopisu p. t. „Estetyka miasta Warszawy“ ze zbioru Antoniego Magiera, zmarłego r. 1837, b. profesora liceum warszawskiego; zaś „Wspomnienia“ polegają na własnéj pamięci autora. W tomie 1-szym „Drobiazgów“ widzimy w opowieściach p. Kraushara dążność do oparcia się na szerokiém tle ówczesnych stosunków społecznych; w 2-gim tomie tła tego prawie nie widać, autor występuje tutaj przeważnie tylko jako sprawozdawca źródeł, czasem dosłownie przedrukowanych. Przyznajemy przecież, że takie przedruki z nieznanych manuskryptów, odnoszących się do wewnętrznych stosunków w Polsce, tak z publicznego jak z prywatnego życia nie małą mają wagę dla historyka życia społecznego.

K. I. Gorz.

= **Ustawy hypoteczne** i przepisy o zatwierdzaniu aktów notaryalnych, obowiązujące w Królestwie Polskiém, z objaśnieniami *Fe-*

liksa Jezierańskiego, b. sędziego sądu apelacyjnego w Król. Pols. Część II-ga: Ustawa sejmowa z roku 1818. Tom I. Warszawa, 1892, 8-vo, str. 345 i VI. — Na niwie naszego piśmiennictwa prawniczego sędzia Jezierański jest jednym z najpilniejszych pracowników, zdanie jego używa wśród cywilistów wielkiéj powagi, a że dobrze zasłużonéj, o tém świadczy dzieło, którego tytuł wymieniono wyżéj. Rozpoczął autor nad niém pracę już dawno i ogłosił pierwszą część onego przed laty dziewięciu. Ciężka choroba spowodowała długą przerwę, ale gdy siły pozwoliły, p. Jezierański powrócił do podjętego zadania i przeprowadza je z gorliwością, któréj sędziwy wiek autora w niczém osłabić nie zdołał. Porządek wykładu zastosowany jest do systemu przyjętego w zasadniczéj ustawie hypotecznéj z r. 1818. Znaczenie danego przepisu wyjaśnia autor motywami redaktorów prawa, zdaniami wygłoszonemi podczas dyskusyi nad jego projektem, ustawami, które mu za wzór służyły, wykładnią przyjętą w wyrokach wyższych instancyi sądowych, jak b. IX departamentu rz. senatu, izby sądowéj warszawskiéj i cywilnego departamentu kasacyjnego w Petersburgu. Gdzie tych podstaw, wedle zdania autora, nie starczyło, rozwija on własny pogląd, sięgając do prawa rzymskiego, komentatorów francuskich i t. p. Gruntowne znawstwo całego obszaru prawa cywilnego, które zdobył wieloletnią pracą teoretyczną i praktyczną, chroni go w rozumowaniu od manowców jednostronności, a szczere zamiłowanie prawdy prowadzi do porzucenia dawniéj głoszonego zdania, jeśli się o słuszności przeciwnego przekonał. P. Jezierańskiego można uważać za prawnika szkoły francuskiéj, który się na jéj klasyczne wzory zapatrywał. W wywodach swych jest gruntowny— wskażemy tu jego określenie różnicy między prawem rzeczowém kodeksu cyw. francuskiego, a prawem hypotekowaném, — praktyka sądowa nie zrobiła go rutynistą, ale dała mu oględność, wyrosłą z przewidywania złych skutków pewnego postąpienia pod względem formalnym prawnego (ob. rzecz o pełnomocnictwie, np. w ustępie 34). Nie wiele przywiązuje autor wagi do wykwintu formy pisarskiéj, dba natomiast o ścisłość określeń, rażą go przeto pomniejsze nawet usterki w przekładach; zaznacza je téż przy sposobności (np. na str. 105), z obawy, aby nie stały się źródłem mylnéj wykładni prawa. Jaskrawéj polemiki, któraby powadze książki naukowéj ubliżała, starannie unika, ale zdań przeciwnych nie pomija milczeniem, przez co czytelnikowi wyrobienie własnego sądu ułatwia. Jeżeli jeszcze dodamy, że książka obejmuje odnośne przepisy notaryalne, taksy opłat, wyjątki z ustaw Towarzystwa kredytowego ziemskiego i takiegoż towarzy-

stwa miasta Warszawy [1]), instrukcyę co do ksiąg hypotecznych nieruchomości górniczo-przemysłowych, oraz wyciąg z prawideł postępowania banku ziemskiego włościańskiego, — to przyznać wypadnie, że praca p. Jeziorańskiego jest istotnie pożyteczną i na stole każdego prawnika-cywilisty znaleść miejsce powinna. Słusznie też Kasa imienia Mianowskiego uczyniła, ułatwiając przez swą zapomogę ogłoszenie drukiem takiego dzieła.

= *Paul du Bois-Reymond*, **Ueber die Grundlagen der Erkentniss in den exacten Wissenschaften.** Tübingen, 1890, str. 130. — Jest-to pośmiertne dzieło byłego profesora matematyki, brata znanego fizyologa Emila du Bois-Raymond. Treść jego (która była przedmiotem wykładów w ciągu jednego zimowego semestru) stanowi określenie granic i zbadanie istoty mechanicznego objaśniania zjawisk przyrody, przyczém autor przeważnie zastanawia się nad zasadniczemi pojęciami fizyki. Książka niniejsza opracowaną została według rękopisu autora przez d-ra Gwidona Haucka. Autor zaznacza przedewszystkiém, że nie należy pojmować wyrazu „objaśnienie“ (*Erklärung*) w tém znaczeniu, jakoby miało ono usunąć wszystko, co jest zagadkowém, gdyż przeciwnie, w ostatecznych wyobrażeniach, do których wiedza ściąga zjawiska, zagadkowość zawsze zostaje. Dlatego zamiast wyrazu „objaśnienie“ autor używa innego—syntezy, czyli odtworzenia zjawisk z najprostszych mechanizmów. W wiedzy ścisłéj można zaznaczyć trzy kierunki. Pierwszy (empiryczny) dąży do zwiększenia ilości faktów i ich uporządkowania, przy pomocy obserwacyi metodycznéj i doświadczeń naukowych. Drugi (mechaniczny) ma na celu wysnucie praw przyrody, ujmujących mnogość zjawisk w możliwie małéj ilości form zasadniczych, a te formy znów wysnuć z oddziaływania najprostszych, elementarnych mechanizmów (np. atom z przypisanemi mu siłami). W każdym zakresie wynajdują się odpowiednie mechanizmy, bez troski o to, czy nie zostają w sprzeczności między sobą. Trzeci kierunek (meta-mechaniczny), nie zadawalniając się tém skupieniem zagadkowości w mechanizmach elementarnych, dąży do tego, aby przekroczyć tę ostatnią granicę, lub naocznie się przekonać, że jest nieprzekraczalną. Szuka on odpowiedzi na pytanie, czém jest atom, siła i t. d. Zatrzymuje się przedewszystkiém autor nad zagadnieniem: czy materya jest ciągłą, czy też składa się z drobnych cząsteczek? Za pomocą prostego rozumowania wykazuje

---

[1]) W dalszym tomie dzieła uwzględnione zapewne będą ustawy towarzystw kredytowych, które w innych miastach Królestwa istnieją.

się, że przypuszczenie ciągłości prowadzi do niedorzecznych wniosków fizycznych; zresztą cały szereg zjawisk zmusza nas do przyjęcia budowy cząsteczkowéj. Cząsteczka taka w najprostszéj swéj formie jest atomem obdarzonym siłą działającą w odległości. Daléj w osobnym rozdziale wykazuje się, że nigdy nie będziemy w stanie usunąć z fizyki podobnego rodzaju sił; pomijając bowiem trudności konstruowania sił, działających w odległości z innych sposobów działania (ciśnienia lub ciągnienia) same te sposoby są tylko faktami empirycznemi, które analiza naukowa rozkłada na siły cząsteczkowe, — a więc przyciągania w odległości. Obszerny rozdział poświęcony jest pojedyńczym syntezom naukowym. — Rozważając teoryą granic w matematyce, autor wysnuwa dwojaki pogląd tak na granice matematyczne, jakotéż na graniczne zjawiska w fizyce; pogląd idealistyczny przypisuje byt rzeczywisty pojęciom granicznym (np. bezwzględnie prosta linia, koło doskonałe); teorya empiryczna nadaje temu pojęciu znaczenie wyrazu, którym się posługujemy, ażeby wykazać, że możemy w dowolnym stopniu zbliżyć się do oznaczonego przezeń kresu, nigdy nie będąc wstanie osiągnąć go. Stosując to do pojęć fizycznych, autor powiada, że, jakkolwiek ogół woli wyobrażenia naoczne atomu lub drobiny, badacze chętniéj się przechylą do poglądu idealistycznego, przyjmując ośrodek siły niemateryalny na miejsce atomu. W taki sposób materya zamienia się w ośrodki sił, działających w odległości („*Fernkraft und Materie sind Eins*“, str. 103). Myśl coraz więcéj wyzwala się z form zmysłowych, ostatnim, niedającym się rozłożyć pierwiastkiem wiedzy zostaje siła. W ostatnim rozdziale („O poglądach na świat“) wynurza autor przekonanie o istnieniu świata rzeczy w sobie („*das physische Jenseits*“, lub świat pozazjawiskowy), nieprzystępnego naszemu poznaniu. „Brak nam organu dla poznania rzeczywistości“ — powiada on. *Wł. K.*





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Drożyzna. — Obowiązki społeczne. — Ubezpieczenie oficyalistów. — Kasa oszczędności i lombard. — Publiczność lożowa.

Zagraża nam drożyzna. Razem z zimą, nieprzyjaciółką ubogich, zajrzéć może pod dach wieśniaka, wyrobnika wiejskiego i miejskiego niedostatek i brak chleba. Niedostatek dotknąć może i inne, tak zwane inteligentne klasy, pracujące po biurach, warsztatach i fabrykach. Czujność i liczenie się z rozmiarami niedostatku, ograniczenie go do *minimum* lub nawet uniknięcie zupełne za pomocą rachunku, zapobiegania i organizacyi, oto, co robić należy.

Naprzód jednak zauważmy, że klęski głodowéj, trapiącéj czy to kraj cały, czy nawet jedną jego okolicę, prawdopodobnie nie będzie. O ile z rozmów z osobami, a zwłaszcza z kompetentnymi rolnikami z różnych stron kraju i korespondencyi dziennikarskich wnosić można, głód w postaci klęski ogólnéj nie zagraża. Plon kartofli wprawdzie jest nie dostateczny, wynoszący tylko czwartą część ilości potrzebnéj do zasiewu, konsumcyi i gorzelni; wywołało to wielką, może niepraktykowaną o téj porze drożyznę tego produktu, dochodzącą, zależnie od miejsca, od 2 do 3 rs. za korzec. Lecz konsumcyę kartoflaną zastąpić będzie można zbożową, a urodzaj zboża był prawie średni; następnie pamiętać trzeba, że wielka ilość kartofli spożywaną była w latach urodzaju przez inwentarz i trzodę; w tym roku gospodarstwa dominialne i włościańskie od karmienia inwentarza tym produktem powstrzymać się muszą, co osłabi naturalnie intensywną siłę rolnictwa, lecz zapobiegnąć może głodowi. Między więc położeniem, wywołaném przez nieurodzaj, kraju naszego a wewnętrznych gubernii cesarstwa, gdzie susze zniszczyły zupełnie zbiory rolnicze, ścisłego podobieństwa nie ma. Zdawałoby się, że zastrzeżenie takie

uczynić można dla tych, którzy w wyobraźni swojéj widzą zbliżającą się już do nas klasyczną nędzę irlandzką. Tymczasem pierwszym warunkiem programu ratunkowego być powinno możliwie do prawdy zbliżone i dokładne ocenienie stanu rzeczy, bez wprowadzenia w grę czynników czarnéj grozy. Bez lekceważenia więc, ale i bez rozpaczy rozpatrzéć się i działać następnie należy.

Inicyatywę do zajęcia się sprawą podrożenia chleba i kartofli, do przedyskutowania i wskazania środków zapobiegawczych, dała prasa, co naturalnie było jéj najpierwszym obowiązkiem. Od kilku więc tygodni na szpaltach dzienników warszawskich widzimy artykuły specyalistów handlowych, rolniczych i technicznych, rozprawiających o cenach i taryfach, o wypieku chleba i wywozie kartofli, o wytwórcach, konsumentach i pośrednikach.

Dla lepszego wyjaśnienia rzeczy może będzie dobrze, jeżeli tę kwestyę chleba podzielimy na miejską i wiejską. Zdaje mi się, że zajęto się przeważnie pierwszą, a za mało drugą. Tymczasem obok pracowników miejskich, posiadających szczupłe środki egzystencyi, i obok proletaryatu miejskiego, żyjącego pod bezustanną groźbą utraty téj egzystencyi, mamy tak liczną klasę włościan małorolnych i bezrolnych, oraz wyrobników wiejskich, których razem proletaryatem wiejskim nazwać można. Przecież właśnie te najniższe, ekonomicznie upośledzone warstwy włościańskie dostarczyły głównego kontyngesu do słynnéj zeszłorocznéj emigracyi brazylijskiéj, która tak czy inaczéj była emigracyą naszéj ciemnéj nędzy za ocean. Przyczyna tego nierównomiernego obdzielenia uwagi publicznéj pierwszymi z krzywdą drugich, tkwi zapewne w fakcie, że prasa warszawska, będąc bliższą interesów miejskich, a zwłaszcza specyficznie warszawskich, kołatających codziennie do jéj drzwi pod wszelkiemi postaciami, widocznych, dotykalnych i do sprawdzenia łatwiejszych, wyznaczyła im oddawna uprzywilejowane miejsce. Sprawy zaś prowincyonalne, a zwłaszcza wiejskie, przenikające do niéj bez porządku i systemu, zależąc albo od referentów dziennikarskich, nie znających interesów lokalnych i traktujących je z intuicyi, pamięci i oderwanych wspomnień, albo z powierzchownych i przygodnych notatek i korespondencyi, sierocą zaledwie cieszą się dolą.

Objaw ten wyraźnie zaznaczył się właśnie i teraz. Czytelnikowi pism zdawać się nieraz może, że Warszawa jest całym krajem. Jaka różnica ilościowa i jakościowa w pracach publicystycznych i materyale surowym, wydrukowanych w ostatnich czasach o sprawach ekonomicznych, a dotyczących Warszawy i prowincyi. Tymczasem, gdyby jaką stałą proporcyę ustanowić pod tym względem można, to

powinna być ona wprost odwrotną: interesy ludności warszawskiéj wobec całego kraju stanowią tylko część.

Ktoś trzeci mógłby tu wprawdzie wystąpić z uwagą, że nie wszystko, co się pisze i projektuje, bywa wykonywaném, że więc i miasto z faworów swojéj prasy wielkich korzyści nie ciągnie. Zdania takiego podzielićbym nie mógł. Większe wciągnięcie naszéj nieruchawéj prowincyi w sferę życia szerszego, choćby papiérowego, ocucenie jéj z drzemki poczytywać sobie powinniśmy za obowiązek. I znów ta opłakana zeszłoroczna emigracya brazylijska jest niezmiernie wymownym pod tym względem dowodem. Okazało się mianowicie, że nie znaliśmy interesów ekonomicznych kraju, a zwłaszcza jego warstw niższych, nie znaliśmy ich wyobrażeń. Tradycyjne, do wiary dogmatu teologicznego podniesione mniemanie o niezachwianém przywiązaniu chłopa naszego do ziemi, o jego konserwatyzmie geograficznym, nie pozwalającym mu opuścić roli, na któréj od wieków pracował, wioski, w któréj się urodził, okazało się bardzo opłakaném w następstwach złudzeniem. Chłop za podszeptem pierwszego lepszego oszusta i obieżyświata porzucał i wioskę i rolę. Wogóle ten chłop nie jest jakimś nieruchomym, o ustalonéj od wieków fizyognomii, żywiołem. Nie szybko zapewne, ale zmienia się, jak zmienia się wszystko. Do wywołania tych zmian nie trzeba całych pokoleń. Kto był mieszkańcem wsi i pochlebia sobie, że poznawszy wówczas chłopa, poznał go na zawsze, ten dozna zdziwienia, kiedy po kilkoletnim pobycie w mieście wyjedzie na wieś i dostrzeże zmiany, mniemanie jego obalające.

Takie więc, wielkiego znaczenia wypadki, jak emigracya do Brazylii, nie powinny przejść bez śladu i nauki.

Tymczasem, wobec drożyzny już istniejącéj i w przewidywaniu daleko większéj, dużo się pisze i nieco robi. Zarządy kolejowe debatują podobno nad wysokością i stosunkiem zapomóg dla swoich pracowników, choć inicyatywa do tych debatów miała wyjść nie od zarządów. Co do wysokości zapomóg, to rutyna dotychczasowa ustaliła zwyczaj, że zapomogi stały w prostym stosunku do pobiéranéj pensyi. Dygnitarz kolejowy, pobierający 6 tysięcy rub., otrzymywał 20 razy więcéj, niż oficyalista, pobierający 300. W tym roku zapomogi te wstąpić mają w znak logicznéj, a nie kolejowéj sprawiedliwości. Podobno podział urzędników na kategorye dokonanym zostanie według ich potrzeb. Ludzie więc, obarczeni rodziną, zostaną zaopatrzeni lepiéj od bezżennych i bezdzietnych. Przypuścić trzeba, że w ślad za zarządami kolejowemi pójdą banki, magazyny, i t. d., to jest te instytucye i zakłady, w których pracują mniéj więcéj

ludzie z tak zwanéj klasy oświeconéj i którzy, w razie, gdyby radzić o nich nie chciano, mogliby radzić o sobie sami.

Lecz zostali jeszcze na boku ci liczni, o których jakoś nie słychać, a którzy sami o sobie radzić nie umieją lub nie mogą. To robotnicy fabryczni i przemysłowi, którym pora zimowa zmniejsza zarobki, a powiększa wydatki. O nich należałoby pomyśléć pracodawcom, czy to przez hurtowne zakupy produktów i odprzedawanie ich następnie bez zysku, co, jak słychać, niektóre zakłady rozpoczęły, czy to przez sklepy spożywcze, czy przez rozumne pożyczki lub zapomogi, a przedewszystkiem przez dostarczenie im zarobku i pracy. Tymczasem niektóre zakłady i fabryki w najkrytyczniejszym właśnie czasie zmniejszają normę zarobkową lub uwalniają od zajęć robotników. Fakt taki, stanowiący zawsze plagę ludności, w okolicznościach obecnych jest tém cięższym. Zapominanie takie lub lekceważenie obywatelskich obowiązków, nie może w tym razieznaleść żadnego usprawiedliwienia i przez sumienie ogółu surowo skarcone być winno.

Z tém większém uznaniem zaznaczyć należy, kiedy pracodawca znaleść się umié na wysokości swego obowiązku. Taki fakt dodatni stał się w zakładzie przemysłowym w okolicach Sosnowca, zatrudniającym 500 ludzi. Z chwilą, kiedy cena chleba dosięgła 5 kop. za funt, zakupiono tam pewną ilość żyta, z którego wypiekany chleb sprzedają pracownikom po cenie o kopiejkę niższą, przestrzegając tylko, aby nikt nie brał większéj ilości nad tę, jaka mu jest istotnie potrzebna. Chleba nie sprzedają za gotówkę, lecz zapisują w książeczkach. Podobną manipulacyę zastosowano i do kartofli. Zarząd fabryki sprowadza ten produkt z miejscowości, gdzie dostać go można po cenie niższéj i odstępuje robotnikom swoim z doliczeniem kosztów przewozu. Rządowa inspekcya fabryczna z uznaniem zatwierdziła tę chwalebną inicyatywę zarządu. Pragnąć trzeba, aby choć w tych rozmiarach praktykowana pomoc dla robotników naśladowców znalazła.

Bardzo przykładnie znalazły się także dozory bóżniczne lubelski i piotrkowski, do których żydzi robotnicy i nędzarze udali się o pomoc. Dozory wybrały piekarzów i sklepy, którym poleciły za swojemi kartkami sprzedawać każdéj familii biedaków chléb i inne artykuły według cen poprzednich, a różnicę w stosunku do cen praktykowanych i obliczonych skrupulatnie, będą pokrywały z funduszów ogólnych.

A na wsi? Proletaryat wiejski i małorolni włościanie potrzebują także pomocy. Téj ostatniéj udzielić im trzeba w formie nie jałmużny bez pracy. Wprawdzie właściciele większéj własności, na których spadnie moralna troska o ułatwienie wyżywienia się robotnikom wiejskim, nie

znajdują się w stanie kwitnącym: większość ich jest zachwianą ekonomicznie. Ponieważ jednakże o egzystencyę na posiadanym kawałku ziemi walczyć muszą i melioracyj rolnych dokonywać także, więc w tym ostatnim właśnie kierunku usiłowaniami, ułatwić mogą jednocześnie byt zagrożonych nędzą robotników wiejskich. Mówimy naturalnie o tych, którzy dokonać tego mogą.

W „Kuryerze Codziennym“ czytaliśmy właśnie „głos ze wsi“ rolnika, takiemi obywatelskiemi intencyami ożywiony i podyktowany. Radykalnego przekształcenia gospodarstwa wiejskiego dokonać nie można; są konieczne wszakże mniejsze ulepszenia, które w niedalekiéj przyszłości opłacić się mogą. „Szlamowanie stawów i sadzawek, dobywanie torfu, kopanie rowów i osuszanie błot, karczowanie wyciętych i porządkowanie zapuszczonych naszych lasów, które nieraz bez potrzeby odkładamy, zadrzewianie przeznaczonych pod las przestrzeni, jedném słowem, wszystko, co zamierzamy robić późniéj dopiéro, co odkładamy dla braku funduszów z roku na rok, róbmy obecnie w miarę możności każdego. A róbmy nie za pożyczane piéniądze, lecz za oszczędności od osobistych wydatków, choćby to było połączone z pewném poświęceniem. Będzie to podwójnie dobry i obywatelski uczynek: dostarczenie pracy niezbędnie potrzebującym zarobku i dołożenie cegiełki do rozwoju i podniesienia gospodarstwa rolnego. Rezultatem zaś ogólnym osobista korzyść właściwie zrozumiana“.

Społeczeństwa, w takich trudnych właśnie ekonomicznie chwilach, zdają egzamin ze swéj organizacyi, ze świadomości swoich obowiązków. Jeżeli kryzys potrafią przetrwać, jeżeli wytężonemi usiłowaniami uchronią wszystkie części zbiorowego organizmu od cierpień, wtedy dopiéro budowa ich i funkcye są dobre. W ostatnich czasach dużo się rozprawia o tak zwaném uspołecznieniu, o sprawach socyalnych: trzeba więc czynami praktycznemi dowieść, że to uspołecznienie stało się częścią nas samych, że przenika nasze funkcye, nasze myśli i uczucia.

Dla usunięcia możliwego nieporozumienia, pamiętajmy, że takie działanie nie polega jedynie na samej tylko dobroczynności, na filantropii w ścisłém znaczeniu wyrazu. Dobroczynność, w dzisiejszém, utartém znaczeniu tego wyrazu, zasadza się najczęściéj na przylepianiu kojących plastrów do rany nędzy; bywa częściéj fantazyą towarzyską, niż społeczną, płynie albo z sentymentalizmu albo z mody. Dobra ekonomia społeczna nie wiele sobie obiecuje z takiéj dobroczynności: wymaga ona działania świadomego i celowego. W danym więc wypadku, w obec przesilenia ekonomicznego, w obec drożyzny, zagrażających klasie ubogiéj, wymaga obudzenia w niéj energii, wska-

zania i dostarczenia jéj środków zapobiegawczych, lecz nie biernych, wyglądających jedynie pomocy z zewnątrz, a i czynnych, szukającéj ich w sobie saméj, w lepszéj organizacyi.

Nareszcie jeszcze, pozbyć się należy lekkomyślności i w obec widma nędzy oszczędzać, a zaoszczędzone obracać na cele szlachetne i pożyteczne. Zkądinąd otrzymaliśmy już dobry przykład pod tym względem. W Cesarstwie, wobec głodu i powszechnego nieurodzaju w prowincyach wewnętrznych, postanowiono nie bawić się, nie wydawać balów, nie pić szampana, a zaoszczędzone tym sposobem pieniądze używać na nędzę miejscową.

Zabezpieczenie starości ludziom pracy stało się już zasadą ekonomiczno-społeczną, któréj realizacya w całym ucywilizowanym świecie jest tylko kwestyą czasu. Państwa układają odnośne przepisy, sami nareszcie pracodawcy przekonani o wzajemnéj dobroczynności takiego zabezpieczenia, lub téż porwani ogólnym, bardzo silnym prądem, nie stawiają mu wielkich przeszkód.

Lecz i prawodawstwo i inicyatywa prywatna, o ile u nas zdążyły się już zaznaczyć, mają przedewszystkiém na oku zabezpieczenie pracowników fabrycznych i przemysłowych. Nie zrobiono dotychczas nic dla starości oficyalistów wiejskich, ludzi, którzy literalnie przez całe życie są zajęci znojną pracą od rana do nocy, a którym, ani odosobnienie, w jakiém stoją, ani organizacya naszych stosunków wiejskich, ani mała znajomość nareszcie współczesnych urządzeń ekonomicznych, nie pozwalają na jakieś solidarne i umiejętne początkowanie we własnej sprawie.

Jest to, jak dziś, klasa ludzi, o bardzo nierównym, inteligentnym i obyczajowym poziomie. Składa się z oficyalistów-rutynistów, których obowiązek przechodził dziedzicznie z ojca na syna i z wykolejonych, jakich u nas pełno, którzy dziś są tém, jutro czém inném... i nareszcie z tak licznéj dziś, zrujnowanéj szlachty, zmuszonéj wskutek własnéj lekkomyślności lub nieopatrzności, przyjmować trudne obowiązki oficyalistów, gdzie się da i u kogo się da, bo konkurencya na tém, jak na każdém inném polu, jest trudna.

Po życiu, oddaném najzupełniéj na usługi innych, czeka ich starość, na którą żadnych zasobów przygotować nie mogli. Pracodawcy, wtenczas, kiedy myśleć o ich przyszłości mogli, nie myśleli. Dziś znów, za parawanem „ciężkich czasów“ rzecz stała się tém trudniejszą.

Nikt się jednak z pod wpływu wyobrażeń i potrzeb, będących cechą czasu, zupełnie wyłamać nie może. W tém widocznie przekonaniu, kilku ludzi dobréj woli, mianowicie: pp. Henryk Chrzanowski

i Kaz. Stamirowski, z inicyatywy p. Laskowskiego, podało na szpaltach „Słowa“ projekt ubezpieczenia oficyalistów. W motywach czytamy: „Czy obowiązek chlebodawcy ograniczać się powinien tylko na zaspokojeniu, niekiedy bardzo skromném, pierwszych potrzeb oficyalisty? Czy ciężko pracując, od świtu do nocy, ze szkodą najczęściéj swego zdrowia, nie zarabia więcéj, niż ma przeznaczone? Czy w lepszych ekonomicznie czasach, pomyślano kiedy o tym pracowniku pługa i jego rodzinie? Zaprawdę, na te pytania przecząco zawsze wypada odpowiedziéć. Stan oficyalistów w ogóle smutny, po większéj części z winy samych ziemian, rolników, którzy niestety, tak przy dobrym jak i złym stanie rolnictwa, o nim zapomnieli.“

Treść projektu jest następująca: Jeżeli oficyalista, mający lat np. 30, pragnie po 65 latach życia, pobierać rentę dożywotnią, a po śmierci zapewnić rodzinie kapitał np. rs. 1000 — opłacać będzie rocznie po rs. 27 kop. 90. Jeżeli umrze przed 65 rokiem, rodzina otrzyma rs. 1000. Jeżeli dożyje 65 lat wieku, otrzyma zamiast kapitału rentę dożywotnią rs. 120. 35-letni, ubezpieczony do 65 roku życia na takiż kapitał i rentę, opłacać będzie rocznie rs. 32 kop. 50; 40-letni — rs. 39 kop. 50 i t. d. Projekt przyznaje także prawo ubezpieczonemu do dywidendy, którą mu wolno odbierać lub przeznaczać na powiększenie renty. Projektodawcy słusznie przewidują, że oficyalista ze skromnéj swojéj pensyi, premii ubezpieczeniowych nie mógłby opłacać, dla tego radziby widzieć współudział pracodawcy, w takim stosunku: po latach 3-ch pracodawca powinien się przyczynić do opłacenia premii asekuracyjnych, w stosunku 20%, po 6 — 40%, po 9 — 60%, po 12 — 80% i po 15 — 100%, czyli całéj premii. W razie, gdy oficyalista zmieni służbę, procent płacony przez chlebodawcę, cofa się o jedno stadyum.

Obok całego uznania dla inicyatywy projektodawców, nasuwa się pytanie, czy projekt ich osnuty został na kombinacyach matematycznie obliczonych, czy téż na dowolnych? Powstają np. wątpliwości: z jakiego źródła płynęłaby dywidenda dla ubezpieczonych? Następnie projekt kładzie na pracodawców, konieczny zresztą obowiązek udziału w opłacaniu premii. A jeśli po kilku lub po kilkunastu nawet latach służby oficyalisty u pracodawcy, ten ostatni sprzedaje swoją posiadłość ziemską, to czy wówczas udział w opłacie premii, który według projektu, zwiększa się stopniowo, tak, iż po latach 15-tu ciąży wyłącznie na pracodawcy, — przechodzi na nowonabywcę, i jaki byłby sposób znaglenia go do udziału w tak powiększonéj opłacie? Zrobićby mógł wówczasuw agę, że nie jest zobowiązany do postępowéj składki na rzecz oficyalisty, pracującego dotychczas nie na jego korzyść? Czy

może projektodawcy myśleli o hypotecznėm zabezpieczeniu udziału? a jeżeli tak, to czy zabezpieczenie takie, obowiązujące a zwłaszcza krępujące swobodę w rozporządzaniu i zbywaniu nieruchomości ziemskiéj, mogłoby mieć widoki przyjęcia przez interesowanych? czy może myśleli o wzajemnėm ubezpieczeniu oficyalistów? Czy stowarzyszenie miałoby obejmować powiat, gubernię lub kraj?

Są to wątpliwości, któreby zasługiwały na dyskusyę specyalistów, aby omawiany projekt mógł się stać pewnym i konkretnym.

Słabą stroną tego projektu byłaby zapewne także ogólna, skłonność pracodawców do uchylania się od współudziału w opłacaniu premii; przy wszystkich jednakże ubezpieczeniach prywatnych i dobrowolnych, a takiemi tylko być mogą, przynajmniéj na teraz, ubezpieczenie oficyalistów rolnych, jest to nieuniknione. Zachęcenie i przekonanie samych interesowanych o pożytku dla nich ubezpieczeń, należy także do ich chlebodawców, ziemian. Życzyć więc tylko można, ażeby pisma popularne i rolnicze popierały tę zdrową myśl ekonomiczną między interesowanymi, ażeby stała ona na porządku dziennym dopóty, dopóki się realizować nie zacznie. Towarzystwa ubezpieczeń, we własnym interesie, przez cyrkularze, ogłoszenia i sprawozdania, przez inspekcye i agentury zachęcać klientów winny, ażeby dobry projekt zostawił inne ślady jeszcze prócz papierowych.

Dobre projekty podnosić, notować i uzupełniać trzeba, choćby one nie zawsze wykonywanemi były. Wiadomo przecież, że jesteśmy mocniejsi w projektowaniu, niż w wykonywaniu. Nie wielka w takim razie z tego projektowania płynie pociecha, lecz nie przerywa się przynajmniéj nić inicyatywy *pro publico bono.* Projekt zresztą, o którym napiszemy znajduje sią w zakresie możliwości, należy do gospodarstwa miejskiego, w którėm już wiele większych nawet ulepszeń dokonano.

Warszawa ma swoją ważną kwestyę lombardową. Mówimy: ważną, bo całe ubóstwo warszawskie jest w codziennéj z lombardami komunikacyi. Dzięki obecnemu oberpolicmajstrowi, wydano już wiele rozporządzeń, ograniczających lichwiarskie manipulacye lombardów prywatnych. Obecnie zaś istnieje podobno zamiar zaprowadzenia w różnych dzielnicach miasta oddziałów głównego lombardu miejskiego, znajdującego się w magistracie. Chodzi tylko o wyszukanie funduszów, któremi filie te mogłyby być wyposażone. D-r Jan Banzemer w artykule swoim w „Kuryerze Warszawskim“ wskazuje właśnie takie fundusze. Mógłby mianowicie być użyty kapitał złożony w naszéj miejskiéj kasie oszczędności. W kasie téj spoczywa około dwóch milionów rubli; połową więc téj sumy możnaby obdzielić 5 filii

lombardu miejskiego. Fundusze, gromadzone oszczędnością ludzi pracowitych, jakimi są uczestnicy kasy oszczędności, obracane być raczéj winny na pomoc doraźną dla biedaków, nie zasilać tanim kredytem bogaczów, mających w kantorze banku państwa otwarte rachunki.

Myśl zresztą takiego spożytkowania funduszów kas oszczędności nie jest nową. W Hiszpanii przy każdéj kasie oszczędności znajduje się lombard. W Krakowie kasa oszczędności także założyła lombard tanioprocentowy, który świetnie się rozwija. Wskazane przykłady są rękojmią, że i dla Warszawy fundusze kas mogłyby w taki sposób przychodzić z pomocą ogółowi mieszkańców. Przy zakładaniu filii lombardu miejskiego należałoby mieć na uwadze, że lombardy prywatne, ceniąc wyżéj zastawy, więcéj nęcą ku sobie klientów; że zatém lombardy miejskie, chcąc skutecznie z niemi współzawodniczyć, pożyczki na zastawy powinny udzielać wyższe.

Po uroczystości ostwarcia przebudowanego teatru Wielkiego, z którém świetne dla sztuki łączono nadzieje, cieszono się mniemaniem, że publiczność z chęcią teatr odwiedzać będzie. Zrobiono go przecież wygodnym i przyjemnym, zmieniono, a raczéj rozszerzono reżyseryę, wprowadzono nowe sztuki do repertuaru — słowem zrobiono wiele dla ciała, oka i ducha.

Pomimo tych ulepszeń i upiększeń jednakże pewien gatunek publiczności, zwanéj lożową, teraz jak dawniéj świéci swoją nieobecnością. Krytycy teatralni zapisują tę nieobecność i chcą doszukać się przyczyn, dla czego tak zwany wyższy świat warszawski o teatrze zapomina. W odpowiedzi na te zapytania i napomnienia ukazało się w dziennikach długie wyjaśnienie, pochodzące od saméj strony zainteresowanéj, bo podpisane ktoś z „high-life'u". Wyjaśnienie to ścisłością się nie oznacza. Jeżeli jednak ktoś pisał je w imieniu lub porozumieniu ze swoją sferą, to w takim razie ma niejaką wartość, jako przyczynek do estetycznych zwyczajów i skłonności téj sfery. Z tego względu mamy prawo zatrzymać się na niém przez chwilkę.

Zasiadamy późno do obiadu — pisze mniéj więcéj — bo tak chce mieć moda, mniejsza o to, naganna czy pożyteczna, ale zawsze potężna, bo jeszcze nigdy nie odstąpiła przed rozumowaniem, a więc w teatrze nie bywamy, nie mogąc zmienić zwyczaju późnego obiadowania. Moda ta zresztą nie jest złą, bo połączona z podziałem dnia na trzy części: w pierwszéj do południa, oddajemy się zajęciom domowym; w drugiéj po południu—pozadomowym i nareszcie po obiedzie zabawom. W tym trzecim okresie naszego podziału dnia, mamy przecież rauty, bale i zebrania, których dla teatru opuszczać nie będziemy. Jeżeli my więc zrobić

ustępstwa ze swoich zwyczajów nie możemy — ciągnie Ktoś mniéj więcéj — to nam je zrobić powinni. Płacimy drożéj za swoje miejsca, mamy więc do nich prawo. Teatr warszawski powinien przyjąć niektóre obyczaje z teatru francuskiego i wiedeńskiego. Z Paryża tak zwane *lever de rideau*, to jest jednoaktówkę, dla tych, którym pilno jaknajwcześniéj wejść do teatru, a z Wiednia zapożyczyć zwyczaj krótkich antraktów, co pozwoliłoby nam wcześniéj wyjść z teatru i udać się na zabawę lub zebranie.

W rezultacie należałoby więc zaprowadzić abonament, jak w całéj Europie, *lever de rideau*, jak we Francyi, zredukować antrakty i liczyć się ze zwyczajami publiczności lożowéj. Ta publiczność lożowa jest jednak, zdaniem samego autora tych żądań, tak dziś nieliczna w Warszawie i tak swojemi obwiązkami światowemi pochłonięta, że nawet przy zrobieniu jéj wszelkich ustępstw ze strony dyrekcyi, jeszczeby lóż teatralnych nie zapełniła nawet w pewne dni określone.

Jaki więc z wyjaśnienia tego płynie wniosek? Oto taki, że teatr dla téj specyficznéj publiczności jest rozrywką nie równouprawnioną nawet z innemi jéj światowemi rozrywkami i obowiązkami, bo ktoś z „high-life'u“ wyraźnie mówi, że zwyczaje modnego świata nie pozwalają mu robić z nich ustępstw na rzecz teatru, chociaż od tego ostatniego ustępstw takich żądają; te więc dzienniki, które popieranie teatru uważają za obowiązek, są z publicznością lożową w nieporozumieniu. Rzecz inna, czy autor wyjaśnienia jest rzeczywistym przedstawicielem swojego świata pod tym względem. Jeżeli jednak słowa jego weźmiemy bez tego zastrzeżenia, to dla kierowników teatru taki chyba płynie stąd pożytek, że w teatrze tutejszym bez oglądania się na specyficzną publiczność lożową, trzeba mieć na uwadze ogół teatralny. Niezawodnie, że w tym ogóle jest klasa widzów, zwolenników teatru, inaczéj swój stosunek do niego rozumiejących, niż ci, od których przemawiał ktoś z „*high-life'u*“, chociaż przypuszczamy, że i ta warstwa także może inaczéj o teatrze myśli. Prawdziwą zaś przyjaciółką teatru jest inteligencya, żądająca od niego przedewszystkiém wyższego repertuaru, godnego jéj umysłowego poziomu.

NEKROLOGIA.

† **Walentyna z Trojanowskich Horoszkiewiczowa**, urodzona około r. 1820 w Królestwie, już jako 11-letnia dziewczynka dała się poznać jako utalentowana wierszopisarka; w r. 1830-ym w „Dzienniku dla dzieci“, wydawanym przez Stanisława Jachowicza, mieści się (Nr. 73) jéj „wiersz podziękowania dla wydawcy.“ Następnie należała do najgorliwszych spółpracowniczek noworocznika „Pierwiosnek“, złożonego wyłącznie z pism samych kobiét, a wychodzącego w Warszawie od 1838—1842 r. Jéj wiersze tu umieszczane spółcześni bardzo wysoko cenili i przepowiadali młodéj poetce wielką przyszłość. W r. 1843-im wydawała wraz z Pauliną Krakowową czasopismo dla młodzieży p. n. „Zorza.“ Wyszedłszy za mąż za Juliana Horoszkiewicza, osiadła we Lwowie i choć nie zapomniała o literaturze, mniéj się jéj atoli już oddawała, niż przedtém. W r. 1850/51 redagowała czasopismo młodzieży poświęcone p. n. „Dzwonek“, mieszcząc w nim dużo swoich wierszy i powiastek prozą. Następnie zasilała pracami swojemi różne czasopisma, zwłaszcza zaś te, które wychowaniu dzieci i młodzieży były poświęcone. Zbiorek jéj prac byłby spory, ale go dotąd nie zgromadzono razem i nie ogłoszono drukiem. Umarła we Lwowie 25 września r. b.

† **Adryan Baraniecki**, urodzony 1828 r., skończywszy studya lekarskie, osiadł i praktykował w Jarmolińcach na Podolu. Pierwszą jego drukowaną rozprawą była rzecz „O Janie Smerze, mniemanym lekarzu polskim“ (Warsz., 1860); następnie pisał „O materyałach do topografii i stastystyki lekarskiéj Podola“ (Petersburg, 1866), „Program topografii lekarskiéj“, „O stowarzyszeniach lekarskich prowincyonalnych.“ Przeniósłszy się na stały pobyt do Krakowa, założył tu niezmordowaną swą pracą i zabiegliwością Muzeum techniczno-przemysłowe, przy którém w r. 1868 otworzył Szkołę wyższą dla ko-

biét, na trzy wydziały podzieloną i odtąd całą swą gorliwość zwrócił do wzbogacenia, uporządkowania i udoskonalenia Muzeum, oraz do podniesienia i rozwinięcia Szkoły. On także pierwszy rzucił myśl organizowania zjazdów przyrodniczo-lekarskich i na tegorocznych honorową spełniał prezydencyą, ciesząc się, że ziarno przezeń zasiane tak bujnie się rozrodziło. Umarł w Krakowie 15 października r. b. Cześć jego zacnéj pamięci!

† **Kornelia z Kuszewskich Drzewiecka**, zmarła 24 października r. b. w Biskupicach pod Sieradzem; między r. 1866 a 1880, oddając się zawodowi nauczycielskiemu, brała udział w ówczesnym ruchu piśmienniczym, zamieszczając wiele powiastek i poezyjek w pierwotnym „Opiekunie domowym“ i w „Ognisku.“ Pod pseudonymem Emilii Borsza napisała studyum „O emancypacyi kobiét“, w swoim czasie dość głośne.

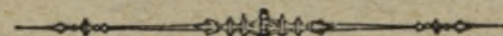
Maksymilian Rubinstein, starszy mekler giełdy warszawskiéj, zmarły w podeszłym wieku d. 6 października r. b., zajmował się także w młodszych latach literaturą. I tak był spółpracownikiem „Kurjera Warszawskiego“, kiedy go redagował Ludwik Dmuszewski, pisywał do „Światowida“, dodatku literackiego do „Gazety Warszawskiéj“ (1835—38), oraz do „Świata dramatycznego“, redagowanego w r. 1838—41 przez Wojciecha Szymanowskiego, gdzie pomieścił artykuły: „Teatry amerykańskie“ (przekład z niemieckiego), „Nauka pisania recenzyi teatralnych“ (podług „Figara“).

Maksymilian Iskrzycki, profesor filologii klasycznéj w uniwersytecie Jagiellońskim, zmarły 8 paźdz. r. b.



Wydawcy: *W. Spasowicz* i *A. Pawiński.*—Redaktor *P. Chmielowski.*

OGŁOSZENIA.



Дозволено Цензурою. Варшава, 24 октября 1891 г. — Druk Jana Cotty.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „ATENEUM"

w kwartale II-gim i III-cim 1891 r.

1. **Rozprawy Akademii Umiejętności.** Wydział matemat.-przyrodniczy. Ser. II. T. I. Kraków, 1891, 4-o, str. 394 z rys.
2. *Bronisław Dembiński.* **Rzym i Europa** przed rozpoczęciem trzeciego okresu soboru trydenckiego. Część pierwsza. Kraków, nakł. Akad. um., 1890, 4-o, str. 264.
3. **Sobótka.** Kwestyonaryusz ułożony przez *Rafała Lubicza.* Warszawa, druk Józefa Jeżyńskiego, 1891, str. 11.
4. **Historya miast i mieszczan** w krajach dawnego państwa pols. z materyałów pozostałych po ś. p. *W. A. Maciejowskim* do druku przygotował *Michał Rawicz Witanowski.* Poznań, 1890, 8-o, str. 276.
5. **O autorze „Dyaryusza"** z lat 1696—1697. Napisał *Tadeusz Sternal.* We Lwowie, 1891, 8-o, str. 29.
6. **Kalendarz myśliwski** ilustr. na rok przestępny 1892. Warszawa, nakł. Magazynu B. Ronczewskiego, 8-o, str. 130.
7. **Pogadanki o niebie i ziemi.** Spolszczył *H. W.* W wydaniu drugiém uzupełnił *M. B.* Skład głów. w Księgarni Tanich Wydawnictw, 1891, 8-o, str. 86.
8. *Artur Lewandowski.* **Na gołoledzi.** Powieść. Warszawa, nakł. księg. G. Centnerszwera, 1891, 8-o, str. 136.
9. *Bronisław Dembiński.* **Upadek rycerstwa.** Odczyt. Kraków, nakł. autora, 1891, 8-o, str. 23.
10. *Xawery Liske.* Wspomnienie pośmiertne. Napisał *Bron. Dembiński.* Kraków, skład główny w księg. G. Gebethnera i S-ki, 1891, str. 19.
11. **Kodeks listów XV-go wieku** (1382—1445). Codex epist. sæculi decimi quinti. Tom. II, collectus opera D-r *Anatolii Lewicki.* Kraków, nakł. Akad. Umiejęt., 1891, 4-o, str. LXXVII i 531.
12. **Pan głuchy Paweł.** Powieść osnuta na tle wypadków wojennych „roku strasznego". Skreślił *Józef Tokarzewicz-Hodi.* Petarsburg, skład głów. w księgarni Br. Rymowicza, 1891, 8-o, str. 188 (cena rs. 1 kop. 20).
13. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego. Tom. XI, zesz. 129—131 (str. 641—880).
14. *Karol Kautsky.* **Narodowość i jej początki.** Warszawa, skład głów. w księg. G. Centnerszwera, 1891, 8-o, str. 52.
15. *Or-Ot.* **Na Obcej ziemi.** Warszawa, nakł. M. Lewińskiego, 1891, str. 22.
16. **Rozprawy** i sprawozdania z posiedzeń wydziału histor.-filozof. Akad. Umiej. Tom XXV. Kraków, 1891, 8-o, str. 403 i XVIII.
17. *Bolesław Ulanowski.* O założeniu i uposażeniu klasztoru benedyktynów w Staniątkach. Z 5 tabl. litogr. Kraków, 1891, 4-o, str. 131.
18. *Teodora Zawackiego* **Memoriale Oeconomicum** 1616. Wydał d-r *Józef Rostafiński.* Kraków, 1891, 8-o, str. XVI i 172.
19. **Przyczynek** do krytyki tekstu Andrzeja Krzyckiego, napisał *Marcin Sas.* Kraków, 1891, 4-o, str. 20.
20. *Klemens Junosza.* **Wybór pism** w X tomach. Tom II. Warszawa, nakł. autora, 1891, 8-o, str. 309; t. III, str. 273.
21. **Sprawozdanie dziewiąte** z czynności komit. zarządz. Kasą pomocy im. d-ra med. Józ. Mianowskiego za r. 1890. Warszawa, 1891, 8-o, str. 92.
22. **Jan Śniadecki** wobec współczesnej metafizyki niemieckiej i dzisiejszych dążeń filozoficznych. Przez d-ra *Aleksandra Skórskiego.* Lwów, Gubrynowicz i Schmidt, 1890, 8-o, str. 302.
23. *Jarosław Vrchlicki.* **Uszy Midasa.** Komedya w 3 aktach. Przełożył *Miriam.* Kraków, nakł. red. „Świata", 1891, 8-o, str. 79.
24. **Zaginiony biograf Peryklesa** przez *Stanisława Schneidera.* Przemyśl, nakł. autora, 1891, 8-o, str. 42.

Uprasza się PP. Wydawców o nadsyłanie świeżo ogłoszonych książek do redakcyi. O każdej z nich będzie bezzwłocznie podana krótsza lub dłuższa wzmianka.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE,

wychodzi na początku każdego miesiąca w zeszytach, zawierających od 10 — 12 arkuszy druku.

TREŚĆ.

I. Artykuły wstępne, dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłómaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególném uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i nowości literackie, w których zawrze się obraz spółczesnego ruchu naukowo-literackiego.

XII. Kronika artystyczna.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Oboźna, 5.

